

Taniec lichwy.

SYLWERYUSZ KONDRATOWICZ.

Taniec lichwy.

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych.

TOM II.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71
Tel. 26-68-63



WARSZAWA.

NAKŁADEM A. G. DUBOWSKIEGO
91. MARSZAŁKOWSKA 91.

1904.

Дозволено Ценаурою.
Варшава, 12 Мая 1903 года.



22.123/2

I.

Wiść o zamknięciu kredytu wekslowego w Banku Państwa została nazajutrz potwierdzoną w drodze urzędowej.

Wywołało to ogólny popłoch wśród spekulantów budowlanych, żyrantów zawodowych i faktorów wszelkiego rodzaju. Zagotowało się w całym tem rojowisku skrzętnych mrówek, znoszących codziennie setki tysięcy rubli procentów, z których wyrosły w ciągu lat kilku olbrzymie fortuny żydowskie.

Teraz urwało się to wszystko i na lud Izraela padł smutek wielki... Wypędzono go z tego raju łatwego kredytu, gdzie rosły tak piękne drzewa spekulacyi i lichwy, rodzące złote interesy.

Padła również panika i na instytucye kredytowe, w których, zamiast walorów wartościowych i gotówki, leżały całe stosy długich, wązkich pasków sztywnego papieru, z oznaczeniem na nich sumami, z bardzo kaligraficznie wypisanem żyrem, opatrzonych dziesiątkami podpisów cedentów i ich stemplami.

Z formalnej strony wszystko było w porządku, gorzej jednak przedstawiała się treść tych samych świstków papierowych, z których większość nie miała żadnej wartości.

Przekonano się o tem bardzo prędko.

W kancelaryach rejentów uczynił się natomiast ruch niebywały: do drzwi każdych cisnęły się tłumy interesantów; pełno ich było na korytarzach i schodach gmachu sądowego, pełno na podwórku i na ulicy. Rejenci i ich pomocnicy upadali ze znużenia, nie mogąc podołać robocie. Niektórzy zamykali drzwi na klucz przed natręctwem mniej cierpliwych klientów i niejednokrotnie wyrzucali ich po prostu za drzwi. ▽

To ożywienie jednak było złudne: nie chodziło tu bowiem o większe tranzakcje handlowo-przemysłowe, o akta kupna i sprzedaży, lecz o protesty weksli. Tysiącami przynoszono je do rejentów i błagano o przyjęcie do protestu, deklarując opłatę pięciokrotnie wyższą od normy przyjętej.

Rejenci i ich dependenci od rana do nocy byli w rozjazdach po mieście, szukając dłużników, którzy kryli się przed nimi w tej złudnej nadziei, że to ukrywanie się na coś przydać się może, że zabezpieczy lub odwlecze chwilę porachunku.

Nikt bowiem nie płacił, a nie płacił dlatego, że nie miał pieniędzy.

Kredyt, do niedawna ożywiony niezmiernie,

podrygujący w podskokach rozpasanej spekulacyi, wybiegający naprzeciwko niej z otwartemi rękoma, rozrzucający pełnemi garściami złoto w najbrudniejszych zaułkach żydowskich, wpadł nagle w omdlenie.

Rynek pieniężny drgnął gwałtownie, poczem uczyniła się w nim straszna, ponura cisza, przejmująca trwogą nawet serca najmężniejsze.

Pieniądzy zabrakło.

Zabrakło ich nie tylko u pokątnych bankierów, lecz i w „najpoważniejszych“ instytucjach kredytowych, obracających przedtem setkami milionów.

Na giełdę rzucono naraz olbrzymią ilość akcji przemysłowych, listów zastawnych, obligacyi i innych walorów procentowych, skutkiem czego kurs ich zaczął spadać gwałtownie.

Brak gotówki był tak przerażający, że zabrakło jej nawet w drobnym handlu, co odczuł wnet świat kupiecki, nieprzyjmujący żadnego udziału w rozpasaniu spekulacyi.

Najdotkliwiej wszakże dał się uczuć ten brak przedsiębiorcom budowlanym, którzy, jak wiadomo, podejmowali interesy, przechodzące dziesięciokrotnie ich siły płatnicze.

Następstwa tego były dla nich fatalne: gdy bowiem rynek pieniężny uległ nagle tak silnemu wstrząśnieniu, źródła kredytu, z których dotąd czerpali środki do prowadzenia przedsię-

biorstw, doszczętnie wyschły, skutkiem czego dalsze prowadzenie robót było niemożliwe.

Przerwano je też prawie wszędzie...

Tłumy ludu roboczego znalazły się naraz bez pracy, bez możności egzystencji. Biedacy ci snuli się po mieście głodni, wynędzniali, szukając jakichś dorywczych zajęć, lub też emigrowali na prowincję.

Większość jednak zostać musiała, pragnąc odebrać należny zarobek od dotychczasowych pracodawców, którzy zawiesili wypłaty.

Sądy przepełnione były sprawami tego rodzaju.

Niemniej dotkliwie dało się uczuć przesilenie spekulacji właścicielom domów już ukończonych; wymówiono im bowiem sumy hipoteczne, domagając się ich zwrotu pod grozą przymusowej sprzedaży nieruchomości.

Biegali więc ludziska po mieście jak oparzeni, szukając pieniędzy, lecz nadaremnie. Pieniądzy zabrakło nawet na najpewniejszą ewikcję.

Pieniądz zdrożał też niepomiernie.

Ci, co mieli gotówkę, korzystali z tego, i przyczaiwszy się, czekali przyjaznej sposobności, aby, wśród ogólnego zamieszania i popłochu, wypatrzeć sobie korzystne kupno domku na licytacji, za połowę lub trzecią część jego wartości. Inni znów darli za udzieloną pożyczkę szalone procenty, kopiąc nogami wszelką moralność handlową, a nawet i surowe prawo

o lichwie, które, przy jakim takim sprycie i biegłości prawnej, dawało się obejść i wyprowadzić w pole.

Był to drugi akt rozboju z kodeksem w jednej ręce i z nożem Shylocka w drugiej.

Było to polowanie na nieszczęście ludzkie, polowanie dzikie, okrutne, bez odrobiny litości dla bliźnich.

Rzecz szczególna, że groźne to przesilenie i jego fatalne następstwa dla tych, co niemi dotknięci zostali, nie budziło żadnego współczucia, ani żalości...

Przeciwnie, ogół mieszkańców, to jest lokatorowie, czuli pewną, złośliwej natury, radość, że przyszła „kréska na Matyska,“ że wyzysk „kamieniczników,“ tych gnębicieli biednych ludzi, doczekał się nareszcie odwetu.

Zacierano ręce z zadowolenia, że wielu z nich z pośród najgorszych wyzyskiwaczy czeka los nie do zazdrości, że mogą znaleźć się bez dachu nad głową, za który tak drogo innym płacić sobie kazali.

I przewidywania te miały wielkie szanse urzeczywistnienia...

Coraz głośniej zaczęto mówić o bankructwach wielkich matadorów spekulacji, „Kuryery“ zaczęły prowadzić stałą rubrykę do notowania następstw przesilenia na rynku pieniężnym: jednego dnia pisano o zawieszeniu wypłat przez tę lub ową firmę, drugiego — o ucieczce

tego lub owego żyda z Nalewek, trzeciego—o licytacjach domów, z hipotek których spadały dziesiątki i setki tysięcy rubli.

Lament w całym mieście był niezmierny, gdyż bankructwa nie tylko dotykały samych spekulantów, lecz i tysiące rodzin, których ojcowie poumieszczali nieogłędnie drobne swe kapitały na hipoteki domów żydowskich.

Były to te „płatki,“ które napędzone zostały do sieci lichwy i szwindlu przez całą armię faktorów-specjalistów od wyszukiwania coraz to nowych ofiar wyzysku, za które brali honorarya od sztuki, względnie, rzecz prosta, od sumy pożyczki, którą udało się od nich wyciągnąć.

Ile złotych obietnic, ile najbardziej wyrafinowanych wybiegów do tego użyto, tego nie spisaćby na wołowej skórze.

Dość powiedzieć, że między innymi „szwindlami“ najbardziej utartym było przedstawianie przy umowach fałszywych wykazów hipotecznych, których prawdziwa fabryka na wielką skalę istniała w jakimś brudnym zaułku żydowskim.

Fabrykę tę prowadził wykwalifikowany w tem specjalista, kilkakrotnie karany kryminalnie, który ukrywał się przed okiem sprawiedliwości, otaczany czujną opieką swoich najbliższych krewnych, którzy zarazem byli czynnymi pośrednikami w załatwianiu tych spraw delikatnej natury.

Proceder ten był okryty tak głęboką tajemnicą, że sam „szef“ rzeczonoego biura był dla klientów jakąś mityczną osobą, której nikt z nich prawie nie widział.

Zresztą osobista znajomość była zbyteczną, żadna ze stron o to nie dobijała się; pośrednicy bowiem wywiązywali się ze swych obowiązków nadzwyczaj „sumiennie,“ a co więcej, bardzo szybko.

Wystarczyło dziś dać brulion potrzebnego wykazu hipotecznego, a po upływie dwóch dni otrzymywało się „najlegalniejszy“ wypis z ksiąg hipotecznych, opatrzony podpisami i pieczęciami.

Na mocy tych „wypisów“ pozyskiwało się zaufanie drobnych kapitalistów, którzy decydowali się dać pożyczkę, zachęceni wysokością procentu.

Odtąd wszakże najtrudniejsze i „najdelikatniejsze“ zadanie przypadało do wypełnienia. Oto należało tak manewrować, aby nie dopuścić już zjednanego klienta do osobistego przejrzania księgi hipotecznej, żeby się oszustwo nie wydało...

Rozpoczynał się więc wdzięczny taniec około upatrzonej ofiary, która wreszcie, obalamucona, otumaniona obietnicami, bogactwem salonów właścicieli domów, lub wreszcie uwzględniając uzasadnioną należycie nagłość potrzeby, decydowała się na wypłatę pożyczki przed uda-

niem się do rejenta, zadawałnając się tymczasową deklaracją pożyczającego, że tego a tego dnia suma wypożyczona wciągniętą zostanie do księgi hipotecznej, bez wyszczególnienia wszakże, na jaki numer hipoteki.

Naturalnie, że na tego rodzaju układy przystawały osoby, nieznające stosunków miejscowych, niemające dokładnego pojęcia o przepisach prawnych, słowem ludzie albo ciemni, albo też bardzo naiwni i lekkomyślni, którzy będąc już nawet u rejenta, nie zdawali sobie sprawy z gwarancyi hipotecznej, jakiej im udzielano w zamian za wypożyczony kapitalik, będący częstokroć całą fortuną tych biedaków.

Byli zaś tak nieświadomi i dobroduszni, że nawet spostrzegłszy się później, iż zostali w błąd wprowadzeni co do numeru hipoteki, nie zakładali pretensyi, wszelkie bowiem pod tym względem wątpliwości i podejrziwość umieli ukołysać i stłumić owi faktorzy-specjaliści.

Zresztą nie było na razie powodu do narzekań: pod względem wysokości procentów transakcyja finansowa przedstawiała się świetnie—procent otrzymywało się z góry za pół roku, a często i za cały rok, w stosunku 10 do 15, a niekiedy 20 procent.

Co więcej, nie tylko w pierwszym roku procent bywał opłacany, otrzymywało się go i w następnym, w terminach ściśle określonych, których nie chybiono ani razu. Skutkiem tego

wierzyciel milczał i nie kłopotał się o bezpieczeństwo kapitału.

Zdarzało się też, że taka świetna lokata trwała przez lat kilka i dłużnik wywiązywał się akuratnie ze swoich zobowiązań płatniczych, wypłacając, w ciągu lat 6 lub 7, procentami tyle, że mieścił się w nich cały kapitał wypożyczony z procentem prawnym 6 od sta, a mimo to suma zabezpieczona hipoteką nie była naruszona i później odbierało się ją całkowicie.

Zdarzało się to wprawdzie w tych tylko okolicznościach, gdy dłużnikowi się „poszczęściło w interesach,” to jest, gdy zdołał znaleźć dobrego nabywcę na swój dom obdłużony i gdy wogóle wszystkie jego interesy szły jak z płatka.

O takich świetnych operacjach finansowych było głośno w mieście, rozgłaszano o nich umyślnie, aby tym sposobem tem łatwiej pozyskać nowych klientów z kapitałami.

Były to kapitały drobne: od tysiąca do pięciu tysięcy rubli najwyżej, większych bowiem sum nie wypożyczano inaczej, jak przy pośrednictwie adwokatów, chociaż i w tym razie trafiały się mniejsze lub większe szwindelki.

Często bowiem w roli adwokata występował obrońca prywatny, mający swój szyld na bramie i „kancelaryę;“ a bywało i tak, że i przy pomocy „prawdziwego“ adwokata udawało się

„schwycić“ znaczniejszą sumę na hipotekę... na księżycu.

Trudna rada... ludzie są słabi i grzeszni, i tak łatwo ulegają pokusom, które potem okupują nagłą emigracją z kraju i długoletnią nostalgia na obczyźnie.

Takich wypadków było sporo: zwiększyły one doniosłość następstw przesilenia w spekulacji, gdy ujawniło się wiele rzeczy i wiele „ciekawych“ interesów, dla jednej strony bardzo korzystnych, a dla drugiej bardzo smutnych.

A nastąpiło to wszystko w tym właśnie czasie hurtowych bankructw matadorów spekulacji.

Wiele też rodzin znalazło się naraz na bruku, bez dachu nad głową, bez kęsa chleba, bez błysku jutra, bez jakiegokolwiek nadziei na ratunek -- zrozpaczonych; opuszczonych przez wszystkich...

Rodzin takich było tysiące.

Wylały one morze łez, których okupić nie zdoła żadna hojność filantropii tych, co w tej brudnej wodzie spekulacji i szwindlu umieli wyłowić dla siebie miliony.

Grom, który uderzył w ogół spekulantów, dotkliwie drasnął i Zahorskiego.

Na razie nie zdawał on sobie sprawy z grozy położenia, jakkolwiek słyszał coś niecoś o popłochu na rynku pieniężnym, o trudnościach

kredytowych, o spodziewanej drożyznie pieniędzy.

Przeraził się dopiero, gdy otrzymał wezwanie do sądu od jakiegoś Izraela Pomeranca o zapłacenie 5,000 rubli.

— Co to jest?!—zawołał głośno, nie wierząc własnym oczom i odczytując po kilka razy awizację sądową.

— Co się stało?—zapytała pani Zahorska, podbiegając do męża zaniepokojona.

— Alboż ja wiem? Jakiś żyd, którego nazwisko pierwszy raz słyszę, zapożywa mnie do sądu o zapłacenie 5,000 rubli. ●

— Jakto? Nie wiesz, kto?...

— Nie mam pojęcia!

— W takim razie to omyłka!...

— Daj Boże!...

— Ależ tak, niezawodnie! — powiedziała pani Zahorska z tak mocnem przekonaniem, że i Zahorski nabrał otuchy.

— Może masz słuszność...

— Trzeba się dowiedzieć, mój mężu.

— Naturalnie...

— Dziś jeszcze — nalegała.

— Tak, tak, dziś, moja droga...

— Jakże się ten żyd nazywa?

— Nazywa się nieciekawie... Izrael Pomeranc, jak głosi awizacja sądowa.

— Jak? jak?—zawołała pani Zahorska tonem

przerażenia, usłyszawszy tak dziwacznie i nie-mile brzmiące nazwisko.

— Izrael Pomeranc, moja duszko— powtó-rył Zahorski dobitnie i rozśmiał się głośno.

— Fi!—wstrząsnęła się pani— ależ to kom-promitacya niesłychana, żeby ktoś, co tak obrzydliwie się nazywa, śmiał zapożywać ciebie do sądu.

— Cóż robić, moja droga?—odparł pan Zahorski z mimowolnem westchnieniem.

Pani Zahorska pobladła.

— Mówisz to takim tonem, jakbyś istotnie obawiał się pozwu od tego tam jakiegoś...

— Pomeranca — dokończył Zahorski.

— Ach, dajże pokój, nie powtarzaj mi tego nazwiska, lecz zechciej odpowiedzieć.

— Na co, moje dziecko?

— Na to, czy masz przyczyny do obawiania się, że to nie jest zwykła omyłka?

— Alboż ja wiem!—odparł Zahorski, wzruszywszy ramionami.

— Więc się dowiedz, na litość! Jeśli omył-ka, trzeba wyjaśnić; sam przecież mówisz, że nazwisko to słyszysz po raz pierwszy.

— Oby i po ostatni... Nasuwa mi się je-dnak przypuszczenie, że to pewno jakaś cesya należności — powiedział z pewnem zaniepokojeniem.

— I trzeba byłoby płacić?

— Jeśli tak jest, to... naturalnie.

— A więc zapłać! wszakże masz pieniądze?

— Niestety, w kasie pustki... a tu czekają mnie w tych dniach znaczne wypłaty.

— Więc weź od Liebkinda.

— Właśnie o tem myślę, lecz obawiam się, czy to nie on scedował; przypominam teraz sobie, że na taką sumę wystawiałem przed trzema miesiącami weksel. Zaraz to sprawdzę — dodał i udał się do gabinetu.

Pani Zahorska oczekiwała go wielce zaniepokojona, przeczuwając coś niedobrego.

— Trzeba jeszcze, żeby coś zdarzyło się teraz, gdy powzięliśmy już ostateczną decyzję wyjazdu... Mój Boże! już tyle lat nie byłam w Ostendzie! Nie chodzi zresztą już o mnie, lecz o Ludkę... Rudowski na pewno towarzyszyć nam będzie i może nareszcie raz się to wyjaśni... To zwlekanie z jego strony niepokoi mnie bardzo! — rozmyślała pani Zahorska, pełna troski o przyszłość najstarszej córki.

I troska jej była uzasadnioną: upłynęło już pół roku, jak Rudowski nieodstępnie asystował Ludce, lecz oświadczyć się dotąd nie pomyślał, a, co gorzej, w ostatnim miesiącu zaczął rzadziej ich odwiedzać.

Wówczas pani Zahorska obmyśliła plan: albo Rudowski się oświadczy, albo zupełnie się go usunie, żeby nie dawać powodu do plotek i nie zrażać innych konkurentów, poważniej myślących.

Za najlepszy teren do tej próby ogniowej uznała Ostendę i wymogła na mężu solenne przyrzeczenie, że pieniędzy na ten cel dostarczy. Tymczasem, teraz właśnie, gdy tylko dwa tygodnie pozostało do wyjazdu, nie tylko, że pieniędzy w kasie niema, lecz ktoś tam śmie pozyskać o sumę tak znaczną.

W tej chwili powrócił Zahorski z miną wielce zafrasowaną.

— I cóż?—zapytała go niecierpliwie.

— Tak... przed przeszło trzema miesiącami wystawiłem weksel na 5,000 rubli...

— A więc znasz tego, jakiegoś Pome... ranca?—wymówiła pani Zahorska ze wstrętem niemal to nazwisko dziwaczne.

— Broń Boże! Nie znam go wcale, powiedziałem już. Weksel wydałem Liebkindowi, musiał go scedować.

— Bez twego pytania?

— O to nie pytają, moja droga.

— Ależ to bezprawie!

— Owszem, to prawo... wekslowe.

— I cóż teraz począć?

— Trzeba będzie zapłacić, lub też odnowić weksel — odparł Zahorski tonem tak obojętnym, że pani Zahorska przestała się niepokoić.

— Lepiej chyba odnowić; pieniędzy teraz nie masz, a jak będą, to nam samym będą potrzebne; pamiętasz chyba, mój mężu, o konie-

czności wyjazdu... poczyniłyśmy już przygotowania...

Zahorski westchnął głęboko, lecz nic nie odpowiedział.

— A więc?...—dodała pani Zahorska z naciskiem.

— Pamiętam, moje dziecko, i właśnie myślę, w jaki sposób uda mi się zgromadzić odpowiednią sumę... Teraz trudno o pieniądze.

— Alboż to tak wiele?...

— Jak się ma, to niewiele; lecz jak w kasie pustki, to półtora tysiąca jest sumą ogromną, szczególnie teraz, gdy mam znaczne wypłaty.

— Przecież tu chodzi o szczęście naszego dziecka, o jego los przyszły...

— Wiem, wiem... i dlatego postaram się, chociaż nie zupełnie pojmuję, dlaczego to szczęście ma ją spotkać w Ostendzie, czy też w innych jakich kąpielach morskich— zauważył Zahorski z odcieniem lekkiej ironii.

— Jużem ci to tłumaczyła, mój mężu - odparła z pewnem zniecierpliwieniem.

-- Prawda, prawda! zapomniałem! Przepraszam cię, mój aniele; zdawało mi się jednak, że jeśli Rudowski ma poważne zamiary, to również dobrze może je wykonać w kraju, jak za granicą.

Tu pani Zahorska uczyniła gniewne poruszenie. Zauważył to mąż i pośpieszył ją uspokoić, gdyż dodał:

— Skoro jednak uważasz, że tak trzeba,

to trudno! niech będzie tak, jak chcesz. Pieniędzy dostarczę na wyjazd.

Powiedziawszy to, wyszedł, nie chcąc widocznie mówić więcej o tej sprawie, która i dawniej była powodem jego nieukontentowania. Uważał bowiem, że takie wywożenie córki na targowisko międzynarodowe, jakimi są zagraniczne modne kąpiele—jest wprost ubliżające, zarówno dla rodziców, jak i dla panny.

— Jest młoda, przystojna i z dobrej szlacheckiej rodziny, a przytem i jaki taki posag mieć będzie; jeśli więc Rudowski pragnie ją pojąć za żonę, to może się obyć bez wszelkich niepotrzebnych zabiegów z naszej strony; zresztą nie ma się o co Ludka dobijać: taka dobra Zahorska, jak i Rudowski; a że jest młodzieńcem przyzwoitym i zamożnym, to wszakże nie on jeden taki na świecie—rozumował Zahorski, poddając krytyce naiwne, jak się wyrażał, plany swej żony. W końcu jednak ustąpił „dla świętego spokoju,” żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia.

Zresztą, tysiąc czy półtora tysiąca, sumka tak drobna, że nie warto było dla niej wystawiać na szwank harmonię małżeńską, a to tem bardziej, że tu chodziło, jak zapewniała żona, o szczęście Ludki.

— Niech tam! taka zresztą przejażdżka i kąpiele morskie wyjdą im na zdrowie, a i ja będę miał na czas jakiś spokój w domu.

Powziąwszy taką decyzję, Zahorski wykreślił z pamięci tę sprawę, pomyślawszy, że jak trzeba będzie jechać, to pieniędzy dostarczy, chociażby wypadło i pożyczyć; zapisał więc w pamięciowym kalendarzyku 1,500 rub. jako sumę niezbędną za dni dziesięć, poczem, uznawszy, że spełnił to, co do niego należało, wziął się do sporządzenia bilansu swoich aktywów i pasywów w przedsiębiorstwie budowlanem, chcąc się zabezpieczyć, żeby nie spotkała go znów tak niemiła niespodzianka, jak ostatni pozew o 5,000 rubli.

Nad bilansem tym spocił się porządnie, a ostateczny jego wynik zaniepokoił go bardzo poważnie...

Okazało się bowiem, że suma 40,000 rubli kaucyi na rzecz Liebkinda była już prawie w całości wyczerpaną i że skutkiem tego Liebkind w każdej chwili mógł wleźć na hipotekę i łącznie z sumą 30,000 rubli, zahipotekowaną na niższym numerze, stać się faktycznym właścicielem kamienicy. Wprawdzie nowa posiadłość była już na ukończeniu, a hipotekę miała zupełnie czystą, to wszakże i tam wisiały różne wypłaty, jeszcze nieuregulowane, i drobne długi wekslowe, dochodzące, w ogólnej sumie, do 20 tysięcy rubli; czyli, że po zestawieniu domniemanych korzyści i strat, jakie już poniesione zostały na opłatę procentów, okazało się, że sytuacja majątkowa Zahorskiego nie polepszyła

się ani na jotę, a natomiast zwiększyło się ryzyko i niepewność, w razie, gdyby, broń Boże, obliczenia co do dochodności nowo wybudowanego domu miały zawieść, lub też gdyby nastęrczyć się miały jakieś trudności w pozyskaniu pożyczki Towarzystwa w roku przyszłym, gdy kamienica będzie już zaludnioną.

A o tych trudnościach słyssał już to i owo, ostatnio zaś wspominał mu o nich i Molski.

— Trzeba będzie użyć pomocy Sieradza — zadecydował w końcu, będąc pewnym, że do spraw tego rodzaju jest on pośrednikiem niezawodnym, znającym wszelkie proste i krzywe drogi, prowadzące do celu.

W godzinę potem Sieradz, jak zawsze unizony i pokorny, stał u drzwi gabinetu.

— No i cóż tam nowego? — odezwał się wreszcie Zahorski.

— Co ma być nowego, wielmożny dziedzicu? Wszystko jest dobrze. Kładą już dach; da Bóg, że przed jesienią wszystko się skończy, tak, że gdyby zaraz tynkować, to na święty Michał możnaby już mieszkać.

Zahorski westchnął.

— Tak, gdyby można... te przepisy budowlane na wielkie straty narażają właścicieli domów.

— Świętą prawdę wielmożny dziedzic powiedział; one na to tylko są, żeby robić straty! Coby to komu szkodziło, jakby lokatorów pu-

ścić trochę wcześniej?... oni sami chcą, to komu co do tego? Jak kto chce, to nie powinno być żadnego przymusu, ani zabronienia. Każdy człowiek wie, co mu potrzeba i co dobrze jest; to na co te głupie przepisy? Na co te kary? Na co te sądy? — dowodził Sieradz. — Czy one wróca obywatelowi stratę komornego za cały rok?... 10 albo i 12 tysięcy rubli, jak jeden grosz.

— Hm!... może i masz słuszość, mój łaskawco; chociaż, z drugiej strony, chodzi tu o zdrowie mieszkańców.

— O zdrowie?... Jak kto ma zachorować, to zachoruje i w najbogatszym pałacu; a jak kto ma umrzeć, to żadne przepisy, ani komisye budowlane nie pomogą nic! Dlaczego niema przepisów, żeby człowiek z głodu nie umarł, żeby miał co jeść i w co się ubrać, żeby miał z czego komorne zapłacić?... A jak porządny obywatel chce wynająć lokal, to zaraz jest przepis, protokół policyjny, sąd!... Po co to wszystko? — oburzał się Sieradz.

Zahorski uśmiechnął się.

— Bardzo mądrze rozumujesz, lecz ponieważ ani ja, ani Sieradz, nic na to poradzić nie możemy, przeto dajmy pokój; wezwałem cię w pilniejszej dla mnie sprawie: potrzeba mi pieniędzy.

Sieradz okazał minę zafrasowaną i odparł po chwili milczenia:

— Ciężki czas jest na pieniądze.

— Trudna rada... potrzeba mi, mam wypłaty...

— Ja wiem, ale te wypłaty mogą poczekać. Teraz nikt płacić nie chce.

— Nie sposób przecież zatrzymywać zapłaty majstrom i dostawcom.

— Dlaczego nie? Oni mają zarobek od wielmożnego dziedzica, to mogą sobie poczekać trochę... Im najwyżej można dać weksel...

— Nie, nie!... mam już dość tych weksli!— zaprotestował Zahorski energicznie—procenty mnie zjadają. Oto i teraz trzeba będzie zapłacić prolongatę za 5,000 rubli, które ten twój Liebkind jakiemuś żydowi scedował; otrzymałem pozew.

Usłyszawszy to, Sieradz okazał wielkie zaniepokojenie i powiedział:

— To bardzo źle jest... Może wielmożny dziedzic się myli?... Liebkind tego zrobić nie mógł... Po co mu to? on ma hipotekę, on ma kaucyę, to dlaczego on miałby taką głupią... z przeproszeniem, sumę odstępować?... To nie może być.

— Tak jest; nikt inny, tylko on; jemu tylko wystawiłem weksel na taką sumę.

— No, no!... — powiedział Sieradz, zdziwiony i zafrasowany niezmiernie.

— Cóż w tem widzisz tak złego?

— To bardzo niedobrze jest! — powtórzył z naciskiem.—Jeśli pan Liebkind, taki bogacz, to

zrobił, to z pieniędzmi i kredytem muszą być wielkie trudności. A komu on odstąpił?

— Jakiemuś Pomerancowi...

Usłyszawszy to nazwisko, Sieradz chwycił się za głowę.

— Cóż cię tak przeraziło?

— To nie tylko niedobrze jest, ale to całkiem źle jest!... Ten Pomeranc, to tfy!... wielki gałgan jest, wielki lichwiarz!... On powinien siedzieć w kryminale... a że on chodzi sobie jak porządny człowiek po ulicy, to ja się bardzo temu dziwię... Jemu trzeba zapłacić, koniecznie zapłacić, bo on inaczej może dużo zrobić nieprzyjemności wielmożnemu dziedzicowi.

— Przesadzasz, mój łaskawco.

— Wielmożny dziedzic nie wierzy?... Ja go znam... Ja się bardzo dziwię, że p. Liebkind, bogacz, z takim złodziejem chciał mieć interes... on na tym wekslu musiał dużo stracić... Pomeranc inaczejby nie wziął, ja go znam!

— Dlaczegożby miał Liebkind tracić? — zapytał Zahorski, zdziwiony udanem, jak przypuszczał, przerażeniem Sieradza.

— Dlaczego? Dlatego, że potrzeba mu było pilno pieniędzy... i to właśnie bardzo źle jest; bo jak taki bogacz nie ma pieniędzy, to kto je może mieć? Ja już słyszałem, co jest w wekslowym interesie bardzo słabo, że on zachorował na brzydką chorobę, co ją nazywają przesilenie. No, to w interesach Liebkinda ta choroba musi



być. On dużo, bardzo dużo ludziom robił wygody, a teraz sam potrzebuje... ja się dowiem, ja pójdę do niego...

— Idź, idź, a jak nie u niego, to może kto inny... pieniędzy potrzeba!

— Komu nie potrzeba?... Ale niech wielmożny dziedzic będzie spokojny. Sieradz nie pójdzie spać, póki panu dobrodziejowi nie wygodzi, żeby nie było żadnego kłopotu.

— A więc idź, a jutro będę cię czekać...

— Ja może jeszcze i dziś przyjdę, jak się coś dowiem; a z tym lichwiarzem, z tym złodziejem Pomerancem, to ja radzę wielmożnemu dziedzicowi skończyć, żeby on nie robił żadnej kompromitacji po sądach. Wielmożny dziedzic sam widzi, jaki on jest. On zamiast przyjść do wielmożnego dziedzica i interes grzecznie załatwić, wziąć dobry procent za prolongatę, to on zaraz do sądu... Jego trzeba nauczyć tego gałgana, tego paskudnego lichwiarza.

— Dobrze, dobrze, o tem potem, a teraz niech Sieradz się pośpieszy, żeby wydostać pieniędzy.

— Ja już zrobię, niech wielmożny dziedzic będzie spokojny; ja o tym brzydkim interesie sam myślę, ja się bardzo zmartwiłem z tej nieprzyjemności. Ja pojedę do samego Liebkinda, niech on się wstydzi, że on taką brzydką rzecz zrobił, mając hipotekę, mając kaucyę... To wielki wstyd jest dla takiego bogacza.

Po wyjściu Sieradza, Zahorski, uspokojony nieco w swych troskach, pojechał do swej nowej posiadłości, na której wznosiły się teraz potężne już mury czteropiętrowej kamienicy, wyprowadzone pod dach, którego ostatnie wiązania wykończano.

Zdziwił się jednak, że dostrzegł tam dwóch tylko robotników, gdy tymczasem reszta była na dole, skupiona w zwartą gromadę, z której dochodziły go odgłosy jakichś krzykliwych narad, czy też kłótni.

Zdziwienie zaś jego wzrosło jeszcze bardziej, gdy przekonał się, że w tym sejmiku rejdowi i najgłośniejszemu gardłuje dawny podmajstrzy Skwara, którego przed trzema miesiącami wydalono za domniemany udział w kradzieży cegły.

— Co waszmość tu robisz? — zagadnął go ostro, zbliżywszy się do gromady.

— A bo co? — zapytał Skwara zuchwale, występując na przód.

— Pytam, co tu robisz?

— Przedewszystkiem nie tykaj mnie panie, nie jestem pańskim lokajem, ani stróżem — odparł tonem wyzywającym.

— Kto go tu wpuścił? — zapytał Zahorski, zaczerwieniwszy się z gniewu.

Na to pytanie nikt nie odpowiedział.

— Zawołać tu stróża!

Rozkaz ten wykonał leniwo jakiś stary, kulawy robotnik.

Po chwili stróż nadbiegł.

— Dlaczego wpuszczasz tu ludzi, którzy nie należą do robót około domu?

— Cóż miałem robić, wielmożny panie?... Wszedł, nie pytając, brama była otwarta—usprawiedliwiał się stróż, widocznie mocno zafrasowany.

— A cóż to?... miał może mnie za kark wypchnąć!...—odezwał się Skwara zuchwale.— Cóż to? ukradłem co panu? Złodziej jestem, czy co?... Przyszedłem do swoich kamratów, zobaczyć się, pogadać z nimi; nie w niewoli przecież oni są, nie w więzieniu, jeno na swobodnej pracy... dziś tu, a jutro tam!... Zapłać im pan, to zaraz stąd pójdę!—dowodził Skwara, wymachując rękoma.

Zahorski zbladł jak płótno, a zacisnąwszy rękę, hamował się, żeby nie uderzyć laską zuchwalca, który, widział to, był mocno podniecony trunkiem i pragnął widocznie wywołać gorszą awanturę.

Dlatego też Zahorski, chcąc jej uniknąć, nic nie odpowiedział, lecz zwrócił się do robotników i tonem nakazującym powiedział:

— Wyprowadzić go stąd natychmiast! A ty—dodał, wskazując stróżowi bramę—idź po policyę!

Ton stanowczy i zimna krew odniosły skutek, gdyż Skwara zawołał:

— Oho!... zaraz po policyę... Cóż to? pan myślisz, że ja się boję?... Ukradłem co?... Pójdę i sam, bo tak mi się podoba, a pan zapłać co się komu należy, nie daj, żeby żydy oszukiwały chrześcijan... To mi pan!...—krzyczał na cały głos jeszcze na ulicy, waląc pięścią w parkan, którym plac był ogrodzony.

— Czego on tu chciał ten nicpoń?—zagałnął Zahorski z udanym spokojem.

— At!... upił się, proszę łaski pana, to plecie co mu ślina do gęby przyniesie — odparł podmajstrzy, który na miejsce Skwary był zgodzony.

— Żeby mi się to więcej nie powtórzyło!—powiedział surowo.—Ty zaś pamiętaj, żeby na plac nikt, oprócz robotnika, wejść nie śmiał—dodał, zwracając się do stróża, który widząc, że Skwara sam poszedł, powrócił z ulicy, uznawszy, że niema już po co wzywać policyi.

— Słucham wielmożnego pana.

— Żeby brama była zawsze zamknięta—dodał jeszcze;—teraz niema dowozu materiałów, to i niema potrzeby jej otwierać; wystarczy furtka.

— Słucham wielmożnego pana.

Teraz Zahorski zwrócił się do robotników, a głównie do podmajstrzego, i zapytał:



— Co on tu mówił o zapłacie za robotę?...
kto ma jakiegokolwiek pretensye?

Nikt na to nie odpowiedział.

— Powtarzam raz jeszcze: kto ma jakie pretensye, niech wystąpi.

Wówczas jeden ze starszych robotników zdjął czapkę z głowy, i postąpiwszy ku Zahorskiemu kilka kroków, powiedział:

— Kiedy wielmożny pan każe, to i powiem... My wszyscy, już od miesiąca, dostajemy tylko połowę robocizny.

— To być nie może!

— Tak jest, proszę łaski pana—potwierdził podmajstrzy.

— Prawdę mówi!—odezwało się kilka jeszcze głosów.

Zahorski zmarszczył brwi i rzekł krótko:

— Sprawdzę to; a jeśli tak, otrzymacie jutro co się wam należy.

— Dziękujemy pokornie! — odpowiedziano chórem—my wiemy, że to nie wielmożny pan, tylko ten żyd nas zwodzi... I nie tylko nas, ale i tych, co byli przed nami; chodzili oni, chodzili wiele razy po swoje, wymyślali, chcieli bić nawet, ale im umknął szelma.

— I nie zapłacił im?

— Bogać tam!... Groszami ich zbywał; więc też, gdy dostali robotę gdzieindziej, plunęli i przestali chodzić.

— Ja to sprawdzę—powtórzył raz jeszcze

Zahorski i odszedł na stronę, dotknięty do żywego i zawstydzony temi skargami robotników, którzy pokrzywdzeni zostali nie przez niego wprawdzie, lecz w jego imieniu.

Nie po raz pierwszy dochodziły go takie skargi, zawsze jednak Sieradz umiał się wytłumaczyć, upozorować zwłokę wypłat jakimiś względami mniej lub więcej uzasadnionymi: to że robotnicy kradli nowe deski i inny materiał budowlany; to że opuszczali dni robocze, albo też spóźniali się na robotę, lub też wreszcie, że dawał im zaliczki, o których potem zapominali. Ekskuzy te kończył zwykle w ten sposób:

— Co wielmożny dziedzic słucha tych leniwych pijaków?... Oni zawsze będą gadać, jak kto zechce ich słuchać. Oni muszą się skarżyć, muszą pleść na tych, co im żyć dają. Wielmożny dziedzic ich zna bardzo dobrze... to wszystko chamy ze wsi, co chcieliby swego dziedzica okraść, żeby tylko nic nie robić. Czy kto widział, żeby chamowi kto dogodził? On zawsze potrzebuje sobie stękać i narzekać, że mu jest źle, że mało płacą, że go oszukują.

— Nie powinni tego mówić...

— Co im można zrobić, jak oni chcą gadać?... Ja wiem, że oni na mnie wygadują brzydkie bardzo rzeczy, a jednak, jak im przyjdzie głód i bieda, to oni są bardzo grzeczni i wtedy żaden z nich nie powie, że Sieradz jest zły, że jest szachraj, że nie płaci; lecz każ-

dy przyjdzie z wielkim pokłonem, jak do swego dziedzica, jak do jakiej wielkiej urzędowej osoby, i prosi i błaga, żeby mu dać z góry kilka rubli. Tak jest zawsze, tak było i tak będzie... A gdyby było jakie oszukaństwo, to onby nie potrzebował się nisko kłaniać, nie potrzebowałby prosić, onby *kazał*, żeby mu zapłacić, onby z wielkim hałasem krzyczał na policję, na „myrowego,” że go oszukano... No, a jak on nie krzyczy, to on nie ma racji... A że on gada, to niech on gada!... Jemu się nudzi przy robocie, to on potrzebuje gadać... Co to szkodzi?...

Tak rozumował zawsze Sieradz, ile razy wniesiono nań jakieś oskarżenia za niesumienność w wypłacie robocizny.

I Zahorski poprzestawał na tem tłumaczeniu, będąc poniekąd przekonany, że jest w tem wiele słuszności i znajomości psychologii prostego ludu. Ostatnie jednak utyskiwania robotników dotknęły go osobiście, domyślał się bowiem, że tym razem były one uzasadnione.

Sieradz niejednokrotnie przypominał, że brak mu pieniędzy na wypłaty, że weksłu, który Zahorski wystawił przed trzema tygodniami, dotąd zdyskontować nie mógł, że gotówki trudno było znaleźć na lekarstwo i że tysiąc rubli, jakie opiewał weksel, uważane były za sumę ogromną, wtedy, gdy przed miesiącem jeszcze pierwszy lepszy lichwiarz gotów był dać

sam, lub wydostać dziesiątki tysięcy, aby tylko była jaka taka ewikcyja i dobry procent.

— Trzeba będzie z tem skończyć ostatecznie! — zdecydował w myśli, kombinując, jak byłoby najłatwiej zaciągnąć większą pożyczkę, żeby pospłacać drobne długi, pozostawiwszy ostateczną regulację długów hipotecznych do przyszłego roku, gdy dostanie pożyczkę Towarzystwa, lub gdy trafi się dobry kupiec na dom.

Wolałby nawet to drugie, gdyż, jak się obliczył, wzięwszy w rachubę ogromne procenty, jakie zmuszony był już zapłacić — przyszedł do wniosku, że przedsiębiorstwo budowlane, jakie podjął, nie było tak „brylantowym“ interesem, za jaki go przedstawił Sieradz.

Jak dotąd, bowiem, było ono źródłem rozmaitych kłopotów, niepokojów i powikłań finansowych!

— Tak, trzeba będzie z tem skończyć!... mam już dość tych kłopotów! — powiedział do siebie i postanowił dołożyć wszelkich starań, żeby wydostać większą pożyczkę na procent umiarkowany.—Nie jestem przecież bankrutem, mam majątek i mogę dać wszelkie bezpieczeństwo dla pożyczającego, to przecież powinienem dostać pieniędzy, bez względu na gwałtowne przesilenie na rynku pieniężnym.

Tak uspokajał siebie Zahorski i {z niecierpliwością czekał dnia tego na Sieradza, będąc

niemal pewnym, że ten wynajdzie sposób wywikłania się z chwilowych trudności.

Przyszła mu wprawdzie myśl zwrócić się o pożyczkę do Rudowskiego, lecz rychło jej zaniechał, przyszedłszy do wniosku, że, ze względu na jego zamiary matrymonialne, nie wypadało jakoś wtajemniczać go w swe kłopoty finansowe.

Czekał więc na Sieradza.

Nie pokazał się on wszakże przez dzień cały.

— Widocznie się stara i może jest już na dobrej drodze—myślał.

Nazajutrz, wczesnym bardzo rankiem, Sieradz się stawił.

— No i cóż?

— Niech Bóg broni, jakie teraz czasy!... Pieniądzy nikt nie chce dać; wziąć, toby każdy wziął, ale o pożyczeniu to nikt nie chce słyszeć... każdy sobie zatyka uszy! — powiedział Sieradz z miną przygnębioną.

Wiadomość ta zgnębiła i Zahorskiego, gdyż zwiesił głowę na piersi i zaczął nerwowo bębnić palcami po stole.

Sieradz stał u drzwi i milczał również.

— Cóż więc radzisz?—zapytał wreszcie Zahorski, podnosząc głowę.

— Co ja mogę poradzić?... Ja, gdybym miał, to wielmożnemu dziedzicowi przyniosłbym tyle, ile potrzeba, bo ja wiem, że to byłby dobry interes i pewny, no, ale ja nie mam; ja nie mogę

odebrać swoich kilku tysięcy rubli, co mi się już od dawna należą; ja będę musiał procesować. Ciężki teraz czas jest...

— Do kogo zwróciłeś się o pożyczkę?

— Do kogo ja się nie zwracałem? Ja cały dzień chodziłem i jeździłem po mieście, do każdego, co z pieniędzmi handluje: prosiłem, obiecywałem, przysięgałem, że to interes czysty jak złoto, którego ja się sam chciałbym podjąć; ale nikt nawet słuchać nie chciał, każdy ogłuchł...

— Więc jakże będzie? pieniędzy na gwałt potrzeba; upominają się nawet mularze i cieśle; mówią, że już od miesiąca nie otrzymali całkowitego zarobku, że wypłacasz im kapaninę—zalił się Zahorski, wielce zafrasowany, czyniąc w myśli plan zastawienia chyba sreber domowych i klejnotów żony.

Położenie wydało mu się wprost rozpaczliwe: miał niby jaki taki majątek, a nie mógł dostać drobnej nawet pożyczki. Zgnębiony wielce, zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju i wyrzekać po cichu:

— A to fatalne czasy nastały! Co robić? co robić?...

Nagle zatrzymał się: błysła mu myśl zbawcza, a właściwie rozpaczliwa—za taką ją bowiem uważał jeszcze przed tygodniem; teraz jednak, wobec zmienionych warunków kredytowych, innego wyjścia nie widział.

— Tak, niema rady! — powiedział głośno—

trzeba starać się o pożyczkę hipoteczną; chciałem doczekać się pożyczki Towarzystwa, jaką otrzymam w roku przyszłym, ale, jak nie można, to nie można. Zawsze taniej dostanę pieniędzy na hipotekę, aniżeli na weksel.

— Ja i sam tak myślałem — odezwał się Sieradz.

— A więc staraj się.

— Ja już starałem się, ale i na hipotekę dziś nikt dawać nie chce.

— To być nie może!... Przecież to rzecz najpewniejsza w świecie.

— Ona pewna jest; ale jak nie chcą dać, to co zrobić?... Wielmożny dziedzic myśli, że ja koło tego interesu mało już chodziłem?... Ja wiedziałem, że do tego przyjść musi... Teraz jednak czas taki paskudny, że każdy się boi wypuścić grosz z ręki i trzyma go nie w jednej ręce, a w obydwóch, całą garścią.

— Cóż znowu! Nie byłoby żadnego wyrachowania trzymać pieniądze bez procentu.

— Owszem! wielkie wyrachowanie jest, bo dziś mając gotowy kapitał, można na nim zarobić w jednym dniu dwa razy, trzy razy, całe pięć razy nawet. No, to po co on ma komuś dawać na hipotekę na głupie 10 procent, a nawet na 12?...

— Przesadzasz, mój panie Sieradzu! Cóż to za świetne interesy, na których można tyle za-

robić? Nawet gra na giełdzie takich zysków nie daje, choćby była najszcześliwiej prowadzoną.

— Giełda?... Co jest dziś giełda?... Tam... tfy! same bankruty, to co można od nich zarobić? Tu inny, lepszy niż giełdowy interes jest... a jeśli go jeszcze niema dziś, to on będzie jutro, albo za tydzień...

— Tłómacz się jaśniej — powiedział Zahorski, niezmiernie zaciekawiony.

— To bardzo jasny interes jest... Teraz pieniądz jest drogi, on pochował się bardzo głęboko i nikt nie chce płacić, bo każdy sam potrzebuje: każdy właściciel domu, każdy dziedzic na wsi, każdy fabrykant, każdy kupiec... krótko mówiąc: wszyscy. W kancelaryach rejentów złożono w ciągu tygodnia więcej jak sto tysięcy weksli do protestu... Tego nigdy nie bywało!... To wielki krach i wielki strach, z którego będzie jeszcze większy gwałt na licytacyach. Pan dobrodziej rozumie?... Ja sam wiem, że na ten miesiąc wyznaczono już sto licytacyi samych domów w Warszawie, pięknych domów, wielkich domów. A kto te domy kupi?... Ten, co ma pieniądze! No, to dlatego i nikt dziś nie chce dać pieniędzy na hipotekę, nawet na 1-szy numer, bo to żaden interes, a czeka i czekać będzie dotąd, póki nie trafi mu się szczęście, że on dom, co wart 100,000, kupi za 30 albo 40 tysięcy; on nawet nie potrzebuje dać całej sumy, wystarczy, jak da 10 tysięcy, albo najwy-

żej 15... Pan dobrodziej rozumie, jaki to interes jest?...

Zahorskiemu wobec tego obrazu ruiny, jaka mogła być następstwem licytacji — ścierpła skóra na samo przypuszczenie, że i jego może to spotkać. Zapowiedź tego już miał w kieszeni pod postacią pozwu na 5,000 rubli. Jeśli nie zapłaci, mogą go również zlicytować; za jednym pozwem pójdzie drugi i trzeci, a wówczas i Liebkind czekać nie zechce...

— Tak pozostawić tego nie można, nie można w żaden sposób! — myślał, strapiony i zafrasowany nie na żarty.

Sieradz tymczasem ciągnął dalej:

— A jak kto nie chce kupić dom, to on sobie kupi wieś, a jak nie wieś, to fabrykę, albo wielki handel za pół darmo... teraz takie czasy. Nawet nasze żydki krzyczą już, że wielki jest strach i nieszczęście. Wczoraj zbankrutował kupiec z Nalewek, bogacz, bo nie mógł zapłacić 3,000 rubli... No, kto to słyszał?... To wielka bieda jest!...

Zahorski westchnął ciężko i nagle przypomniały mu się te namowy Sieradza, jakimi go skusił do kupna placu i do budowy domu, obiecując, że to będzie interes czysty jak złoto, „brylantowy.“ Spojrzał więc z gniewem na Sieradza i rzekł tonem gorzkiej wymówki:

— Teraz śpiewasz inaczej, jak puszczyk, a przecież to tyś mnie namówił na tę budowę.

— No, czy ja mógł wiedzieć, że będzie takie nieszczęście?... Czy ktokolwiek mógł o tem wiedzieć?... Co ja winien?... Ja radbym, żeby wielmożny dziedzic na tym interesie dużo zarobił, bo i Sieradz, biedny Sieradz, co ma żonę i sześcioro dzieci, mógłby zarobić—odparł z wielką żalością w głosie i z wybornie udanym współczuciem dla kłopotliwego położenia Zahorskiego.

— Więc staraj się przynajmniej o pożyczkę hipoteczną.

— Ja będę chciał, ja będę bardzo szukać, jak swoje dzieci kocham, ale i niech wielmożny dziedzic poszuka... można ogłosić w gazetach, można obiecać dobre faktorne.

— A jak nie dostanę, to dom sprzedam!—powiedział Zahorski z rezygnacją.

Na twarzy Sieradza odmalowało się przeżalenie wielkie.

— Niech wielmożny dziedzic tego nie mówi.

— Mam już dość tych kłopotów...

— Wielmożny dziedzic tego nie zrobi, Sieradz tego nie dopuści, bo to byłoby wielkie nieszczęście, byłaby wielka strata.

— Dlaczego?

Sieradz wykrzywił usta w smętnym uśmiechu i powiedział:

— Kto teraz dom kupi?... Jeszcze taki dom, co dopiero na przyszły rok się wykończy!... Teraz domów całkiem gotowych jest bardzo

dużo na sprzedaż, każdy chce sprzedać. A jak każdy chce sprzedać, to kto kupi? A jeśli kupi, to co może dać? Niech wielmożny dziedzic sam osądzi. Nie!... Sieradz na to nie pozwoli; nie pozwoli, żeby wielmożny dziedzic miał stracić, potem przeklinać Sieradza, jego żonę i sześcioro dzieci... Ja biedny żyd, ale ja mam sumienie i ja zrobię tak, żeby wielmożny dziedzic nie miał potrzeby narzekać.

— A więc rób! A za twoją życzliwość potrafię się odwdzięczyć.

— Ja wiem, ja jestem spokojny; a niech wielmożny dziedzic napisze ogłoszenie do gazet, że potrzebuje pożyczki hipotecznej, to nie zaszkodzi... może się kto trafi.

— Dobrze, dobrze, niech tylko Sieradz nie marudzi i ze swojej strony działa energicznie; na pośpiechu zależy mi bardzo.

— Ja już idę, ja biegnę, ja nie usiądę, ja chcę pokazać, że dla wielmożnego dziedzica Sieradz gotów tak, jak dla samego siebie, jak dla własnego ojca. Ja będę chciał, ja będę bardzo chciał!.. wywnętrzał się faktor, pragnąc okazać swą wielką gorliwość.

— Dobrze już, dobrze; wierzę ci, mój łaskawco, a więc śpiesz! — powtórzył Zahorski, już zniecierpliwiony.

Gdy Sieradz znalazł się na ulicy, na jego ustach pojawił się zagadkowy uśmiech;

szedł bez najmniejszego pośpiechu, monologując w ten sposób:

— Niech on sobie ogłasza!... Dlaczego nie?... On może myśli, że do niego przyjdą kapitalisty... dziesięć, albo całych sto, i będą go prosić, żeby on wziął pieniądze. Aj, aj!... żebym ja tak zdrow był, jak to będzie!... On może czekać cały rok, a nawet pies wściekły do niego nie przyleci!... Teraz taki strach poszedł na kapitalistów, że każdy się bardzo boi... nasze żydki dobrze ich nauczyli... No, ale oni zawsze głupi są i bez żydków obejść się nie mogą; jak więc chcą komu pożyczyć, to pytają się i radzą nie adwokatów, ale nas... tak było zawsze i tak będzie. Bez nas ani jeden grosz nie pójdzie na pożyczkę, nawet na najlepszą hipotekę. Inaczej nie może być, bo inaczej nie możnaby nam żyć i dać jeść żonie i dzieciom.

Tak rozmyślając, przyszedł Sieradz do cukierni w okolicy ogrodu Saskiego, gdzie o tym czasie odbywał się jawnie sejmik macherów w handlu pieniędzmi.

Pomimo wczesnej pory, było w niej aż czarno od głów kędzierzawych i panował rozgłos ożywionych dysput, prowadzonych w żargonie, dla nich tylko zrozumiałym.

Na samym wstępie, przy stoliku, stojącym u samych drzwi, siedział żyd o wstrętnej powierzchowności, z łbem czerwonym jak miedź, zyzujący na lewe oko, a przytem tak niechluj-

nie ubrany, że trzeba się było dziwić, iż wpuszczono go do cukierni, roszcżącej pretensye do tytułu pierwszorzędnej.

Zobaczywszy Sieradza, właściciel czerwonej głowy wstał i przywitał go poufale, lecz z odcieniem pewnego poważania.

Sieradz, zobaczywszy go, rozśmiał się głośno i zawołał:

— A... Pomeranc!... Czemu się ty nie kazesz pozłocić?—zapytał jowialnie, wskazując na jego czerwone włosy.

Pomeranc rozśmiał się również z tego dowcipu i odparł:

— Teraz ciężkie czasy, panie Sieradz, to na złocenie szkoda pieniędzy.

— Nu, nie takie ciężkie... Ty już grube masz interesy, ty masz weksle na całe pięć tysięcy... ja wiem!

Pomeranc uśmiechnął się.

— No, co robić? jak niema swoich, to dobre i cudze. Mnie pan Liebkind kazał.

— Ty mnie nie potrzebujesz tego mówić, ja sam wiem!

— Czy on zapłaci?

— To nie twoja rzecz! Ty rób jak ci kazali. Tobie kazali straszyć, to ty potrzebujesz straszyć... Ty potrzebujesz być jak ten strach w ogrodzie, rozumiesz?...

— Ja to rozumiem, ja to bardzo rozumiem—odparł Pomeranc.

— Gdybyś ty rozumiał, tobyś ty już dawno powinien był wynająć się jako strach na wróble—dowcipkował znów Sieradz;—ty masz taką twarz, że wróble na całą wiorstę od ciebie uciekałyby.

— Co ja temu winien?... To mój tata był temu winien. Dlaczego mi on lepszej twarzy nie dał!—odciął się Pomeranc.

— No, no!... jak ty będziesz miał rozum i pieniądze, to ty jeszcze znajdziesz ładną żydówkę, co się z tobą ożeni.

— Daj Boże!...

— No, a tymczasem ty rób co ci kazali, ty strasz!—zakończył Sieradz, i kiwnąwszy nie dbale głową, udał się w głąb cukierni.

Przy głównym stole siedzieli tu matadorzy spekulacyi budowlanej, która obecnie przechodziła tak ciężkie przesilenie.

Znać to było po zakłopotanym wyrazie ich twarzy i tęsknej zadumie, jaka malowała się w oczach.

Przy tym stole też było dość cicho; rozmowa podtrzymywana była urywanemi zdania-mi, jakie ten i ów rzucał od niechcienia, wyrwany na chwilę z zamyslenia, w jakie był pogrążony.

Za to przy drugim stole, stojącym w rogu salonu, było bardzo gwarно.

Siedzieli tu bowiem panowie „żyranci,“ którzy do niedawna jeszcze byli wyrocznią w spra-

wach kredytu wekslowego, którzy obracali co-roczenie dziesiątkami milionów rubli, którzy w bankach i instytucjach kredytowych byli honorowani i uważani za najlepszych klientów, a którym dziś żaden bank nie dałby kredytu i dziesięciu rubli—nie dlatego wszakże, żeby im nie ufał, lecz dlatego, że musiał sam gromadzić gotówkę, żeby mieć możność wywikłać się z osobistych zobowiązań i depozytów prywatnych, złożonych na rachunek bieżący, którymi szafowano nieogłędnie, licząc na niewyczerpane źródło kredytu w Banku Państwa, co tak nagle zostało zabarykadowane dekretem ministeryalnym. Cios ten wszakże nie zdołał zgnębić panów żyrantów, ani też stłumić ich energii przedsiębiorczej. Każdy z nich bowiem miał już czas tak się obłowić, że bez obawy patrzył w przyszłość i rozglądał się w sytuacji, obmyślając plany dalszej działalności, zastosowanej do zmienionych warunków kredytowych.

Jedna spekulacja dobiegła swego kresu, trzeba więc stworzyć drugą, niemniej korzystną. Interes „żyrowy“ się wyczerpał, gra na zwyżkę placów i domów także. Lecz to nic nie szkodzi, to jeszcze lepiej dla tych, co mają dużo gotówki, mocno trzymanej, zdolnej w każdej chwili do rzucenia się na zdobycz, jaka się może nastreczyć w nowej spekulacji.

— Była gra na zwyżkę, teraz pójdzie na zniżkę. Aj, aj! co to za interes może być!... —

mówili ci, którzy umieli ocenić następstwa przesilenia.

To też panowie rycerze „żyra“ byli w wybornych humorach i łykali ślinkę na myśl o tych zyskach, jakie obiecywała im najbliższa przyszłość.

Mieli już nawet ich przedsmak.

Poczęli się bowiem zgłaszać do nich współwyznawcy, namiętni spekulanci na place, które teraz — przyciśnięci potrzebą — ofiarowali się sprzedać za połowę, za ćwierć ceny; oferty te wszakże odrzucano pogardliwie, mówiąc:

— Plac?... Co to jest plac? Co on dziś wart?... Kto za niego może co dać? Czy on przyniesie jaki procent?...

— No, to przecież jest ziemia...

— Ziemia?! Ona dziś dobra dla ogrodnika może być, ale nie dla nas. Po co nam plac, kiedy za te same pieniądze można kupić dom, na którym za rok można będzie zarobić 100 albo i 200 procent?

I w obliczeniach tych nie było najmniejszej przesady.

W ostatnim miesiącu sto przeszło posesyi miejskich wystawiono na licytację i ta okoliczność była właśnie przedmiotem ożywionych narad panów kapitalistów.

Do udziału w tych naradach przypuszczano zawodowych „słomianych“ licytantów, którym wydawano dyspozycje odpowiednie.

Nie tylko wszakże debatowano o licytacjach, które już ogłoszono, lecz i o tych, które pójdą w następnej kolei.

Wydawano więc formalne wyroki na ruinę obywateli, którzy mieli nieszczęście nieogłędnie uwikłać się w długi lichwiarskie.

Decydowano również, po uprzednich naradach, bardzo ożywionych, przechodzących niekiedy w zacięte kłótnie, kto jaki dom ma nabyć. Jeśli kupno którego domu dawało widoki wielkich korzyści, wtedy kandydatów na nie było wielu i każdy z nich starał się wykazać i udowodnić swe prawa, już to wysokością sumy hipotecznej, już to innymi względami, bardziej „delikatnej“ natury.

Najczęściej wszakże głównym przywilejem do nabycia tytułu własności była wysokość sumy hipotecznej, to jest, że kto był najpoważniejszym wierzycielem, temu przyznawano prawo do kupna i solidarne poparcie całej grupy licytantów.

Prócz tego jednak miano na względzie i drobniejszych wierzycieli, o ile ci mieli swe sumy na niższych numerach hipoteki; szło więc o to, aby ostateczną ocenę szacunku ustalić w ten sposób, żeby nikt nie był stratny z pośród tych, co należeli do tego stowarzyszenia zawodowych licytantów. Innych współwyznawców, stojących poza tem szanownem gronem, pomijano, nie biorąc wcale w rachubę ich wierzytelności.

Zdarzały się z tego powodu różne nieprzyjemności, o ile który z takich „pominiętych“ dowiedział się o zamachu na jego kieszeń.

Wpadał on bowiem z wielkim hałasem, lamentem i groźbami, zakłócając harmonię narad tego zacnego areopagu.

— Ja wam popsuję całą licytację!... — wołał. — Ja pójdę ze skargą do prokuratora!...

— Ty potrzebujesz być cicho! Ty możesz sobie skarżyć się, ale ty nie rób gąłasu i gwałtu.

— Ja pójdę do samego rabina!...

I ta pogrożka wszakże niewielki odnosiła skutek.

— Co nam do rabina?... on jest wielki w bóżnicy, ale kiedy idzie o interes, nasz interes, to co on może nam zrobić? To nie jego rzecz! — odpowiadano z lekceważeniem.

Wiedzano bowiem, że i z rabinem można sobie dać radę, można mu wytłómaczyć...

Niekiedy jednak interwencya rabina odnosiła pewien skutek, szczególnie, gdy szło o jakiego biedniejszego żyda, który mógł stracić cały swój dobytek.

Wtedy dawano mu połowę lub trzecią, a nawet czwartą część sumy, względnie do tego, na jakim numerze hipoteki była umieszczoną.

Gdy jednak nie był z tego zadowolony i domagał się całej sumy, wtedy tłómaczono mu, że może nic nie dostać.

— To gwałt, to rozbój!... Dalczego ja mam tracić?

— Dlatego ty musisz stracić, że i inni tracą. Kto ci kazał pożyczać na taki niski numer?

— A co ja miałem zrobić, kiedy wyżej było już zajęte... ja miałem weksle...

— Ty dziękuj Bogu, że tobie dają jeszcze dobrą część... Co teraz weksle są warte? kto za weksle takiego bankruta da choć grosz?... Ty głupi jesteś, jeśli ty narzekasz... Bierz co ci dają i bądź kontent.

No, i w końcu taki żydek musiał być kontent, wiedząc, że teraz gotowy grosz wart dwa i trzy razy tyle, co najlepsza hipoteka.

Brał więc pieniądze i z góry już planował, jak puścić je najkorzystniej w obrót, żeby nie tylko powetować stratę, ale jeszcze i zarobić.

Ciekawe były bardzo dyspozycje, wydawane na prowadzenie licytacji.

Wyznaczono mianowicie każdemu z uczestników rolę odpowiednią:

— Ty, Jasek, dociągniesz do 50,000 rubli.

— Ty, Abram, postąpisz sto rubli.

— Rubinsohn, jako wielki bogacz, skoczy na całe dziesięć tysięcy!...

— Aj, aj!... — śmiał się Rubinsohn z wielkiego ukontentowania, że wyznaczono mu tak piękną rolę, wtedy, gdy cały jego majątek nie wynosił 10 rubli.

— A jak ty skoczysz tak wysoko, to ty

potrzebujesz wyskoczyć za drzwi, a za tobą Josesek i Abram; a Moryc, co chciał kupić za 40 tysięcy, powie wtedy, że on się rozmyślał...

— No, a jak mnie wezmą do kozy?

— To ty sobie posiedzisz...

— A co ja za to dostanę?

— Ty dostaniesz w kozie śniadanie, obiad i kolację, jak jaki bankier — pokpiwano z Moryca.

— Ty dostaniesz jeszcze w kark od samego pana dozorca...

— Aj, aj! jaki wielki dla niego honor!...

Śmieli się wszyscy, śmiał się i Moryc, gdyż wiedział, że oprócz wymienionych „korzyści“ dostanie jeszcze za każdy dzień kary po 3, a może i po 5 rubli, jak interes się uda.

Radby też był, żeby go potrzymano w kozie jak najdłużej. Miał przecież żonę, babkę żony i pięcioro drobiazgu.

Ciekawe niezmiernie stanowisko zajmował w tej spekulacji licytacyjnej Liebkind, bogacz, pan Liebkind, który, trzymając się niby z daleka od bandy licytantów, występował z pretencją tylko wtedy, gdy wchodziła na stół kwestya kupna takiego domu, który dawał znaczne widoki korzyści natychmiastowych: 50 na 100 albo i 100 na 100...

Wtedy bowiem i on zgłaszał swoją kandydaturę do kupna.

Wiedzano, co to ma znaczyć; Liebkind bo-

wiem nie tał się z tem, że nie ma już zamiaru domów kupować, gdyż likwiduje swe interesy.

Dlatego więc próbowano perswadować mu, przypominając, że ma już dosyć, że i inni żyć potrzebują.

Perswazyje te jednak nie pomagały, ani też prośby i groźby.

— Co to jest „dosyć?” Co komu do moich pieniędzy? Dlaczego ja nie mam zarobić?—oburzał się pan Liebkind.

— No, no! pan Liebkind tylko żartuje! Pan Liebkind tylko chce straszyć. Pan Liebkind nie chce krzywdy biedniejszych żydów—mówiono, starając się wbić go w ambicyę.

— To żadne są żarty! Wy potrzebujecie wiedzieć, że ja stanę do licytacyi i albo sam kupię, albo popsuję wam cały interes—groził.

— Aj, aj! Pan Liebkind, wielki bogacz, miałby takie brzydkie rzeczy robić? No, no! lepiej zrobić między nami zgodę, dobrą zgodę... I pan Liebkind weźmie swoje i my... Każdy potrzebuje zarobić, każdy żyć musi.

— Do zgody i ja gotów, róbcie zgodę. Ile?...

Tu następował targ

Proponowano Liebkindowi 200, 300, 400 rubli, i tak dalej postępowano po setce, aż wreszcie Liebkind dawał się zmiękczyć i brał od 300 do 1,000 rubli, względnie do oczekiwanych korzyści z kupna, i chował najspokojniej

te pieniądze do kieszeni, jako haracz, słusznie mu należny.

„Oszukać“ go nie było sposobu, ani też utaić jakąkolwiek tej natury spekulację licytacyjną. O każdej z nich bowiem był powiadamiany w swoim czasie przez faktorów, których całą sforę miał na usługi.

Jego współwyznawcy nie gniewali się nawet o ten wyzysk, uważając go jako zwykły spryt handlowy człowieka, który umiał korzystać ze swej siły finansowej.

Każdy z nich, na jego miejscu, czyniłby to samo i nie miałby sobie nic do wyrzucenia.

— Pieniądz musi robić!

— On jest jak dobry robotnik, jak maszyna parowa, która iść musi, kiedy w niej pali się ogień. Jakby ona stanęła, toby było źle!—rozumowano, bijąc czołem przed tą olbrzymią potęgą pieniądza, potęgą, do której każdy z nich wzdychał i dążył całą siłą ducha, to jest: sprytem, przebiegłością, oszukaństwem, nieliczeniem się z żadnymi względami sumienia i uczciwości.

— Uczciwość! Co jest uczciwość? co za to kto da? Jaki ona procent przynieść może? Tu trzeba mieć głowę i rozum. A kto ma rozum, to ma kapitał i musi zarobić; a od kogo zarobić, jeśli nie od tego, co rozumu nie ma? Na tem cały świat stoi i z tego silny jest każdy żyd i cały Izrael. I tak musi być, gdyż w Talmu-

dzie napisane jest, że gdy przyjdzie Mesjasz, to żydzi będą mieli w swych rękach wszystkie skarby świata i będą mieli „taki skarbiec, iż trzysta oślic będzie potrzeba, aby uniosły klucze od bram i zamków jego. I wszystkie narody przyjmą wiarę żydowską, tylko chrześcijanie tej łaski nie dostąpią, ale zostaną do szczytu wygubieni. I wszystkie królestwa żydom będą dane, i wszystkie narody będą im służyły i każdy żyd będzie miał 2,800 niewolników. A starym nieprzyjaciołom żydów wyrosną wtenczas z ust zęby na 62 łokcie długie.“

A jeśli tak powiedziane jest, to niema żadnego grzechu, jeśli można kogoś „oszukać;“ bo jak kto oszuka, to ma rozum, a jeśli oszuka chrześcijanina, to ma więcej jak jeden rozum, albowiem pozwolona jest obłuda żydom na tym świecie przeciwko bezbożnym.

Ta mądrość talmudyczna, jakkolwiek nie przez wszystkich spekulantów i lichwiarzy uświadomioną była w teoryi, to wszakże w praktyce stosowaną była szeroko, w myśl odwiecznej zasady, że „wszelka posiadłość i wszelkie dobro, niebędące w rękach żydów, uważa się jako dobro opuszczone, jako piasek morski, i że pierwszy, który je zajmie w posiadanie, będzie prawdziwym jego właścicielem.“

Tak mówi Talmud, księga boska, której słuchać muszą, jeśli pragną przyjścia Mesyasza.

Posłuszni też byli jej przykazaniom, które

wydawały w ich ręce wszelkie bogactwa, wszelkie złoto i wszelkie dobro, jakie jest na ziemi.

Najzagorzalszymi talmudystami w praktyce życiowej byli właśnie „bohaterowie“ wyzysku, jakich przesunęła się przed naszymi oczami cała galerya, pełna różnorodnych typów, lecz ożywiona jedną myślą, jednym pragnieniem i dążąca do jednego celu, którym był wszechwładny, potężny, silny i hojny bożek—pieniądz.

II.

W ogromnej posesyi Molskiego panował ruch niezmierny.

Bez względu, że dom i oficyny nie były jeszcze wewnątrz wykończone, bez względu, że w lokalach czuć było wilgoć i czad, wydobywający się z piecyków z koksem, porozstawianych tu i owdzie, dla prędszego osuszenia murów, że na dziedzińcu i schodach leżały jeszcze śmiecie i gruz, których nie zdołano uprzątnąć—dom się począł zaludniać.

Z różnych stron miasta wprowadzali się lokatorowie; dziedzińce zatłoczone były furgonami, pełnymi ruchomości, spiętrzonych tak wysoko, że trzeba było część ich zdejmować przed samą bramą, co tamowało komunikację i było

powodem krzyków i wymyślań: woźniców, tra-
garzy, lokatorów i stróżów.

Gwałt był tak wielki, że nie obeszło się
bez bójek...

Poturbowano stróżów, przestrzegających ca-
łości murów, świeżo pomalowanych, które zdo-
łano już porysować i pobrudzić.

— A to skaranie boże!—lamentował stróż,
trzymający straż przy głównej bramie, która
zawalona była gratami.—Gdzie tylko wpuścić
żydów, tam zawsze musi być szkoda!

— Ty cicho bądź, bo ja ci pokażę! — gro-
ził jakiś nowy lokator, właściciel garnituru
czarnych mebli, krytych czerwonym pluszem,
jakimi miał ozdobić lokal czteropokojowy.

— A bo co?—stawiał się ostro stróż.

— A to, że jak ci żydzi przeszkadzają,
to ty się powieś!

— Ach! ty, psia paro! sam się powieś! —
odparował stróż, przybierając groźną postawę.

— Ty, paskudnik! ty znaj mores! My po-
trzebujemy jedno słowo tylko powiedzieć, a cie-
bie stąd wyrzuca... Jak ty śmiesz?..

— Owa! strasznie się was boję! Ja i sam
w takim domu stróżem być nie chcę... To mi
lokatory! podłe szabaśniki!—dodał ciszej, rejte-
rując z godnością do swojej izdebki.

— „Sztyl, sztyl!“—wołał nadbiegający no-
wy administrator domu, jakiś młody żydek

w binoklach, którego Molski przyjąć musiał na skutek protekcyi Grünbauma.

— Pan go potrzebuje przyjąć — nakazywał Grünbaum;— jak on będzie, to i lokatorzy będą, ani jeden lokal nie zostanie pustym. A jak będą lokatory, to będą i kontrakty... pan dobrodziej rozumie? One potrzebne są dla delegacyi szacunkowej.

I tym sposobem Molski ani się spostrzegł, jak w jego domu objął rządy pan Jakób Icek Suchy, któregośmy poznali na początku tej opowieści w roli czwartorzędnego, debiutującego dopiero faktora, gdy ujawnił niepospolite zdolności i spryt do handlu.

Od tego czasu upłynęło zaledwie sześć miesięcy, w ciągu których ów Icek, pogardliwie i z lekceważeniem traktowany, chałatowy żydek, wyrósł na pana Jakóba, ubranego po europejsku, noszącego złote binokle i pierścienie brylantowe na palcach, i mającego poważanie nawet u takich potentatów, jak Liebkind i Grünbaum.

I nic dziwnego: Jakób Suchy okazał tak wyjątkowe zdolności i taką rzutność do interesów, że zdołał w ciągu kilku miesięcy dokonać wielu bardzo sprytnych spekulacyi, które przyniosły mu tytułem faktornego około 15,000 rubli w zysku.

Przepowiednia więc Liebkinda, że Icek Suchy będzie niedługo „tłusty,“ sprawdziła się prędzej, niż przypuszczał.

Zdolności swe Suchy wykazał i w swej nowej roli administratora ogromnej posesyi Molskiego.

Nominacyę swą otrzymał zaledwie przed miesiącem, złożywszy uprzednio kaucyi 8,000 rubli, które zostały zahipotekowane, a obecnie wszystkie lokale były już wynajęte i kontrakty podpisane.

— Szelma żyd!—pochwalić go musiał Molski, gdy Suchy po upływie dwóch zaledwie tygodni przyniósł mu cały plik kontraktów do podpisu.

Trzeba było istotnie niezmiernej rzutności, żeby w ciągu tak krótkiego czasu wynająć sto kilkadziesiąt lokalów.

Dokazał tego pan Jakób Suchy, wypuściwszy całą sforę agentów do dzielnic żydowskich, w celu skaptowania lokatorów; prócz tego, sam Icek Suchy dostarczył kilkanaście rodzin swoich krewnych, którym porozdawał najlepsze lokale.

Naturalnie, że lokatorowie ci skaptowani byli dzięki temu tylko, że przez pierwszy kwartał nie potrzebowali wcale płacić, a w drugim mieli uiścić tylko połowę należności, w kontrakcie umówionej.

Tym sposobem, chociaż kontrakt opiewał sumę, dajmy na to, 600 rubli, lokator płacił właściwie tylko 375 rubli, według następującego

rachunku: w pierwszym kwartale—o, w drugim 75 rubli, a w trzecim i czwartym po 150 rubli.

Gdy jednak i te warunki wydały się niektórym lokatorom za uciążliwe, Suchy dawał im do zrozumienia, że, jak nie zechcą mieszkać w kwartale trzecim, to nikt ich do tego nie zmusi, gdyż łatwo będzie kontraktu nie dotrzymać, jużto rzekomo dla wilgoci w mieszkaniu, jużto dla wielu innych przyczyn, mniej więcej prawnie uzasadnionych.

W ostatecznym zaś razie można będzie wprost wynieść cichaczem ruchomości i pokazać gospodarzowi figę.

Lokatorzy zresztą, podpisujący takie kontrakty, dobrze o tem wszystkim wiedzieli, jak również i o tem, że gospodarz na to był z góry przygotowanym. Nie mogło więc być mowy o jakichkolwiek pretensjach, a tem mniej o pozывaniu do sądu, gdyż o zatrzymaniu takich lokatorów na stałe wcale mu chodzić nie mogło.

Potrzebni oni byli na razie, tymczasowo, do uzyskania większej pożyczki Towarzystwa.

Tak się to praktykowało od lat dziesięciu, podczas gorączki budowlanej, w którym to czasie zbudzona potrzeba wytworzyła tę specjalną kategorię lokatorów, żyjących jak ptaki niebieskie, uważających opłatę komornego za przesąd, za naiwność ludzką; że zaś mieli dość sprytu mieszkali więc za darmo.

Byli oni z rodu warszawskich „cyganów,”

pędzących w mieście życie koczujące, przeprowadzających się z lokalu do lokalu co kwartał, a najwyżej co pół roku, przeważnie do domów świeżo wykończonych.

Właściciele domów znali ich z nazwiska i w zwykłych warunkach nigdyby im lokalów nie wynajęli, wiedząc, że płacić za nie nie są przyzwyczajeni, że wreszcie płacić nie mają z czego.

Egzystencya tych ptaków przelotnych była niekiedy rozpaczliwą...

Biedacy ci obarczeni byli najczęściej liczną rodziną, wymagającą większego mieszkania; jakkolwiek więc nie mieli odpowiednich środków do życia nawet najskromniejszego, to wszakże na lokal musieliby wydać cały swój dochód, gdyby wypadło im komorne uiszczać.

Byli to zbankrutowani obywatele, wdowy z dziećmi, pozostałe bez żadnych środków do życia, rodziny artystów, drobnych urzędników i innych śmiertelników, należących do licznego proletaryatu inteligencji, zmuszonych zachowywać pozory dobrego tonu i wykwintnych nawyknień, zniewolonych trzymać się oburącz tego szczebla w hierarchii społecznej i towarzyskiej, na którym los ich umieścił, zapomniawszy zaopatrzyć w odpowiednie środki do życia.

Chwyтали więc za każdą sposobność, dającą im możliwość wykreslenia na czas jakiś którejkolwiek pozycji z potrzeb życiowych, a w pierw-

szym rzędzie wydatku na mieszkanie, będącego najdotkliwszym i najtrudniejszym do wypełnienia.

Prócz tych rozbitków z cyganeryi wielkomijskiej, na lokatorów w domu Molskiego zainstalowani zostali, jak to już wspomnieliśmy, obywatele starozakonni, *ad hoc* sprowadzeni przez Icka Suchego, dzięki czemu ogromna posesya Molskiego zaludnioną została w połowie przez żydów, którzy wnieśli ze sobą brud, niechlujstwo i hałaśliwość, właściwą temu plemieniu.

Gdy Molski to zobaczył, serce ścisnęło mu się z bólu na widok tej niechlujnej zgrai, która objęła jego własność, wykończoną tak starannie, z takim nakładem i kosztem: kapitału i pracy.

Jakże smutnie odbijała się ta nędza i brud życia na tle marmurów, bronzów, kosztownych posadzek i szyb lustrzanych!

Jak wstrętnym był widok „betów“ i chałatów, porozwieszanych na zgrabnych jak pieści-dełka balkonikach, będących arcydziełem sztuki architektonicznej, którymi Molski tak się zachwycał, a od których teraz się odwracał z niezmiernie przykrem uczuciem zawodu i przygnębienia na myśl, że to wszystko musiał oddać w używalność, za darmo, jakimś włóczęgom, którzy kosztownie urządzone lokale zabrzydzą, poniszczą i narażą go na znaczne straty!

A wszystko to dlatego, żeby zadość uczynić suchej formalistycy, żeby odeprzeć zaczepki,

żeby „udowodnić“ rzekomo to, co nie potrzebo-
wało właściwie żadnego udowodnienia.

Jak obliczał Molski dorywczo, ten kontrak-
towy formalizm naraża go niewątpliwie na stratę
kilkunastu tysięcy rubli, jakie będzie musiał wy-
łożyć na samo odnowienie lokali dla nastę-
pnych lokatorów.

Nie było jednak rady...

Wymagała tego delegacya szacunkowa, do-
wodząc, iż inaczej za nic ręczyć nie może.

— Kontrakty, kontrakty... to grunt: jak się
na nich wesprzemy, żadne moce nas nie zwal-
czą, i muszą nam przyznać pożyczkę taką, jaką
chcemy!

Tak dowodził jeden z delegatów w poufnej
pogawędce w cztery oczy.

Gdy wreszcie sprawa ta została ukończoną
i w biurku Molskiego leżał już cały plik kon-
traktów, ujętych w formę najlegalniejszą, za-
wiadomił on prywatnie członków delegacyi, że
czeka na ich przybycie.

I znów uczynione zostały odpowiednie przy-
gotowania na przyjęcie panów delegatów, a więc:
wyborowe wina, koniaki, likiery i najprze-
dniejsze frykasy zagraniczne. Nie żałował na
to Molski pieniędzy, bo cóż mogło znaczyć ja-
kieś paręset rubli w sprawie, w której cho-
dziło o pożyczkę krociową? Było to zresztą
z góry przewidziane w budżecie „kosztów,“ to-
warzyszących tej procedurze pożyczkowej.

Tymczasem zaszła okoliczność, która najniespodziewaniej w świecie pokrzyżowała plany i nadzieje Molskiego.

Dowiedział się bowiem, że na miejsce uprzednich delegatów przeznaczono innych, znanych z nieuczynności i wielkich rygorzystów.

Zaniepokoiło to Molskiego niezmiernie.

Pojechał niezwłocznie do Krukowicza i Wejnerta, którzy mieszkali najbliżej.

— Co się stało?—pytał Molski, pokazując kopię odezwy Dyrekcyi.

— Nie mamy pojęcia! — odparli kolejno, strapieni wielce na myśl, że minie ich ponowna sposobność ucztowania u „zacnego“ obywatela, który tak wyborne miał koniaki i wina najprzedniejsze.

— Ale przecież coś zająć musiało, że panów pominięto!

— Hm, hm! zapewne, jest to pewnego rodzaju *votum*... nieufności—wykrztusił Krukowicz.

— Ale to da się odmienić; powinniście panowie sami tego domagać się; wszakże podjęliście już prace przygotowawcze, macie gotowe materiały, straciliście tyle czasu...

— Naturalnie, naturalnie, tego płazem nie puścimy, zaraz pójdę i dowiem się, jak rzeczy stoją, i dziś jeszcze zakomunikuję szanownemu sąsiadowi.

— Bardzo o to proszę.

— Nieodmiennie dziś jeszcze...

Krukowicz dotrzymał słowa i tegoż dnia wieczorem wpadł zdyszany do gabinetu Molskiego.

— I cóż?

Krukowicz, nieco już cięty, rozkrzyżował ręce i rzekł:

— Źle jest, panie mdzieju!

— Cóż panu powiedzieli?

— Właśnie, że nic powiedzieć nie chcieli... ni to, ni owo... mydlkowali. Ten, tego... owo i tamto... Uf! aż mi w gardle wyszło od użerania się z nimi.

— W tej chwili podadzą wino, niech sąsiad spocznie—zapraszał Molski, pragnąc wysondować z Krukowicza wszystko, nie tylko to, o czym mógł powiedzieć, ale i to, o czym chciałby może przemilczeć.—Wino rozwiąże mu język — pomyślał.

— A no, kieliszka nie odmówię, bo sąsiad dobrodziej masz przednią piwnicę, której ocenić nie potrafią tamte drapichrusty.

Istotnie, przy winie Krukowicz rozgadał się zupełnie.

O ile Molski mógł wymiarkować z jego gadaniny bez związku, to władze Towarzystwa Kredytowego postanowiły zastosować większą surowość w określaniu normy pożyczek, jużto ze względu na ogólne przesilenie na rynku pieniężnym, jużto dlatego, że okazały się grube

uchybień w działalności delegacji szacunkowych, czego następstwem był wygórowany szacunek wielu nieruchomości, należących do spekulantów budowlanych, ze szkodą istotnych obywateli miasta.

Pretensyi z tego tytułu było podobno mnóstwo.

— Jakto? więc i mnie zaliczono do spekulantów budowlanych?—zawołał Molski z oburzeniem — mnie, któremu miasto zawdzięcza kilka gmachów okazałych, będących ozdobą Warszawy!...

— A no, coś niby tak gadali... nie ma co szanowny sąsiad dobrodziej brać tego tak do serca... Wszakże i nas śmieli spotwarzyć, insynuując... ten, tego, że... no, słowem, że znamy się na dobrem winie—powiedział Krukowicz, opróżniając do reszty butelkę węgryna, który dobrze już zaczmerzał mu w głowie.

— Istotnie, to oburzające! — potwierdził Molski, aby coś powiedzieć, zaambarasowany nowymi trudnościami, jakie wchodziły mu ustawicznie w drogę.

— Gałgany! — wykrztusił Krukowicz, nie zdając już nawet sobie sprawy, do kogo ten epitet mógł być zastosowany.

— Zobaczmy jeszcze!—powiedział do siebie Molski, czyniąc postanowienie bronięcia swej słusznej sprawy, o ile nowa delegacja miałyby się okazać stroną i przyczepną.

— Tak, tak, zobaczymy!—powtórzył Krukowicz, uderzając pięścią w stół.

Molski nie zwracał już na niego uwagi i prędko się z nim pożegnał, nie robiąc zbytniej ceremonii, gdyż pierwszy odezwał się:

— Wybacz pan, lecz muszę zająć się tą sprawą niezwłocznie.

To rzekłszy, wstał od stołu.

Krukowicz, acz niechętnie, uczynił to samo, powiódłszy smętnym wzrokiem po opróżnionej butelce. Wiedział, że już drugiej mu nie postawią, dlatego też dał się łatwo wyprowadzić.

We drzwiach jednak raz jeszcze zapewnił Molskiego o swej gotowości do usług:

— Jak sąsiad dobrodziej będzie potrzebował, zawszem gotów, jak dla rodzonego brata... jedno słówko, a przyjdę w te pędy.

— Dziękuję, dziękuję!—odparł Molski, zamykając drzwi za nim.

Nie zadowolili go relacye Krukowicza, gdyż tego jeszcze dnia pojechał do Daneckiego.

Ten, gdy go zobaczył, zawołał:

— Wiem, już wiem!... Skrzywdzili pana dobrodzieja... Bóg widzi jednak, że nie moja to wina: gardłowałem, krzyczałem, wymyślałem od... wszystko zresztą jedno, dość, że wpakowali panu tego Baryckiego, który niejednego już obywatela naraził na stratę, zgubił po prostu.

— Cóż mogło na to wpłynąć?

— Co? Dużoby o tem mówić... chociaż ja słyszałem, lecz niech to będzie między nami, że jest w tem jakaś intryga, osobista niechęć, czy coś podobnego--powiedział Danecki szep-tem prawie.

— To być nie może!

— Tak słyszałem; za co kupilem, za to sprzedaję, lecz ręczyć nie mogę.

— Ależ to byłoby niesłychane! Zresztą cóż mi mogą uczynić? Żeby nawet dziesięciu Baryckich przyszło, to dom jest domem, ocenić go muszą według tych danych, jakie im przedstawię. Jest nadto ustawa obowiązująca dla wszystkich.

Danecki rozśmiał się na cały głos.

— Cha, cha, cha! Ustawa? Przepisy? Brzmi to bardzo pięknie, lecz inaczej wygląda w praktyce. Wszelkie rygory ustawodawcze są jak guma: można je ciągnąć w tę lub ową stronę, jak się podoba; idzie tylko o to, żeby niezbyt forsownie to czynić i nie przeciągnąć... I w tem właśnie jest sęk... w tem cała zawilóść spraw obywatelskich.

— No, no, tak źle znów nie jest — zaprotestował słabo Molski, czując wszakże, że w tem, co mówił Danecki, jest wiele gorzkiej prawdy.

— Zobaczymy, zobaczymy! Daj Boże, żebym się mylił, lecz co do Baryckiego, to ziółko... suchy pedant, fiskał i przyczepa; minął się

ze swem powołaniem—dodał z akcentem dwuznacznym.

Molski wyszedł od Daneckiego mocno przygnębiony.

Zanadto wiele miał doświadczenia, żeby nie umiał ocenić następstw zmiany członków delegacji. Już sam fakt, że ta zmiana nastąpiła, był wielce znamiennym. Widocznem było, że do tej sprawy musiał się ktoś wmieszać, ktoś dla niego nieżyczliwy, i że do niego specjalnie postanowiono zastosować całą „surowość“ przepisów i obostrzeń, świeżo zarządzonych.

— Tak, tak, niezawodnie, wkrótce się o tem przekonam; tymczasem jednak trzeba czekać, aż wszystko to się wyjaśni—zdecydował, uzbroił się w cierpliwość, w oczekiwaniu nowej delegacji.

Zjawiała się ona dopiero po upływie tygodnia.

Najwydatniejszą w niej figurą był „pan radca“ Barycki, dawny „radca“ ubezpieczeniowy, a obecnie obywatel miasta Warszawy.

Był to człowiek godny bliższej obserwacji. Sama jego powierzchowność zwracała na siebie uwagę: miał wygląd mumii zasuszonej, poruszonej przez ukryty starannie, wielce skomplikowany mechanizm, regulujący ruch poszczególnych członków tego aparatu życiowego. Głos jego był suchy, bezdźwięczny i niepodobny do głosu wychodzącego z krtani ludzkiej, lecz jakby z jakiej maszyny mówiącej, a w najlepszym

razie—z fonografu. Gdy mówił, zdawało się, że wyrazy i całe zdania nie są wypowiedziane, lecz czytane, i to głosem monotonnym, bez jakiegokolwiek intonacji, odpowiadającej treści zdań i znaczeniu wyrazów.

Była to mowa człowieka sennego, lub mówiącego przez sen, tak, że każdy, kto z nim zmuszony był rozmawiać, miał nieraz ochotę dać mu szturchańca, żeby go przyprowadzić do przytomności.

Barycki jednak nie tylko był przytomnym, lecz i świadomym znaczenia tego, co mówił, a co więcej niezłomnym i wprost upartym, jak koziół, w swych przekonaniach lub poglądach na daną sprawę.

Jako delegat szacunkowy był nieznośnym pedantem, niedowierzającym i brutalnie podejrzliwym.

Nie cierpiano go też ogólnie i starano się uniknąć jakiegokolwiek z nim styczności w jego roli delegata.

W Dyrekcyi wiedziano o tem—i jeśli chciano komu dokuczyć, lub też jeśli miano jakiegokolwiek podejrzenia względem kandydata o pożyczkę, to posyłano Baryckiego.

Już sam jego wybór był znamiennej wskazówką, że sprawa źle stoi.

Do towarzystwa dodano Baryckiemu dwie osobistości bezbarwne, obojętne na wszystko, gotowe mówić „tak“ lub „nie,“ nie zdając

sobie nawet sprawy, na co właściwie dają potwierdzenie, lub czemu przeczą.

Przypominali oni swym wyglądem i zachowaniem się tych niefortunnych statystów, płatnych za wieczór po 30 kopiejek od sztuki, jakich można widzieć na scenie teatrów prowincjonalnych w Pacanowie lub Kiernozi.

Nikt też do nich nie odzywał się, ani nawet nie zwracał na nich uwagi, o co wszakże nie obrażali się, radzi widocznie będąc, że tym sposobem mogą stać na uboczu i nie narażać się na zakłócenie błęgiego spokoju ducha, w jakim byli pogrążeni dzięki wyjątkowemu lenistwu umysłu.

Była to więc właściwie nie delegacya, a delegat we trzech osobach, co od razu zmiarkował Molski, zrozumiawszy zarazem, że okoliczność ta pogarszała sytuację—o jakiegokolwiek bowiem różnicy zdań, lub starciu się poglądów, mowy być nie mogło, gdyż o wszystkim decydować stanowczo i ostatecznie mógł jeden tylko Barycki.

Mimo to, miał nadzieję, że przecież nie taki dyabeł straszny, jak go malują, i że przeto, przy odrobinie dyplomacyi, uda mu się może ugłaskać tę mumię biurokratyzmu.

Bardzo więc grzecznie go powitał, mówiąc:
— Rad jestem niezmiernie, że to właśnie z panem, tak wytrawnym i sumiennym delegatem, będę mieć do czynienia.

Barycki wzruszył na to lekko ramionami i odparł:

- Obowiązek...
- Dość uciążliwy.
- Zwyczajny.

Molski przygryzł usta, zrozumiałwszy, że gburowaty lakonizm uniemożliwia prowadzenie jakiegokolwiek rozmowy, niebędącej w ścisłym związku z czynnością delegacyi, dlatego więc, zmieniając ton, od razu przystąpił do rzeczy i zapytał:

- Od czego zaczniemy?
- Od suterren!
- Jakto?
- Najzwyczajniej... obejrzymy lokale w suterrenach.

— To już na miejscu; chociaż, zdaje się, że to rzecz zbyteczna...

— Taki porządek.

— Owszem, ale tymczasowo przedstawię panom plany.

— Nie potrzeba, lepiej na gruncie.

— Prócz tego kontrakty...

— Lokale wynajęte?

— Tak.

— Wszystkie?

— Tak.

— Na każdy jest kontrakt?

Molski uśmiechnął się. Gniewał go, lecz śmieszył zarazem ton inkwidenta, w jakim prze-

mawiał Barycki, odparł jednak bardzo grzecznie:

— Tylko na większe lokale; co do mniejszych, jedno i dwupokojowych, nikt chyba kontraktów nie zawiera.

— To już rzecz gospodarza i lokatorów; ja bez kontraktu nie wynajmuję.

— To nieco kłopotliwe; zresztą, jak kto chce; ja innego jestem zdania. To jednak do sprawy nie należy—dodał, przymuszając się do uśmiechu.—Więc jak szanowny pan delegat sobie życzy? Czy mam przedstawić kontrakty?

— Proszę.

Molski otworzył szufladę w biurku i wyjął z niej plik kontraktów.

Barycki położył je na biurku, i kładąc na nich swą dłoń, zapytał:

— Czy to wszystko?

— Tak.

— Przeliczmy—powiedział i zaczął kolejno je przekładać, licząc głośno.

— Jest ich sto dwanaście — objaśnił Molski.

— Przeliczmy—odparł Barycki, nie przerywając liczenia.

Czynił to wolno, systematycznie, równając każdy arkusz papieru, żeby żaden róg nie wystawał.

Molski, patrząc na to, zżymał się z niecierpliwości. „Mumia“ drażniła go niewymownie.

Nareszcie Barycki czynność swą skończył

i zwrócił się do dwóch pozostałych delegatów, mówiąc:

— Sto dwanaście!

— Sto dwanaście! — powtórzyli razem.

— Sto dwanaście? — zwrócił się Barycki jeszcze i do Molskiego.

— Ależ tak, tę samą cyfrę wymówiłem uprzednio.

— Zgadza się...

— Bardzo mnie to cieszy.

— A teraz... — zaczął Barycki.

— Teraz może pan delegat zechce zsumować wszystkie razem.

— To później. Teraz pojedziemy — zwrócił się do swych towarzyszków.

— Pojedziemy.

— A może panowie byliby łaskawi... to kawał drogi... należałoby nieco się wzmocnić i nabrać sił — odezwał się Molski, z góry będąc pewnym, że propozycja ta nie będzie przyjęta.

— Jak to pan rozumie? — zapytał Barycki tym samym tonem człowieka sennego, bez żadnego zdziwienia, lub jakiegokolwiek nacisku na pytanie, które suchością swą mogłoby nasunąć przypuszczenie, że propozycją, przed chwilą mu uczynioną, uczuł się dotkniętym.

Molski jednak tak to zrozumiał i nieco się stropił, po chwili jednak tonem najswobodniejszym odparł z wielce uprzejmym uśmiechem na ustach:

— Najzwyczajniej w świecie; sędzę bowiem, że panowie nie odmówią mi zaszczytu opróżnienia w moim domu kieliszka wina.

Delegaci „statyści,“ usłyszawszy to, zwrócili pytający wzrok na Baryckiego; ten jednak udał, że tego nie spostrzegł, i odparł:

— Nie możemy...

— Nie możemy—powtórzyli „statyści.“

— Dlaczego?

— Czynność...

— Czynność—ozwało się podwójne echo.

— Czynność nie ucieknie, zresztą niewiele to nam zajmie czasu.

— Nie możemy.

— Ha! jeśli tak, to bardzo mi przykro i przepraszam, że śmiało proponować—powiedział Molski, nie ukrywając swej irytacji.

— Nic nie szkodzi—ozwał się niespodzianie jeden z delegatów, w którym drgnęła widocznie czulsza struna towarzyskiej uprzejmości.

Barycki zmierzył go swym sennym, powłóczystym wzrokiem, co widocznie tak ochładzająco na niego podziało, że, zmieszany swą niewczesną samodzielnością, opuścił głowę i umilkł.

— Pojedziemy na grunt—powiedział Barycki, do nikogo bezpośrednio nie zwracając się.

— Pojedziemy—powtórzyli delegaci.

— Kontrakty pan nam pozwoli.

— Ależ naturalnie, sam je zabiorę—rzekł

Molski z uprzedzającą grzecznością, -- leży to w moim przecież interesie.

— To my chcemy zabrać—powiedział Barycki,—nie ma pan chyba nic przeciwko temu?

— Cóż znowu! I owszem... będę jednak panom towarzyszyć.

— To zbyteczne...

— Zbyteczne—powtórzyło dubeltowe echo.

— Będę panom pomocny.

— Dziękujemy.

— Dziękujemy—ozwał się duet.

— Niepotrzebnieby się pan trudził, a nasby to krępowało w czynnościach, które musimy wykonać bez pośpiechu, z szczególną dokładnością—odparł Barycki, po raz pierwszy wygłosivszy okres tak długi.

— A!... jeśli tak, to bardzo proszę, nie myślę panów w czemkolwiek krępować — powiedział Molski, z trudem hamując swe zniecierpliwienie.—Oto są kontrakty, służę panom—dodał i włożył cały plik do sporej teki, w której ledwo się zmieściły.

Wziął je Barycki i raz jeszcze powiedział, zwracając się do swych towarzyszów:

— Sto dwanaście?

— Sto dwanaście.

— Ani mniej, ani więcej!—dodał od siebie Molski tonem ironicznym.

— Będą zwrócone...

— Nie wątpię o tem. Pragnąłbym tylko,

żeby panowie raczyli jak najrychlej czynności swe ukończyć.

— I my również.

— Mnie bardzo zależy na pośpiechu. I tak już nastąpiła zwłoka, dla mnie wielce niepożądana.

— O jakiej zwłoce pan mówi? — zagadnął Barycki.

— O tej, która nastąpiła skutkiem zmiany członków delegacyi.

— Nie nasza wina.

— Nie nasza wina—powtórzyło echo.

— I nie moja.

— Będziemy się starać...

— Bardzo o to proszę.

— I jutro, a najpóźniej pojutrze, ukończymy.

— Czy mam się zgłosić sam do panów?

— Zbyteczne! Zawiadomimy, jak będzie skończone—powiedział Barycki już we drzwiach.

Po wyjściu panów delegatów, Molski zacisnął pięście i rzekł:

— Mumia i dwóch idiotów!

— Komu dajesz tak pieszczotliwe przyzwiska?—zapytała pani Molska, która czekała już dawno w drugim pokoju, żeby dowiedzieć się natychmiast o rezultacie konferencyi z nową delegacją.

— Komuż, jak nie tym bałwanom, którzy byli tu przed chwilą! Mało brakowało, żebym

ich wyrzucił za drzwi—odparł Molski, nie mogąc już dłużej pohamować swego gniewu.

— Uspokój się, mój drogi, kochany Sławku! Czyż warto o byle co tak się irytować!

— O byle co?... Mylisz się, moja Marychno! Gotowi mi jeszcze narobić ambarasu... Ten Barycki to skończony bałwan, chodząca mumia, a dwaj drudzy... kretyni.

— Więc to dlatego nie chciałeś ich zaprosić, jakieś to zwykle czynił?—zapytała Molska, niewiele przywiązując znaczenia do wszelkich tego rodzaju delegacyi, których czynności, jak przypuszczała, redukowały się zawsze do szablonowego wypełnienia form i do obfitych libacyi.

— Cóż znowu! — prosiłem ich, ale nie chcieli.

— Oni?! — zawołała ze zdziwieniem, nie mogąc zrozumieć, jaka to mogła być delegacya, co nie skorzystała z zaproszenia. Wyrobiła sobie od dawna to pojęcie, że delegacya przybywa głównie i prawie wyłącznie dlatego, żeby dużo zjeść i jeszcze więcej wypić.

— Tak... oni! — powtórzył Molski z naciśkiem, a po chwili dodał, mocno podrażniony:— Takiej delegacyi jeszcze nie było... półtorej głowy na trzy osoby.

— Dokądże oni poszli?

— Oglądać lokale i sprawdzać ceny kontraktów—objaśnił Molski.

— Sprawdzić? Alboż samo okazanie kontraktu nie wystarcza? — zapytała Molska zdziwiona—przecież to główny dowód!

— Zapewne — odparł Molski z pewnem wahaniem w głosie;—zdarza się jednak, że ceny w kontraktach nie odpowiadają dochodom z lokarów, szczególnie, gdy właściciel ma zamiar dom sprzedać..

— Ale my, Sławku, sprzedawać nie będziemy?—ozwała się Molska, zaniepokojona widocznie.

— Cóż znowu! Naturalnie, że nie. Nie mam najmniejszego zamiaru; ten ostatni dom wybudowałem dla siebie, a właściwie dla ciebie, moja Marychno—dodał i głos mu drgnął, a przez czoło przemknęła chmura zadumy.

Dostrzegła to Molska i serce jej ścisnęło się boleśnie.

I znów to przypomnienie okrutne o fatalnym stanie zdrowia męża, przypomnienie, które zakłócało im zawsze radość życia, obracało w niwecz wszelkie nadzieje i przebłycki szczęścia, jakie mogłoby jeszcze stać się ich udziałem, gdyby skończyły się wreszcie te kłopoty przedsiębiorcze, te wieczne interesy i konszachty z całą zgrają żydowstwa, ta wyczerpująca, nerwowa praca, która w ostatnich latach dziesięciu nie dawała chwili spokoju, ani czasu na ratowanie zrujnowanego zdrowia.

Zgnębiona temi myślami, zapytała trwożliwie:

— Jak długo to wszystko trwać może?

— Co, mój aniele?

— To otrzymanie pożyczki Towarzystwa.

— Nie długo już, nie długo, kilka tygodni najwyżej.

— A potem pojedziemy?

— Tak, tak, koniecznie pojedziemy, natychmiast; sam już czuję się zmęczony interesami, mam ich już dosyć... jeszcze tylko trzy lub cztery tygodnie, nie więcej; dlatego więc niech się mój anioł nie niepokoje, wszystko będzie dobrze... wszystko—dodał, i ujawszy jej głowę w swe dłonie, ucałował ją serdecznie.

Zawisła na jego ramieniu, cała drżąca, niepokojna, męczona jakimiś niedobremi przecuciami, z których zdać sobie sprawy nie mogła.

Uwolnił się łagodnie z jej objęć i rzekł jeszcze:

— Tak, tak, wszystko będzie dobrze; a teraz, mój skarbie, pozwól mi pojechać do szanownych delegatów... moja obecność może być tam potrzebna.

Zaledwie Molski wyszedł, wpadła Ludka Zahorska, strojna, ożywiona, promieniejąca wszystkimi powabami młodości.

— Jak dobrze, że przyszłaś! jakżem rada!

Myślałam, żeś już zapomniała o nas!—powitała ją Molska serdecznie, zadowolona, że przerwaną została nic jej smętnych rozmyślań i niepokojów.

— Wpadłam tylko na chwilę, mam bowiem mnóstwo jeszcze sprawunków i interesów do załatwienia—szczebiotała panna, odpowiadając z roztargnieniem na uścisk Molskiej i nie widząc na jej czole smętnej zadumy, która niezupełnie dotąd została rozwiana.

Bił od niej radosny egoizm młodości, której poza sobą nie widzi nic — ani smutku, ani cudzego strapienia.

Molska uśmiechnęła się.

— Jakież ty możesz mieć interesy? —zapytała tonem żartobliwym.

-- Mnóstwo! i sama i z mamą, tyle sprawunków! Nie wiem, czy nadażę.

— Doprawdy? Więc to może już... mam ci powinszować?

Ludka zarumieniła się jak wiśnia i zaczęła protestować gorąco:

— Nie, nie, to nie to!...

— Nie to? więc może co nowego? Może znalazł się już kto inny?... oj, ty bałamutko!

— Ależ nie! nie, po tysiąc razy nie! Ani to, ani tamto...

— Więc cóż? Nie trzymaj mnie w niepewności.

— Nic nadzwyczajnego: po prostu wyjeżdżamy.

— Dokąd?

— Do Ostendy.

— Szczęśliwi! Jakże wam zazdroszczę!

— Niema tak bardzo czego... tyle kłopotów, sprawunków, pakowania sukien i tym podobnie. Zresztą i państwo jadą... Jakby to było dobrze, żebyśmy mogli razem znaleźć się na wybrzeżu morskiem!..

Molska westchnęła.

-- Niestety! my, jeśli pojedziemy, to nie do morza... a kiedy? jeszcze nie wiadomo...

— Jaka szkoda, że nie razem!

— A kiedy wyjeżdżacie?

— W przyszłym tygodniu; dopiero wczoraj wyjazd został ostatecznie zdecydowany. Papa, jak zawsze, nudny, zwlekał, tłómacząc się jakimiś tam interesami... Nareszcie jednak wczoraj oświadczył uroczyście, że możemy już jechać.

-- I któż pojedzie?

— Mama, ja i Ala, która uparła się, że i ona chce zobaczyć kąpiele morskie... no i mama, jak zawsze, ustąpiła—powiedziała Ludka z odzieniem niezadowolenia w głosie.

— Więc już w przyszłym tygodniu?

— Tak... pragnęłabym jak najprędzej wyjechać z Warszawy... tak tu gorąco!

— Podobno i Rudowski również wyjeź-

dza? — powiedziała Molska, patrząc badawczo na Ludkę.

Ta jednak odparła swobodnie, z wybornie udaną obojętnością:

— Podobno.

— Czy także do Ostendy?

— Tego nie wiem; wspominał jednak, że i o nią „zawadzi“—dodała, śmiejąc się.

— Jak to dobrze! Byłabym niezmiernie rada, żebym mogła was ujrzeć już razem, na zawsze.

— Czy to kiedy nastąpi... wątpię...

— Mówisz to takim tonem, jakby ci to było zupełnie wszystko jedno; wszakże nie jesteście dla siebie obojętni.

— Tak, nie zapieram się, lecz nie przywiązuję do tego zbyt wielkiego znaczenia; co będzie, nie wiadomo jeszcze; tymczasem jest niby moim konkurentem i bawimy się tem oboje...

— Ludko droga, nie mów tak... bawić się uczuciem nie godzi się.. łatwo można roztrwożyć jego skarby.

— Ja też ich nie trwonię i oddam je w całości temu, kto będzie miał zaszczyt nazwać się moim mężem... Lecz dajmy temu pokój... to są rzeczy dalekie i nie myślę niemi zajmować głowę na... wyjezdne—powiedziała, obracając w żart poważną sentencję, wygłoszoną przez

Molską, a w myśli dodała:—Jakaż ona jest nudna ze swymi morałami!

— A pan Władysław nie pojedzie z wami?—zapytała Molska po chwili, chcąc nawiązać rozmowę, która nagle się urwała.

— Władzio? alboż on da się wyciągnąć z Warszawy? Powiada, że nigdzie się tak dobrze nie czuje, jak na bruku miejskim. Dziwny chłopiec... chociaż teraz, co prawda, to papa go potrzebuje przy budowie tego nieznośnego domu; podobno strasznie tam kradną... papa okropnie narzeka. Nie rozumiem doprawdy tego wszystkiego; jakby to nie było policyi, sądów i więzienia... wszakże złodzieje powinni siedzieć w więzieniu, a nie chodzić na wolności i okradać ludzi.

Molska uśmiechnęła się z tego dowodzenia Ludki, któremu zresztą trudno było cośkolwiek zaprzeczyć.

— A przy tem wszystkim jeszcze ci żydzi!—ciągnęła dalej Ludka—że też tylko oni budują dziś domy!.. Papa daje pieniądze, a oni wszystkim rządzą... to okropne! Czy i u państwa tak samo?

— Niestety!—odparła Molska z westchnieniem.

— Także żydzi?

— Gdzie ich niema?

— Ja też nigdybym domu mieć nie chciała, głównie dlatego; najlepiej mieć pieniądze... to

daleko dogodniej, kłopotów niema żadnych, i można mieszkać gdzie się podoba i nie mieć nic do czynienia z lokatorami, którzy także są nieznośni: nie tylko, że płacą nieakuratnie, ale i ustawiczne mają pretensye...

— Jak widzę, jesteś, Ludwiniu, dość wtajemniczona w kłopoty gospodarcze.

— Ciągłe przecież obija mi się to o uszy; cieszę się więc niezmiernie, że przynajmniej przez czas jakiś nie będę o tem wiedzieć; jeśli wyjdę za mąż, nigdy nie pozwolę, żeby mój mąż kupował domy, a tem bardziej, żeby je budował—powiedziała panna Ludwika, skrzywiwszy pogardliwie usteczka.

Molską zaczęła już męczyć ta paplanina Ludki, która też czy to odczuła, czy też istotnie przypomniała sobie o sprawunkach, gdyż zerwała się nagle, i wycalowała Molską z wybornie udaną serdecznością, wyfrunęła na ulicę, jak barwny motyl, potrzebujący powietrza, słońca i podziwu, który szedł na spotkanie Ludki z oczu każdego przechodnia.

Wiedziała o tem—i te tryumfy odnoszone na ulicy, te półgłosem wyjawiane zachwyty nad jej urodą, mile łechtały jej próżność, dając przeświadczenie siły i pewność siebie.

— Jak nieszczęśliwe muszą być osoby brzydkie!—myślała nieraz, doświadczając tem rozkoszniejszego uczucia przyjemności i dumy, że jest tak powabną.

Lubiła też niezmiernie ulicę i ten ożywiony ruch na niej, oraz miejsca większych zbiorowisk publicznych na świeżem powietrzu; tu bowiem na każdym kroku jej miłość własna znajdowała dla siebie pokarm obfity—mogła w ciągu kilku minut zaledwie zobaczyć setkę par oczu, zwracających się ku niej z zachwytem lub z tajoną zawiścią, usłyszeć głośne nawet wyrazy podziwu nad jej urodą, szykiem, zręcznością ruchów i figury...

Lubiła więc dlatego niezmiernie wyścigi, koncerty w Dolinie i t. p. rozrywki—tu bowiem ocierał się o nią z blizka ten tłum nieznanych jej wielbicieli, wśród którego czuła się zadowoloną i szczęśliwą.

Mniej natomiast lubiła teatr, gdyż tu musiała siedzieć na jednym miejscu i mniej była wystawioną na krzyżowy ogień spojrzeń; zresztą w teatrze nie tylko piękne kobiety zwracały na siebie uwagę, lecz i scena, a bardziej jeszcze aktorki, które tak umieją się ubierać, tak wyzyskać każdy szczegół ze swych powabów, nie potrzebując w dodatku liczyć się z rozmaitymi względami, z którymi liczyć się muszą kobiety z lepszych sfer towarzyskich.

Zazdrościła też im tych przywilejów i umiejętności, a zarazem czuła dla nich jakieś nienawistne, pełne wyniosłej pogardy uczucie, jako dla istot niższego rzędu, które śmiały występować do rywalizacji z kobietami ze świata,

śmiały przyjmować uwielbienie i hołdy, im tylko należne.

Ciekawa też była niezmiernie, czy takie same stosunki panują za granicą. Podobno, że takie same—czytała o tem we francuskich romansach, w których heroinami są właśnie te kobiety z za kulis życia, wyzywające i... bezwstydnę.

Nie zawsze jednak książkom można wierzyć, a szczególnie autorom francuskim; musi być w ich opowieściach za dużo przesady.

Jakże pragnęłaby to sprawdzić, z blizka się temu przyjrzeć!

Zresztą, mniejsza już o aktorki! Wabiła ją ku sobie ta zagranica: obcy ludzie, inni zapewne, inne stosunki, inna swoboda...

Słyszała tak wiele o tem; nadewszystko jednak pociągała jej wyobraźnię rozgłośna na cały świat Ostenda, to wielkie zbiorowisko ludzi bogatych, utytułowanych, pięknych kobiet i dystyngowanych mężczyzn, wśród których są nawet książęta krwi i głowy ukoronowane.

Jakże musi być przyjemnie znaleźć się w tym wytwornym tłumie, w tej śmietance towarzyskiej z różnych stron świata, różnojęzycznej!..

— A te kąpiele razem: damy i panowie.. w kostiumach tak oryginalnych i tak... nieprzyzwoitych. Jakie to musi być zabawne, a głównie, jak to jest *inne!*...

Myśl o tych kostiumach nie obudziła w niej ani razu dziewiczego zakłopotania; byłoby to zresztą dość śmieszne... nie była przecież tak dalece zacofaną, żeby mogła się wstydzić lub gorszyć tem, co wielki świat uznał za dobre.

Niepokoila ją tylko myśl, czy taki kostium, zbyt dokładnie uwydatniający kształty — nie zdradzi jakichkolwiek braków.

Po głębszem jednak zastanowieniu i poufnej konfrontacyi z lustrem przed udaniem się na spoczynek, przyszła do przekonania, że tej „obcisłości“ obawiać się nie potrzebuje.

Miała kształty smukłe, lecz nie rażące szczupłością, a wszystkie one tworzyły zupełną harmonię, której nie mógł zepsuć kostium kąpielowy. Jedna tylko myśl wprawiała ją w pewne zakłopotanie: czy nie będzie się żenować obecności Rudowskiego, gdy wypadnie jej pierwszy raz wystąpić przed nim w tym stroju nadmorskim? Byłoby to fatalne i... w złym tonie.

Prędko jednak odrzuciła od siebie to przypuszczenie, tchnące parafiańszczyzną, uznawszy, że w chwili krytycznej znajdzie w sobie dość zimnej krwi i rozwagi. Zresztą nie ona przecież jedna, lecz wszystkie i wszyscy. Prędko się do tego można przyzwyczaić, tak jak i do „neglizów“ balowych, które nikogo nie rażą.

Jeśli więc cośkolwiek mogło jej wydać się nowem i niezwykłym, to kostium panów, któ-

rych nawet wyobrazić sobie nie mogła w takim zaniedbaniu kąpielowem.

— Muszą być niezmiernie śmieszni! I dlatego to oni raczej powinni się wstydzić, a nie my. Jakże zabawnie musi wyglądać Rudowski! zupełnie chyba inaczej, aniżeli w swym obcisłym żakiecie, białej kamizelce, modnym krawacie i w tej reszcie... ubiera się bez zarzutu i, być może, dlatego wydaje się takim szykownym i przystojnym! W każdym razie, chciałabym go widzieć w tym nowym kostiumie.

Tak rozmyślała Ludka o oczekujących ją nowych wrażeniach i szybkim krokiem biegła do domu, miała bowiem dziś jeszcze pojechać z matką po niezbędne sprawunki.

W mniej wesołym nastroju był stary Zahorski, który, jakkolwiek dał swe przyzwolenie na wyjazd, dotąd pieniędzy dać nie mógł.

Z pożyczką hipoteczną szło tępo. Po kilka razy na dzień wpadał do jego gabinetu Sieradz, zdyszany i zaaferowany, aby zdać relację ze swych starań.

— No i cóż? — pytał Zahorski, zaniepokojony, usiłując odgadnąć z jego miny, jakie przynosił wieści.

Ten jednak wzruszał ramionami, lub rozkładał bezradnie ręce.

— U kogo byłeś?

— U kogo ja byłem? Ja byłem wszędzie... ja bardzo prosiłem...

— I jakiż rezultat?

— Jaki dziś może być rezultat? Niech oni wszyscy przepadną te gałgany!... Jak nie trzeba było pieniędzy, to oni sami prosili, sami dawali na mały procent... A dziś, tfy!... To żaden porządek jest! To jest rozbójnictwo finansowe... każdy, co ma trochę pieniędzy, to on chciałby zaraz wziąć 50, albo 70, albo i całe 100 procent! Czy kto kiedy słyszał, żeby mógł być taki gwałt i taka gałgańska lichwa!... To lichwiarze są, co powinni siedzieć w kryminale za wielką krata! I czy to u nas jakie prawo jest? jaki sąd jest?... kiedy taki łajdak, co ma pieniądze, chce zaraz obedrzeć porządną osobę, jak ten rozbójnik, co chodzi po wielkiej drodze i rozbija. Ja im to powiedziałem, a jednemu to nawymyślałem od złodziei i gałganów za to; chciał, żeby mu za dziesięć tysięcy dać hipotekę na całe osmnaście tysięcy.

— Pleciesz, mój łaskawco! — powiedział Zahorski, zdumiony bezczelnością takiego żądania.

— Wielmożny dziedzic myśli, że Sieradz tylko tak gada, żeby straszyć!... Niech ja przepadnę i zginę, i żona moja, i moje sześcioro dzieci, że to prawda... Ten rozbójnik to nawet mój krewny jest, on jest rodzony wuj mojej żony; ale kiedy on mi to powiedział, plunąłem i rzekłem takie brzydkie żydowskie słowo, że on się na mnie bardzo rozgniewał i powiedział,

żebym ja mu więcej na oczy się nie pokazywał, ani ja, ani moja żona, ani mój syn pierworodny. No i ja nie pójdę, ja sam nie chcę znać takiego rozbójnika, choć on mój krewny jest.

— Z tego wszystkiego widzę, że na was liczyć już nie mogę — odezwał się Zahorski, przerywając żalodne treny faktora.

— Nu, co ja winien, kiedy teraz taki brzydki czas jest?... Jabym wielmożnemu dziedzicowi chciał jedno jeszcze mądre słowo powiedzieć—odezwał się po małej chwili.

— Mów.

— Kiedy nie można dostać pożyczki u handlarzy pieniędzy, u kapitalistów, to możeby wielmożnemu panu wygodził który ze znajomych panów?

— Myślałem już o tem, lecz dla różnych powodów chciałbym tego uniknąć.

— Jakie to mogą być powody?... Z przeproszeniem wielmożnego dziedzica, u nas, żydów, jak który ma interesy i potrzebuje pieniędzy, to idzie do swoich i otwarcie mówi, jaki interes jest... i wtedy, jeśli to uczciwy, porządny żyd jest i ma gwarancję, to on zawsze dostanie, jak nie u jednego, to u kilku: każdy da co może, aż zbierze się tyle, co potrzeba.. Czy to niedobry zwyczaj jest? Każdy swego ratować powinien.

— Być może, że tak być powinno; u nas

jednak byłoby to trudniejsze do wykonania; zresztą nie każdy chciałby chodzić i prosić...

— Co to wielkiego? Czy to może komu szkodzić? Czy to jaki wstyd jest? Gdyby wielmożny dziedzic powiedział takiemu Molskiemu... on bardzo bogaty jest.

— Daj pokój, mój łaskawco; gdybym chciał, tobym to uczynił i bez twojej rady.

— No, jeśli nie Molski, to pan Rudowski.. on taki młody, i sam bogaty i jego ojciec ma duży kapitał. No, to coby im szkodziło wielmożnemu dziedzicowi wygodzić?

Zahorski poruszył się niecierpliwie i rzekł:

— Jeśli nie możesz nic mądrzejszego wymyślić, to będę zmuszony użyć pomocy sprytniejszego fatora — powiedział tonem suchym, do reszty znudzony tą gadatliwością Sieradza.

— Z przeproszeniem wielmożnego dziedzica, jeśli ja co powiedziałem nie tak, jak potrzeba; ale ja chciałbym, żeby wielmożny dziedzic nie był na tej pożyczce stratny... i ja jeszcze chciałem zapytać, czy z tych ogłoszeń w pismach nikt nie przyszedł?

Zahorski zachnął się, zupełnie już zniecierpliwiony, i wybuchnął wreszcie:

— A dajże mi już pokój! Jaki z ciebie faktor! Nic nie potrafisz pomódz, nic poradzić i tylko dużo lubisz gadać... Mam już tego dosyć. Bywaj zdrów!—dodał i odwrócił się do niego plecami.

W oczach Sieradza pojawił się błysk zdradliwy, który jednak w tej chwili zgasł, a natomiast na fizyognomii jego odmalował się wyraz wielkiego strapienia, poczem skurczywszy się cały, postąpił ku Zahorskiemu kilka kroków i powiedział:

— Wielmożny dziedzic rozgniewał się na Sieradza, chociaż nie było za co. Bardzo mi to przykro jest. Jeśli ja chciałem wielmożnemu panu tak wygodzić, żeby nie było wielkich kosztów i straty, to co w tem złego jest? Ja jeszcze nie wszystko powiedziałem, ja to chowałem na sam koniec, żeby powiedzieć wtedy, kiedy już konieczne będzie potrzeba...

— Co znów nowego?

— Nic nowego... ja znalazłem takiego kapitalistę, co chce dać—odezwał się tajemniczo.

— Dlaczego więc nie powiedziałeś mi tego od razu? — zapytał Zahorski tonem łagodniejszym.

— Ja chciałem powiedzieć, ale wielmożny dziedzic był taki zły na Sieradza... i ja milczałem jeszcze i dlatego, że to trzeba dopiero ten interes delikatnie zrobić, bardzo delikatnie.

— Więc to jakiś szczególny interes? Mówże wyraźniej — powiedział Zahorski niecierpliwie.

— Jest tu jeden kapitalista, co chce dać, ale on od razu dużą sumę chce ulokować na hipotekę.

— Jaką mianowicie?

— Całe czterdzieści tysięcy rubli.

— Ależ ja tyle nie potrzebuję.

— Co to szkodzi? Jak on chce dać, to dlaczego nie brać?

— A procent któż będzie płacić?... Sam powiadasz, że teraz pieniądz drogi, że żądają dużych procentów...

— To prawda jest, ten kapitalista jednak to nie z naszych; on nie handluje pieniędzmi, ani też robi jakiegokolwiek spekulacye...

— Któż to jest?

— To bardzo porządna osoba, obywatel... on jest z prowincyi, gdzie miał domy; no, ale jemu sprzykrzyło się mieszkać na prowincyi, to on posprzedawał swoje domy i przyjechał do Warszawy, żeby tu mieszkać bez żadnego kłopotu, z samego procentu. On wielkiego procentu nie chce; on jest bardzo porządny obywatel. Jemu żydki chcieli dać dziesięć i dwaście procent na hipotekę, ale on nie chciał... On jest, z przeproszeniem, wielki antysemitnik i dlatego chce swoje pieniądze umieścić na katolickim domu.

— A jaki procent?

— Procent?... ja jeszcze nie wiem, ale to wiem, że będzie nieduży; ja słyszałem, jak on powiedział, że na lichwę nie daje... to może ośm, a może i siedm procent, a może jeszcze mniej... to zależeć będzie od zgody...

Zahorski zamyślił się; propozycja była ponętna, więc chociaż nie miał zamiaru obarczać hipoteki pożyczką prywatną, to jednak, gdyby warunki miały być tak wyjątkowo przystępne, mógłby z nich skorzystać i tym sposobem mieć ręce zupełnie rozwiązane.

Mógłby nawet obejść się bez pożyczki Towarzystwa, a przynajmniej nie śpieszyć się z nią i wyczekać, aż się podniesie kurs listów zastawnych.

Z tych 40,000 rubli zapłaciliby drobne długi pilniejsze, a nawet spłaciliby część długu Liebkindowi, uwalniając hipotekę z kaucyi.

Miałby więc ręce zupełnie rozwiązane...

Uchwyciwszy się przeto tej myśli, radby ją jak najrychlej urzeczywistnić, dlatego więc powiedział:

— Ha, mógłbym, jeśli zapewniasz, że procent niewielki, wziąć i większą sumę...

— Ale on będzie żądał pierwszego numeru hipoteki.

— Dobrze, dam pierwszy numer; jak dotąd, hipotekę mam zupełnie czystą.

— No, to interes się da zrobić, ja jestem tego pewny i bardzo rad, że wielmożny dziedzic nie będzie narzekać na Sieradza, ja zaraz polecę, żeby ten interes popchnąć.

— Idź, idź; im prędzej będzie, tem lepiej... a ja chciałbym poznać tego obywatela... jak się on nazywa?

— On się nazywa... zaraz, zaraz... jak on potrzebuje się nazywać? Ja wiedziałem, ja się nauczyłem na pamięć, jak się on nazywa, bo on bardzo trudno się nazywa... zaraz, zaraz... ja już wiem, ja już go mam pod samym językiem, ja go sobie nawet zapisałem... on się nazywa... nazywa, zaraz... jeszcze jedną chwilkę!...—biedził się pan Sieradz, usiłując przypomnieć sobie nazwisko kapitalisty.

— No, mniejsza z tem, później powiesz mi o tem; nie o nazwisko tu chodzi, lecz o korzystne warunki pożyczki.

— Niech i tak będzie, to ja lecę, ja biegnę i pięknie się kłaniam wielmożnemu dziedzicowi.

Zahorski z niecierpliwością oczekiwał na rezultat wywiadów, rad bardzo, że tak korzystna trafia mu się pożyczka. Z optymizmem właściwym Polakom, z jakim traktować zwykli wszelkie interesy majątkowe, był już pewnym dobrego rezultatu i z góry obliczał szanse, jakie z tej pieniężnej operacyi osiągnie.

Zasiadł więc przy biurku, i wzięwszy ołówek do ręki, zaczął wypisywać wszelkie drobne długi i zobowiązania, oraz wypłaty, należne robotnikom i mniejszym dostawcom, którzy czekać nie mogli.

Okazało się, że pozostanie mu jeszcze około 30,000 rubli, któremi spłaci trzy czwarte długu Liebkinda i tym sposobem oczyści hipo-

tekę na domu starym, gdzie pozostanie tylko na ostatnim numerze suma sprzedażna za plac, którą można będzie spłacić znacznie później, gdy dostanie już pożyczkę Towarzystwa na dom nowy.

Słowem ta operacja finansowa wyzwalała go zupełnie z kłopotliwego położenia, w jakim chwilowo się znalazł.

Tak był z tego rad, że postanowił, gdy interes ten szczęśliwie przeprowadzi, pojechać za granicę, jeśli nie razem z żoną, to nieco później.

— Tak, i mnie się należy wypoczynek: parę tygodni pobytu nad morzem dobrze mi zrobi—powiedział do siebie, postanowiwszy zamiar swój do czasu zachować w tajemnicy.

Z niecierpliwością więc czekał na powrót Sieradza z wyprawy po pieniądze.

Zjawił się on jednak dopiero późnym wieczorem, z miną wielce rozradowaną.

— I cóż?

— On chce dać!—odparł faktor z tryumfem, zacierając ręce.

— Na jaki procent?

— Na taki procent, że na dzisiejsze drogie czasy to jest żaden procent.

— Na przykład?

— Wielmożny dziedzic nie uwierzy... wytargowałem, ja bardzo długo potrzebowałem się targować, żeby on ustąpił...

-- Ależ wierzę!... jakież więc procent?

— On chciał dziesięć procent...

— Jakto? przecież mówiłeś, że on na tak duży procent nie chciał pożyczyć wcale?—przypomniał Zahorski.

Na twarzy Sieradza wyraziło się zdumienie.

— Ja mówiłem? To nie może być!

— Ależ tak, mówiłeś! pamiętam doskonale, dziś jeszcze.

Sieradz uderzył się dłonią w głowę.

— Aj, aj!... wielmożny dziedzic ma rację, ja mówiłem, to prawda jest... On nie chciał brać, ale on nie chciał od naszych, od żydów... on wielki antysemitnik jest, on im wcale nie chciał pożyczyć, nawet i na całe piętnaście procent... No, ale jak mu się trafi dobry interes u swego, u katolika, to on chciał wziąć... każdy chce zarobić.

Zahorski uśmiechnął się; ta dyplomacya kapitalisty antysemity wydała mu się, w interpretacyi Sieradza, mocno podejrzaną, nic wszakże nie powiedział, uznawszy, że to rzecz mniejszej wagi; nie tyle obchodziły go bowiem względy, jakimi się kierował ów jegomość przy oznaczaniu wysokości procentu, ile ta norma, jaka jemu przypadnie do płacenia; zapytał więc:

— Więc jakiegoż ostatecznie żąda on procentu?

— On się zgodził wziąć siedm i jedną czwartą procent—odparł Sieradz i wyprostował się dumnie, że tak świetny załatwił interes.

— Hm! procent jest umiarkowany!...

— Umiarkowany?!—oburzył się Sieradz.— Pan dobrodziej mówi, że to umiarkowany interes jest?... To jest złoty, brylantowy interes, to za darmo prawie jest! Taka duża suma na taki mały procent! Ja potrzebowałbym tylko jedno słówko pisnąć, a za samo nastęczenie takiego interesu to mógłbym wziąć kilka tysięcy. Dziś taki ciężki czas jest!... takie wielkie suchoty w kapitałach, że nie daj Boże!

— No, no, uspokój się! Przyznaję, że dobrze się sprawiłeś, i potrafię cię za to wynagrodzić, mój łaskawco. Jeszcześ ode mnie krzywdy nie miał.

— Niech Bóg broni! Czy ja narzekam? Ja bardzo jestem spokojny... ja pamiętam, że wielmożny dziedzic był dla mego ojca tak jak ojciec... My to pamiętamy i dlatego ja się staram, ja nie żałuję ani nóg, ani fatygi, ani czasu, ani języka...

— Dziękuję, dziękuję ci—przerwał Zahorski te czułe wywnętrzania się fatora i zapytał:—Jakże się nazywa ten jegomość, ten twój kapitalista? Teraz chyba przypomniałeś sobie jego nazwisko?

— Czy ja przypomniałem? Po co ja miałem sobie przypominać, kiedy ja miałem zapi-

sane; ja spojrzałem na papier i przeczytałem, że on się nazywa pan Kalasanty Brzuszkiewicz.

— Brzuszkiewicz? Dziwne nazwisko.

— Ono bardzo dziwne jest, ale co to szkodzi, kiedy z tego nazwiska może być taka duża suma na taki mały procent! — powiedział Sieradz, rozkosznie się uśmiechając.

— A gdzież on mieszka?

— On daleko mieszka.

— Na przykład?

— Za Wolskimi rogatkami.

— O... to kawał...

— To bardzo daleko jest, ja musiałem płacić za dorożkę po dwa kursa i za „rogatki“ osobno.

— No, mniejsza z tem; jak trzeba, to i tam się trafi.

— Czemu nie? lecz wielmożny dziedzic nie potrzebuje się fatygować. On, chociaż jest bogaty, nie jest żaden arystokrata, ani nawet prosty szlachcic... on pochodzi z Ostrołęki, gdzie jego ojciec handlował trochę bydłem, to on się teraz wstydzi i dlatego przyjechał do Warszawy... Jak wielmożny dziedzic zechce, to on sam tu przyjedzie, albo wprost do rejenta, to będzie jeszcze prędzej.

— Owszem, można od razu i do rejenta i do hipoteki, ale zawsze wolę wpierw z nim poznać się.

— No, to ja mu powiem; ja jutro rano

każę swemu synowi, żeby on pojechał... dziś już późno jest.

— A więc dobrze, niech przyjedzie—powiedział Zahorski;— tymczasem dziękuję ci, mój łaskawco, a później porachujemy się, strachy nie będziesz.

— Ja wiem, ja jestem spokojny!—odparł Sieradz z godnością, i pożegnawszy się z zwykłą uniżonością, wyszedł.

Zahorski wkrótce udał się na spoczynek i ukołysany pogodą ducha, po tak szczęśliwie dokonanej już prawie operacji finansowej, usnął bardzo prędko i również prędko—dzięki czarodziejskiej sile sennej wyobraźni—przeniesiony został do Ostendy, gdzie bardzo rozkosznie czas mu schodził—jużto na wybrzeżu morskiem, jużto w uroczej willi, gdzie był również Rudowski, jako mąż Ludki.

Wieczorem zaś udawał się zwykle do wspaniałej sali, gdzie miał dużo przyjemnych wrażeń i sensacyi przy „trente et quarante,” gdzie dopisywało mu niezwykle szczęście...

Lśniły przed nim stosy złotej monety różnej wartości...

Niemniej przyjemnych wrażeń doświadczał i Sieradz, nie we śnie jednak, a na jawie.

Wyszedłszy od Zahorskiego już około godziny 11-ej wieczorem, nie śpieszył się do domu, lecz wolnym krokiem podążał w kierunku znanej żydowskiej restauracyi na Nalewkach

gdzie podawano znakomite szczupaki „po żydowsku.“

Fama o tych szczupakach była tak głośna, że do restauracyi tej uczęszczali nie tylko żydzi, lecz i chrześcijanie, amatorzy smakołyków kuchni żydowskiej.

Szczupaki te miały podobno tajemniczą moc podniecania pragnienia na wino węgierskie, które po niczem tak nie smakowało, jak po szczupaku z farszem.

Dla poważniejszych aferzystów żydowskich restauracya ta była zarazem klubem i nocną giełdą, na której obmyślano i decydowano o wielkich operacyach finansowych, obejmujących kraj cały.

Schodził tu czas przyjemnie przy szczupaku, przy piwie, przy winie rodzynkowym najlepszego gatunku.

Nastroj towarzyski był wyborny, gdyż iskry nalewkowskiego humoru sypały się tak obficie, że wybuchy śmiechu zrywały się co chwila, napelniając rozkosznym gwarem atmosferę restauracyjną, nasyconą zapachem ryby, cebuli i piwa.

Wesołość nastroju łatwą była do wytłómaczenia: przychodzili tu bowiem ludzie na posiłek i libacye tylko wtedy, gdy wypadł im dobry, bardzo dobry interes. Jakże więc goście nie mieli się cieszyć?

Cieszył się i Sieradz, przestępując próg restauracyi, i mówił do siebie:

— No, ja mogę sobie pozwolić dziś na kawał szczupaka i na całe pół butelki wina z rodzynków. Dlaczego nie? Ja mogę kazać sobie dać całe dwie półbutelki, bo to wszystko zapłaci ten Kalasanty Brzuszkiewicz, ten wielki kapitalista, co pożycza pieniądze na tak mały procent. On wielki dobrodziej jest, on wielki filantrop!...

Tu pan Sieradz tak rozkosznie się rozśmiał, że aż zwrócił uwagę kilku biesiadników, którzy przy pierwszym zaraz stole raczyli się piwem.

Jeden z tych „gości,” żyd, w długim atłasowym chałacie, zwrócił się do Sieradza z przyjaznem powitaniem, a zarazem i pytaniem:

— Na ile procent ty, Jakób, się śmiejesz?

— Ja się śmieję na bardzo mały procent.

— No, no... ty nie mów; ja słyszałem, coś ty, Jakób, wielki[myśliwy, i urządziłeś polowanie na tłustego cielaka, co jeszcze nie zupełnie odstawiony został od krowy.

— No... to ty nic nie wiesz; tyś słyszał jak ten głuchy, co jak mu mówią „głupi,” to on dziękuje i kłania się—odciał się Sieradz i poszedł dalej, upatrując znajomych i zamieniając po drodze ukłony. Wreszcie upatrzył sobie pusty stolik, stojący na uboczu, przy którym usiadł, żeby bez przeszkody spożyć ulubiony

swój przysmak, a zarazem i obmyślić szczegóły dowcipnie ułożonego planu, którego pierwszy dopiero akt został wykonany, a właściwie tylko naszkicowany, gdyż akcji istotnej dotąd nie było.

Zostawmy jednak na chwilę Sieradza, a zapoznajmy się z owym kapitalistą-dobrodziejem, który deklarował się z pożyczką na tak przystępnych warunkach, a mianowicie — z panem Kalasantym Brzuszkiewiczem.

Był to skromny człeczyna, z twarzą ogorzałą, dobroduszną, dość korpulentny, prawdziwy typ łyka miejskiego z prowincyi, który nie zdążył jeszcze dostatecznie się wypolerować według brukowego szablonu wielkiego miasta.

Przyjechał on do Warszawy przed dwoma laty ze znacznym kapitałem, z którego odsetków zamierzał urządzić sobie życie wygodne i dostatnie.

Na takich dobrodusznych kapitalistów polują zwykle rozmaici wydrwigrosze wielkomięscy, a szczególnie faktorzy żydowscy, którzy wiedzą zwykle, za pomocą wybornie urządzonej organizacyi wywiadowczej, prawdziwej policyi żydowskiej, kto, kiedy i w jakim interesie przybywa do wielkiego miasta.

Nie darmo przecież po wsiach i miasteczkach snuje się cała banda rozmaitych żydków, wiodących żywot na oko próżniaczy, lecz myszkujących pilnie wszędzie: po dworach wiej-

skich, po chatach wieśniaczych i wśród miejscowych obywateli, dobrodusznym mieszczuchów.

Znają też oni cały bieg interesów, stosunki rodzinne i najskrytsze tajemnice domowe, dzięki czemu, gdy się sposobność nadarza, umieją wybornie wyzyskać położenie, wkręcić się na doradców, pośredników, adwokatów, słowem występują w takiej roli, jaka im w danej chwili jest potrzebna.

Między tą próżniaczą zgrają agentów wywiadowczych a wielkim miastem utrzymuje się stała łączność: oni to utrzymują wybornie działającą tak zwaną „pocztę pantoflową,“ oni ślą noty dyplomatyczne do wielkich „polityków“ finansowych lub do ich pełnomocników w wielkim mieście; oni są wykonawcami nadsyłanych stamtąd rozkazów; za ich to sprawą i bezpośrednim udziałem wystawiają się majątki na sprzedaż lub spadają licytacye; oni to dają referencye o sytuacji majątkowej i zdolności płatniczej osób, z którymi wojujący Izrael pragnie rozpocząć walkę podjazdową...

Słowem, niema ani jednej sprawy życiowej, nie wyłączając kojarzenia małżeństw, w której ci małomiasteczkowi factorzy nie przyjmowałyby czynnego udziału.

Dzięki tej znakomitej organizacji macherzy i spekulanci warszawscy wiedzieli na parę tygodni przedtem o zamierzonym przyjeździe

Brzuszkiewicza do Warszawy; wiedzieli, jakim rozporządza kapitałem, oraz w jaki sposób ma urządzić sobie stały pobyt w tem mieście.

To też rozstawili wnet sieci, w które wpaść musiała świeżo upatrzona zdobycz, zdobycz upragniona ze względu na 50,000 rubli gotówki, jaką posiadał Brzuszkiewicz.

Że zaś w owe czasy spekulacya budowla-
na doszła do najwyższego stopnia rozpasania, przeto wszelki przyływ świeżego kapitału był wielce pożądany przez tych aferzystów, którzy przy pomocy cudzych pieniędzy robili ogromne fortuny...

Gdy więc Brzuszkiewicz przyjechał, ani się spostrzegł, jak się znalazł w obrotach faktorów.

Że zaś był to człek dobroduszny, niezna-
jący tajemnic szwindlu, mający bardzo słabe pojęcie o prawie i stosunkach miejscowych, a jednocześnie dość łakomy na pieniądze, przeto prędko się dał wziąć na wabia znacznych zysków, jakie mu ukazywano w perspektywie spekulacyi pożyczkowej.

Zaczął więc pożyczać na prawo i na lewo, z razu drobne sumy na wielki procent, aż wreszcie cały swój kapitał poumieszczał na hipotekach, które wydały mu się tak pewne „jak mur.“

Z początku procenty odbierał bardzo aku-
ratnie, po roku jednak płacono mu już kapa-

niną, jakby z łaski, a w ostatnich czasach już ani grosza znikąd nie mógł wydebić.

Zagroził wówczas procesem, lecz na groźbę tę odpowiedziano mu cynicznym uśmiechem.

Wówczas biedak przekonał się, że owe pewne, jak myślał, lokaty hipoteczne były tylko ułudą, że został najhaniebniej oszukany za pomocą fałszywych wykazów hipotecznych, i że gdyby wystąpił z procesem, nie tylko że nicby nie dostał, lecz musiałby jeszcze zapłacić jego kosztą.

Zrozpaczony, zaczął sobie rwać włosy na głowie; położenie jego bowiem było okropne: do niedawna będąc człowiekiem zamożnym, ujrzał się naraz nędzarzem, któremu brakło często dwóch złotych na obiad.

Mieszkał teraz gdzieś za rogatkami Wolskimi, wynajmując nędzny pokoik na poddaszu, żywiąc się byle czem i patrząc z trwogą w niepewne jutro, które nie obiecywało mu nic dobrego.

Faktorzy, którzy go wplątali w te interesy, nie chcieli z nim teraz gadać, jako z „trupem“, który już zaczął śmierdzieć.

Tak nazywano bowiem u żydów ludzi zrujnowanych, wszelkich bankrutów, z których już nie było można nic wyciągnąć.

Znaleźli się wprawdzie na ich miejsce inni, którzy, podobni do kruków, czujących padlinę, trzymali straż nad dogorywającym orga-

nizmem, w nadziei, że może jeszcze da się z niego co urwać, w myśl mądrej żydowskiej maksymy, że „nawet największy bankrut może jeszcze sok puścić.“

Czuwał też przy Brzuszkiewiczzu jeden ze służalców Sieradza, daleki jego krewny, którego obowiązkiem było dawać mu sprawozdanie o postępie rozkładu tego „trupa,“ z którego, na razie, nie widział żadnej korzyści, lecz który, przy nadarzonej sposobności, mógł się okazać pożyteczny.

— Kto wie? różne bywają interesy, to może i taki głupi bankrut przyda się na co!—mówił do siebie Sieradz, wysilając swój mózg, żeby wymyślić taką spekulację, w której Brzuszkiewicz mógłby odegrać na szachownicy geszeftu rolę posłusznego pionka.

Nareszcie nadeszła chwila, gdy Sieradz uderzył się mocno w czoło—i zawołałby niewątpliwie „Eureka!“ gdyby coś słyszał o Archimedesie; że jednak bliższej znajomości z tym mędrcom nie miał, przeto powiedział krótko:

-- *Schon!*...

Stało się to właśnie w tym czasie, gdy Zahorski tak gwałtownie potrzebował pożyczki i nalegał na Sieradza, żeby mu ją wy dostał.

Niedość jednak było powiedzieć „*Schon!*“—trzeba było jeszcze delikatnie, bardzo delikatnie wziąć się do takiego interesu, który przez jedno nieostrożne słowo mógł być zepsuty.

Punktem wyjścia do tej ryzykownej, lecz genialnej spekulacji była ta okoliczność, że Brzuszkiewicz był właścicielem znacznej sumy hipotecznej, wynoszącej 30,000 rubli.

Była to hipoteka z tak zwanych „na księżycu,” wisząca gdzieś na ostatku, poza szeregiem innych sum, które, razem wzięwszy, przenosiły trzy razy wartość domu.

Odebranie tej sumy było wprost niemożliwym, gdyż, w razie wystawienia domu na licytację, spadłoby z hipoteki nie tylko 30,000 rubli, lecz przynajmniej 130,000.

W jaki sposób zdołano uwikłać Brzuszkiewicza w tak niepewną lokatę kapitału—dużoby o tem mówić; powiemy więc krótko, że do sprawy tej użyto fałszywych wykazów hipotecznych, na które dali się wziąć nie tylko tacy prostaczkowie jak Brzuszkiewicz, ale i ludzie znacznie mądrzejsi.

Gdy się potem Brzuszkiewicz przekonał, jakiego podstępny padł ofiarą, rwał sobie włosy i tłukł głową o mur...

Nie pomogły potem prośby, ani groźby—wszystko bowiem ujęte było w formę prawną, a że *volenti non fit injuria*, przeto adwokat, do którego udał się Brzuszkiewicz o poradę, oświadczył, że sprawy się nie podejmie, tem bardziej, że klient nie miał gotówki nawet na rozpoczęcie procesu.

— Gotów jestem odstąpić panu mecena-

sowi trzecią część sumy wyprocesowanej—proponował Brzuszkiewicz.

— Choćby i połowę... wszystko jedno; proces bardzo niepewny i kosztowny, a ja forsusować nie mogę—odparł zimno pan „mecenas,” który tego rodzaju spraw miał już bez liku, lecz prowadził je za gotówkę, wypłaconą z góry, będąc pewnym, że „z dołu” nicby otrzymać nie mógł.

To samo powiedzieli i inni „mecenasi.”

Wówczas Brzuszkiewicz, zrozpaczony, postanowił odstąpić sumę hipoteczną za połowę, za ćwierć, za parę tysięcy nawet, żeby choć cokolwiek uratować i mieć żyć z czego.

Próby wszakże, czynione w tym kierunku, były daremne: nikt słyszeć nie chciał o nabytcu sumy, która nie przedstawiała żadnej wartości.

— Przepadło, przepadło wszystko! zginąłem z kretesem! — lamentował Brzuszkiewicz, przechodząc męki agonii wśród nocy bezsennych, jakie spędzał w swej nędznej izdebce na poddaszu.

Wówczas to niespodziewanie zgłosił się do niego Sieradz przez jednego ze swoich zauszników i zaofiarował się dać Brzuszkiewiczowi 1,000 rubli za 30,000 rubli owej sumy hipotecznej.

Biedak, przymierający wówczas z głodu, propozycję tę przyjął z radością i po małym

wahaniu, po bezskutecznych usiłowaniach wytargowania jeszcze chociaż paruset rubli, zgodził się na wszystko, bojąc się, żeby propozycja nie została cofniętą.

Tego samego więc dnia udał się do Sieradza, pragnąc jak najprędzej otrzymać ów tysiąc, który, w jego biedzie, wydawał mu się milionem.

Jakież jednak było przerażenie Brzuszkiewicza, gdy przekonał się, że nawet tej drobnej sumki tak rychło nie dostanie, a może wcale jej nie ujrzy.

Szło mianowicie o to, żeby odegrać przed Zahorskim rolę nie tylko dwuznaczną, lecz wprost oszukańczą.

Na to Brzuszkiewicz zgodzić się nie chciał; pomimo niedoli, w jakiej się znalazł, nie zatracił w sobie poczucia uczciwości,—to też nie tylko odmówił, lecz zwymyślał Sieradza od oszustów i szubrawców.

Sieradz przyjął ten wybuch słusznego oburzenia z dobrodusznym spokojem i wyrozumiałością, nie obraził się nawet za „łajdaka i szubrawca...“ Nie pierwszy raz przecie w ten sposób go honorowano, a przecież żył i Bóg mu błogosławił, gdyż miał liczną rodzinę i pieniądze.

Zresztą obrażać się nie mógł jeszcze i dla tego powodu, że Brzuszkiewicz przedstawiał dla niego w danej chwili bardzo dobry interes

i był mu potrzebny; kto zaś słyszał, żeby w tych warunkach można było pozwolić sobie na wielką ambycję i obrażanie się!

— obrażać się może tylko taki bogacz, co pieniędzy już nie potrzebuje! — rozumował Sieradz, i dlatego przetrwawszy mężnie gniew Brzuszkiewicza, podjął delikatnie robotę ułagodzenia głupiego „goja,” co, choć bankrut, tak się pysznił swoją uczciwością, jak wielki magnat.

Wynikiem tej delikatnej roboty było zupełne ujarzmienie Brzuszkiewicza.

Uspokojono go, wytłómaczono, że kto sam padł ofiarą gałganów i oszustów, to potrzebuje się ratować, żeby dać co jeść żonie i dzieciom.

— Na szczęście, ja dzieci nie mam! — westchnął Brzuszkiewicz.

— No, co to szkodzi, że niema?.. ale one mogą być, może ich być cały tuzin... to wszystko zależy od Pana Boga... No, to jak można nie troszczyć się o taką kupę dzieci?..

— Ależ to oszukaństwo! Ja nigdy nikogo jeszcze nie oszukałem.

— My wiemy, że pan Brzuszkiewicz bardzo godna osoba jest i nie potrzebował oszukiwać, bo z łaski Boga miał ładny kawałek grosza; zresztą to nie jest żadne oszukaństwo: jeden chce sprzedać, drugi kupuje... no, to jakie w tem oszukaństwo jest? Jak kto dostanie gładką, fałszywą czterdziestówkę w jednym sklepie,

to nie rzuci jej w błoto, lecz pójdzie do drugiego sklepu, zapłaci... i nie będzie w tem żadnej nieuczciwości, bo jak ten drugi kupiec przyjmie, to on *chce* przyjąć, a kto chce sam, ten nie może narzekać, że go oszukali. Tak jest z każdym towarem, a pieniądz też towar jest...

Tak dowodził Sieradz, aż wreszcie zdołał ukołysać skrupuły Brzuszkiewicza, co wszakże, oprócz wymowy, kosztowało jeszcze 1,500 rubli ponad umówiony tysiąc.

Tym sposobem za 2,500 rubli Brzuszkiewicz nie tylko że odstępował 30-tysięczną sumę hipoteczną, lecz i zobowiązał się zostać powolnem narzędziem Sieradza i czynić wszystko, co ten mu poleci.

Zadatku otrzymał Brzuszkiewicz całe 100 rubli, poczem spisana została formalna umowa kupna i sprzedaży, a nadto Brzuszkiewicz musiał podpisać jakieś dodatkowe zobowiązania, które oddawały go całkowicie w ręce Sieradza.

Gdy biedny prowincjonalista rozstał się wreszcie ze swym dręczycielem, uczuł się tak „nieswojo“, że wstąpił do pierwszej bawaryi, żeby zalać trunkami robaka, który gryzł jego sumienie.

— Łajdak jestem! oszust jestem! złodziej jestem! Ale niech tam! Mnie też oszukali, to co mi tam... i ja żyć muszę!

Tak rozumował Brzuszkiewicz, powracając już nad ranem na swoje poddasze.

Od tego czasu nie był już trzeźwy, gdyż czuł, że go wciąż coś gryzie w piersi, coś w mózgu wierci, coś wciąż powtarza:

— Łajdak jesteś! oszust jesteś!

Musiał więc głuszyć ten głos dokuczliwy i pił.

Nie mógł się jednak upić aż do utraty przytomności: głowę miał mocną, a i troska sumienia była silną.

III.

Zahorski, który bronił się z razu od większej pożyczki, jaką mu Sieradz zaproponował, tak następnie przystosował do niej swe obliczenia i przypuszczalne potrzeby płatnicze, że suma 40,000 rubli wydała mu się wprost konieczną i niezbędną.

Z niecierpliwością więc oczekiwał ostatecznego wyniku tej transakcyi, od dopełnienia której zależał między innymi sprawami wyjazd żony i córek do Ostendy.

Wszystkie przygotowania do podróży zostały już poczynione, gdyż wielkich sprawunków nie robiono, pani Zahorska bowiem uznała, że daleko dogodniej i taniej wypadnie to

wszystko za granicą; dla tej więc taniości zapewne, wymogła, że zamiast uprzednio żądanych 1,500 rubli otrzyma 3,000 rubli.

— Przy sposobności poczynimy przygotowania do wyprawy dla Ludki, zaoszczędzi się na tem parę tysięcy rubli; za granicą takie rzeczy kupują się za bezcen—perswadowała mężowi, gdy ten próbował się opierać.

Czego się jednak nie czyni dla szczęścia dziecka i... dla spokoju domu!.. dlatego też Zahorski ustąpił, wiedząc z góry, że daremne byłoby jakiegokolwiek perswazyje, gdy żona cośkolwiek uplanuje i postanowi.

— Zresztą, jak nie teraz, to trzeba będzie wydać później jeszcze więcej — myślał i 3,000 rubli wciągnął do pozycji wydatkowych.

Tymczasem tranzakcja pożyczkowa uległa niespodzianej zwłóce, która zaniepokoiła Zahorskiego.

Zamiast bowiem oczekiwanego Brzuszkiewicza, zjawił się Sieradz, nieco zafrasowany.

— A gdzie ten... ten Brzuszkiewicz?

— On przyjdzie...

— Miał przyjść dziś.

— On chciał, ale po co miał przychodzić, kiedy on jeszcze nie ma pieniędzy?

— Jakto? mówiłeś, że ma gotówkę.

— On ma, ale jeszcze nie odebrał.

— Z banku?

— Tak jak z banku, bo jemu mają wypłacić w hipotece.

— Nic nie rozumiem — powiedział Zahorski, stropiony tą zwłoką.

— No, jest to bardzo prosty interes: jemu się należy jutro odebrać 30,000 rubli pożyczki hipotecznej, której termin dziś... no, to on chce do tej sumy dołożyć jeszcze 10,000 rubli i dać całe 40 tysięcy.

— Aha!... więc to jutro?

— Tak... jutro, mnie się tak zdaje.

— Mówisz tak, jakby to nie było jeszcze pewne...

— Dlaczego nie ma być pewne? Jak pieniądze jest na hipotece, na dobrej hipotece, to bardzo pewne jest, wielmożny dziedzic to sam wie; no, ale może się zdarzyć, że ten, co ma płacić, nie znajdzie tak zaraz pieniędzy, to trzeba trochę poczekać...

— Więc z tego wszystkiego może jeszcze nic nie być?—zawołał Zahorski niemal z przerażeniem.

— Dlaczego nie ma być? On chce dać; a jak kto chce dać, to już dobrze jest.

— Ale ja długo czekać nie mogę, wiesz sam...

— Ja wiem... ale co ja mogę zrobić? Mnie samemu bardzo przykro jest, że wielmożny dziedzic potrzebuje trochę poczekać; ja mu

mówiłem, on to już wie, że pilne jest, i on się będzie śpieszyć.

— Więc mówisz, że jutro się zdecyduje?

— Pewno, że jutro; chociaż tamten, co ma płacić, to bardzo prosi, żeby zostawić mu sumę jeszcze na rok... on chce dać bardzo dobry procent.

— Ale cóż mnie to obchodzi?

— No, ja wiem, ja tylko tak mówię; Brzuszkiewicz nie chce czekać, on chce swoje pieniądze razem mieć, żeby z jednym mieć interes.

— Więc niech żąda, żeby mu zapłacili.

— On też żąda, on każe sobie płacić, on już mówił, że czekać nie chce.

— Więc dobrze, pilnujże tego interesu i staraj się, żeby jak najprędzej to wszystko doprowadzić do końca; ja już powiedziałem wszystkim, że za tydzień wypłacę co się komu należy; muszę dotrzymać słowa.

— Niech wielmożny dziedzic będzie spokojny; to się zrobi, nie dziś, to za dni kilka; Sieradz nie usiądzie, póki interes nie będzie gotów.

— A więc idź...

— Już, już... ja idę, biegnę.

— A pamiętaj przyjść jutro powiedzieć.

— Nie potrzeba mi tego mówić... ja wiem; jak się tylko coś zrobi, Sieradz przyłeci.

Nazajutrz jednak Zahorski przez cały dzień daremnie wyczekiwał Sieradza.

Zaniepokojony tem niezmiernie, już nad wieczorem posłał po niego stróża, ten jednak faktora w domu nie zastał.

— On jak wyszedł o szóstej rano, to do tej pory nie był — oświadczyła stróżowi pani Sieradzowa, nie omieszkawszy dodać, że jest z tego powodu bardzo niespokojna.

Zahorski, wobec tej relacji stróża, zaklął z cicha i, zły niezmiernie, poszedł do swego gabinetu rozmyślać nad niepewnością sytuacji.

Niepokazanie się faktora nic dobrego nie zapowiadało.

— Gdyby było coś pomyslnego, niezawodnieby przyleciał — myślał Zahorski, mocno przygnębiony temi przykremi niespodziankami, jakie od paru miesięcy ciągle go spotykały.

Ostatnia zwłoka w otrzymaniu pożyczki, i to zwłoka nieoczekiwana, wobec uprzednich zapewnień Sieradza, mogła fatalnie pokrzyżować jego interesy. Pomijając już pilne wypłaty dostawcom i majstrom za roboty, trzeba było zaspokoić koniecznie Pomeranca, którego pozew w sądzie lada dzień mógł wejść na wokandę.

Do żyda tego Zahorski zgłaszał się przez trzecie osoby, prosząc o prolongatę, ten jednak ani słyszeć o niej nie chciał, oświadczając kategorycznie, że on swoje 5,000 rubli musi odebrać i jeśli mu prędko nie zapłacą, to on narobi dużo kosztów i wystawi dom na licytację.



Zahorski zaproponował wówczas Pomerancowi osobiste porozumienie się—i na to jednak otrzymał odpowiedź odmowną.

— Po co ja mam go widzieć?... ja go wcale nie chcę znać, ja chcę widzieć moje pieniądze, niech mi on odda moje 5,000 rubli i my wcale się widzieć nie potrzebujemy!

Tak odpowiedział rudy Pomeranc rządcy domu, gdy ten w imieniu Zahorskiego chciał z nim wejść w jakiegokolwiek porozumienie.

Ta brutalność żydowska wierzyciela, którego Zahorski nigdy dotąd nie widział na oczy, przejmowała go oburzeniem i wstrętem; dlatego też postanowił za jakąbądź cenę wydostać pieniędzy, żeby tylko nie mieć więcej do czynienia z tak twardym i wrogo usposobionym lichwiarzem, za jakiego go przedstawił Sieradz, mówiąc:

— To wielki gałgan jest, podły lichwiarz... on żadnego względu nie ma nawet dla biednych żydków, on ich dusi, jak zły pies, albo dziki wilk... jemu trzeba koniecznie zapłacić!...

— Tak, zapłacić trzeba!—powtarzał Zahorski, chodząc nerwowym krokiem po pokoju i zatrzymując się co chwila przy oknie, wychodzącym na dziedziniec, w nadziei, że, pomimo późnego już wieczoru, może się zjawić jeszcze Sieradz z dobrą wieścią.

Sieradz jednak nie przyszedł.

Nazajutrz, ledwo dzień się zrobił, Zahorski

posłał po niego stróża i nakazał mu, żeby Sieradza sprowadził.

Dopiero jednak około południa Sieradz rzeczywiście się pokazał.

— No i cóż? — zagadnął go Zahorski na wstępie.

— Jeszcze niema nic — odparł, wzruszając ramionami.

— Dlaczegoś wcześniej nie przyszedł? — zawołał Zahorski tonem gniewnym.

— Po co ja miałem przyjść, kiedy nic dobrego nie miałem do powiedzenia? Ja nie chciałem wielmożnego dziedzica martwić.

— Cóż więc, u licha, z tego będzie?

— Czy ja mogę wiedzieć? Jabym chciał... już mnie gęba boli od gadania w tym interesie; jabym sam dał pół procent, żeby to się już skończyło — odparł Sieradz z wyrazem zniechęcenia i zmęczenia na twarzy.

— Powiedz jednak, jak jest... i kiedy ten Brzuszkiewicz odbierze swoje pieniądze?

— Czy ja mogę co wiedzieć? On mówi, że odebrać musi, bo jest termin, a on lubi bardzo, żeby było tak, jak jest termin; tamten znów go prosi bardzo, żeby zostawić jeszcze na rok, albo na pół roku, ale on nie chce...

— A jeśli tamten nie będzie mógł zapłacić?

— To on wystawi dom na licytację i także na tem może zarobić; to bardzo dobry dom jest.

— Tym sposobem, gdyby przyszło do licytacji, to z pożyczki mogłoby nic nie być!...

— Aj, aj!... nie daj Boże, żeby tak miało być... to byłoby dla wielmożnego dziedzica bardzo niedobrze... ale ja myślę, że tamten zapłaci— pocieszał Sieradz, nie chcąc pozbawiać Zahorskiego resztek nadziei, jaką się dotąd łudził.

W ten sposób, z dnia na dzień, przez całe dwa tygodnie zwodził Sieradz, to budząc nadzieję, że wszystko będzie dobrze, to znowu przynosząc wieści najgorsze.

Doprowadził tem wreszcie Zahorskiego do takiego stanu rozdrażnienia i przygnębienia, że gotówby był poświęcić znaczną część swego majątku, żeby w ten lub ów sposób wyjaśnić położenie.

Tymczasem sprawa Pomeranca o 5,000 rubli weszła już na wokandę sądową i termin jej przypadał za dni kilka.

Zgnębiło to Zahorskiego do reszty...

Schudł, twarz mu wyciągnęła się i pociemniała, wyraz oczu stał się jakiś błędny i przygasły. Utracił apetyt i sen, stał się tak nieprzystępny i zamknięty w sobie, że unikał rozmowy z żoną i dziećmi.

Pani Zahorska z niepokojem zauważyła tę zmianę, i przypisując ją chorobie, zawezwała lekarza, o czem jednak mężowi wcale nie wspomniała.

Zahorski jednak nie tylko że z lekarzem widzieć się nie chciał, lecz ofuknął szorstko żonę, mówiąc:

— Daj mi pokój!... Nie jestem chory... tu lekarz nic nie pomoże....

— Ależ, mój mężu, zrób to dla mnie... ogromną w tobie widzę zmianę: chodzisz zgnębiony, nie jesz, nie śpisz...

— Skończy się to, skończy, uspokój się... Niech tylko ureguluję hipotekę, wtedy wszystko pójdzie lepiej.

— Daj Boże!—westchnęła pani Zahorska — tak byłabym szczęśliwa, gdybyśmy mogli nareszcie otrząsnąć się z tych spraw pieniężnych i wyjechać...

— Pojedziecie... jeszcze dni kilka — powiedział Zahorski z odcieniem przykrego zniecierpliwienia.

Pani Zahorska umilkła, po chwili jednak znów odezwała się:

— Rudowski już pojechał.

— Dajże mi z nim pokój! Cóż mnie to może obchodzić!—ofuknął szorstko.

Pani Zahorska z wyrzutem spojrzała na męża; widząc jednak ciężką chmurę na jego czole, nie powiedziała nic i wyszła, mocno zaniepokojona tem nadmiernem podrażnieniem męża.

Nie miała dokładnego pojęcia o interesach majątkowych, wiedziała jednak dobrze z długoletniego pożycia małżeńskiego, że ile razy mąż, zwykle bardzo dobry i łagodny, wpadał w taki stan rozdrażnienia, tyle razy sytuacja ich majątkowa była zagrożoną.

Tak było, gdy przegrany został w ostatniej instancji wielki proces o sporną sukcesję; tego samego doświadczyła, gdy zakwestyonowaną została połowa sumy posagowej; a po raz ostatni, gdy musieli wyzuć się z rodowego majątku, będącego od kilku wieków w posiadaniu Zahorskich.

— Czyżby i teraz miało im grozić to samo? — pytała siebie z trwogą w sercu; a chcąc coś pewniejszego dowiedzieć się w tej sprawie, wezwała do siebie Władysława, żeby się z nim naradzić i, jeśli można, ratować w jakikolwiek sposób zagrożoną sytuację.

Władysław jednak niewiele więcej wiedział od matki, natomiast nie podzielał jej obaw.

Zgorszyło to niezmiernie panią Zahorską.

— Jakże możesz, mój Władziu, tak obojętnie traktować te sprawy i nie wiedzieć nic o interesach?... Przecież jesteś już dorosłym mężczyzną i po ojcu jedynym naszym opiekunem i głową rodziny! — powiedziała z gorzkim wyrzutem.

— Cóż ja mogę poradzić na to, moja mamo? Wiesz sama, że ojciec wszystkie sprawy pieniężne sam prowadzi i nierad jest, gdy do czego się wtrączę. Doszło już nawet do tego, że nie wolno mi przyjąć opłaty komornego od lokatorów — odparł Władysław z gorzkim sarkazmem.

Pani Zahorska westchnęła ciężko, po chwili zaś powiedziała głosem cichym, rozżalonym:

— Sameś temu winien, mój Władziu.

— Ja?

— Tak... Wszakże zakaz ten nastąpił od chwili, gdyś 250 rubli, otrzymane z komornego, zatrzymał i wydał na swoje potrzeby.

— Więc cóż to wielkiego? Nie jestem przecież smarkaczem, żebym potrzebował się prosić o każdego rubla na drobne wydatki; zresztą zdarzyło się to raz tylko...

— Tak, tak... ja cię nie obwiniam, ale ojciec...

— On tego nie rozumie i dlatego zmusza mnie do zaciągania lichwiarskich pożyczek, które przecież zapłacić będzie trzeba...

— Znowu?—zawołała pani Zahorska z przerażeniem w głosie i wyciągnęła błagalnie ręce, mówiąc: — Nie czyn tego, Władziu, proszę cię... Pomyśl, co z nami się stanie, jeśli ojciec... on jest teraz tak skłopotany, tak rozdrażniony... jestem prawie pewna, że nam coś grozi, i drzę cała...

— Niechże mama uspokoi się... to są przesadne obawy; przecież teraz nasza sytuacja majątkowa jest lepsza, mamy dwie kamienice...

— Dlaczegoż więc ojciec jest tak przygnębiony?

— O ile wiem, traktuje o większą pożyczkę hipoteczną; mówił mi Sieradz...

— Ach, ten Sieradz! ja się go po prostu

boję; zimno mi się robi, gdy go widzę, nie wiem dlaczego mu niedowierzam i zdaje mi się, że czyha on na naszą zgubę.

— Przesada, kochana mamó! To bardzo jeszcze porządny żyd, grzeczny i usłużny i nieoceniony jako faktor; to on przecież wystarał się podobno o pożyczkę.

— Daj Boże, żeby moje przeczucia były mylne i żebyśmy raz już mogli się uspokoić i wejść w normalny tryb życia! ty zaś, Władziu... — tu pani Zahorska urwała, dostrzegła bowiem idącą z drugiego pokoju Ludkę, dodała więc półgłosem:—nie mówmy już o tem... po co się ta biedaczka ma jeszcze więcej martwić.

To rzekłszy, przybrała swobodny wyraz twarzy i zaczęła coś mówić o rzeczach obojętnych.

Weszła Ludka.

Ruchy jej były omdlałe i powolne, a na twarzy, trochę mizernej, malował się wyraz wielkiego znudzenia. Strój jej był nie tak jak zwykle staranny, a nawet grzywka, okalająca czoło, była powichrzoną.

Zauważyła to pani Zahorska, i przywoławszy ją do siebie, powiedziała tonem lekkiej wymówki, poprawiając jej włosy nad czołem:

- Zanedbujesz się, moje dziecko...
- Wszystko mi jedno — odparła niedbale.
- Nie powinnaś tak mówić, a przeciwnie:

starać się dobrze wyglądać... niedługo wyjeździemy.

Ludka ożywiła się nagle i zapytała, patrząc badawczo na matkę:

— Kiedy?

— Prędko już...

— Słyszę to od trzech tygodni.

— Cóż robić! nie zawsze wypada tak, jak chcemy. Czy byłaś u Molskich?

— Po cóż ja tam pójde?... Powiedziałam przed trzema tygodniami, że za tydzień wyjeżdżamy, a tymczasem siedzimy na miejscu; musiałabym się tłumaczyć i kłamać, a wie mama, że ja tego nie lubię. Czy mama mówiła co z ojcem?—zagadnęła po chwili.

— Tak, moje dziecko.

— I cóż powiedział?

— Że już niedługo, może za dni kilka.

Panna Ludwika poruszyła się niecierpliwie i powiedziała niezadowolona:

— Nie rozumiem doprawdy, jakie to mogą być przyczyny tej ciągłej zwłoki. Przecież na wyjazd tak dużo pieniędzy nie potrzeba; możnaby coś wziąć z tego, co przynoszą lokatorowie, a resztę papa mógłby nam nadesłać...

Pani Zahorska nic na to nie odpowiedziała, natomiast Władysław nie mógł się powstrzymać, żeby nie dociąć siostrze, dlatego też zauważył tonem uszczypliwym:

— Trzeba naszych lokatorów uprzedzić,

że masz ochotę jechać do Ostendy... pewno jeszcze o tem nie wiedzą...

Panna Ludwika zmierzyła wyniosłem spojrzeniem swego brata, i wykręciwszy się na pięcie, wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi z gniewnym impetem.

— Wstydzilibyś się, Władziu, robić jej ciągle jakieś docinki—odezwała się matka z rozżaleniem w głosie;—i tak mamy już dość przykrości w domu, żebyśmy je mieli powiększać niezgodą w rodzeństwie.

— Mama staje zawsze w jej obronie, a tymczasem Ludka jest krańcową egoistką i zdaje się jej, że wszystko, co istnieje na świecie, winno na jej tylko być usługi...

— Przesadzasz, mój Władziu. Ludka ma bardzo dobre serce, obecnie jednak trochę niedomaga i jest rozdrażnioną; trzeba niekiedy umieć być wyrozumiałym i pobłażliwym; jak wyjdzie za mąż, wszystko się to zmieni.

— Oby to nastąpiło jak najprędzej!

— Otóż to!... Czy Rudowski pojechał wprost do Ostendy?

— Miał zabawić parę tygodni w Paryżu.

— Wspominał coś i o Londynie.

— Tak, ale tylko na trzy dni tam się wybierał; namawiał mnie usilnie, żebym z nim jechał—dodał z odcieniem goryczy w głosie, że na taką wycieczkę do stolic świata nie może sobie pozwolić.

Pani Zahorska westchnęła, po chwili odezwała się półgłosem:

— Jakby to było dobrze, gdybyśmy wszyscy razem mogli pojechać! Mówiłeś, że ojciec traktuje o większą pożyczkę hipoteczną; jeśli tak, to może się to uda; razem to nawet taniej wypadnie...

Władysław uśmiechnął się i zauważył:

— Niekoniecznie... wszakże podróż koleją i życie na miejscu opłaca się od osoby.

— Tak, ale zawsze... w hotelu można wziąć tylko dwa pokoje, a i służbie mniej się daje na wyjeździe.

— Oszczędność wielce problematyczna, która nie trafi do przekonania papy; co do mnie zresztą, nie mam nawet ochoty wyjeżdżać z Warszawy wobec trudności pieniężnych, jakie nas trapią. Niech się sytuacja wyjaśni, a wtedy będzie dość czasu o tem pomyśleć.

Na to wyjaśnienie sytuacji czekano jeszcze cały tydzień, w ciągu którego Zahorski musiał przejść wiele ciężkich i przykrych chwil.

Naciskano go coraz natarczywiej ze wszystkich stron o wypłatę; najbrutalniej zaś wystąpił majster ciesielski, któremu za dostawę materiałów i roboty należało się około trzech tysięcy rubli.

Był to człowiek awanturniczego usposobienia, nie liczący się z żadnymi względami,

tem bardziej, że posłyszał coś o zachwianiu interesów Zahorskiego.

Pod wpływem tej pogłoski, złośliwie przez kogoś podtrzymywanej, człowiek ten wpadł raz do gabinetu Zahorskiego i wywołał awanturę tak skandaliczną, że musiano aż wezwać pomocy policyi na poskromienie jego zuchwałstwa.

Rzucił się on po prostu z pięściami na Zahorskiego, obrzucając go gradem obelg i najordynarniejszych wymysłów; gdy zaś zjawił się przedstawiciel porządku publicznego, podniósł głos jeszcze bardziej i na całe gardło wrzeszczał:

— Pisz pan protokół!.. pisz, że mi nie chcą płacić, że są okpisze i wydrwigrosze, a nibyto państwo!... Ja się policyi nie boję, ja uczciwie pracuję i domagam się za swoją pracę zapłaty! niech zapłacą, a znać ich nie chcę...

Na tę krzykliwą, szynkownianą prawie awanturę weszła pani Zahorska i zemdląła.

Uczył się z tego powodu lament i płacz w całym domu.

Takich scen, mniej wszakże gorszących, było jeszcze kilka: zaczęli się zgłaszać drobni wierzyciele, dotąd bardzo cierpliwi i potulni, i upominać się dość szorstko o należność, której na razie zaspokoić nie było sposobu.

Na dobitkę, zapadł wyrok zaoczny na ko-

rzyść Pomeranca, któremu, oprócz 5,000 rubli, przysądzono znaczne koszty.

Słowem, położenie było tak fatalne, że Zahorski stracił zupełnie głowę i nie wiedział już, co począć. Twarz miał wychudłą, prawie ziemistą, a pod oczami głębokie doły. Chodził bezradny zupełnie po swoim gabinecie i chwycił się rozpacznie za głowę, po której snuły się myśli jak noc czarne.

Nie widział żadnego już wyjścia, żadnego ratunku,—wszelkie bowiem usiłowania zaradzenia złemu były bezowocne.

Dokąd tylko się zwrócił, spotykał się z szorstką odmową i podejrzliwością.

Patrzano na niego jak na człowieka, który miał ochotę oszukać i okpić.

Widoczną w tem była czyjaś złośliwa ręka i wyraźna intencja przedstawienia go jako zdeeterminowanego bankruta, któremu nie można było zaufać najdrobniejszej kwoty.

I tak było istotnie...

Dzięki zabiegom Sieradza i jego zauszniaków, na giełdzie kredytowej papiery Zahorskiego spadły zupełnie; ogłoszono go za „trupa“, z którym nie było już nic do czynienia.

Bezpośredni następstwem tej tendencyjnej plotki były właśnie te brutalne wystąpienia cierpliwych dotąd wierzycieli, którzy, zaniepokojeni rozgłaszaną wieścią, chcieli zawczasu odebrać swą należność.

Plotka ta przybrała tak monstrualne rozmiary, że nawet lokatorowie zwlekać zaczęli z opłatą komornego, nie będąc pewni, czy Zahorski nie utracił już wypadkiem tytułu własności.

W takiej to chwili zjawił się Sieradz z raktunkiem, który przyjęty został z tem większą wdzięcznością, że wszelka nadzieja takiego raktunku była już pogrzebaną.

O pożyczce hipotecznej bowiem, z którą tak długo Sieradz zwodził obietnicami, nie było już mowy, jak również i o Brzuszkiewiczu,—ten bowiem nie chciał już podobno słyszeć o proponowanej lokacie u Zahorskiego.

Tymczasem pewnego poranku zjawił się Sieradz, wielce rozradowany, wołając ode drzwi jeszcze:

— Jest, jest!...

— Co takiego?—zapytał Zahorski, patrząc na Sieradza z niedowierzaniem.

— Co ma być? To, co potrzeba... Wielmożny dziedzic myślał, że Sieradz zapomniał, że Sieradz poszedł sobie leżeć i za interesem przestał chodzić... wielmożny dziedzic Sieradza nie znał, kiedy tak myślał.

— Więc cóż? mówże, co jest?

— Jest kapitał... jest pożyczka!... Można będzie tego łajdaka Pomeranca zapłacić i tego grubijanina cieślę, co tyle nieprzyjemności wielmożnemu dziedzicowi narobił.

Twarz Zahorskiego wyjaśniła się, przyjaźnie spojrział na faktora i zapytał:

— Skądżeś wydobył?

— Skąd?... Ja kazałem temu Brzuszkiewiczowi, żeby on wielmożnemu dziedzicowi wygodził.

— Przecież on pieniędzy nie odebrał.

— To prawda, że on zostawił te 30,000 rubli jeszcze na pół roku, ale on ma jeszcze gotówki 10,000 rubli; on nie chciał dawać, ale teraz da...: ja mu wytłómaczyłem, że on powinien dać, żeby wygodzić takiemu godnemu panu, jak wielmożny dziedzic.

— Bardzo mnie to cieszy; teraz jednak dziesięć tysięcy będzie za mało.

— Dlaczego mało? Wielmożny dziedzic chciał jeszcze mniej... zdaje się, ośm tysięcy, czy nawet sześć... a teraz, jak jest całe dziesięć, to jeszcze mało?— powiedział Sieradz, zdziwiony i zgorszony zarazem.

— Wówczas nie było jeszcze 5,000 rubli Pomeranca—zauważył Zahorski.

— No, to prawda jest, ale co robić? jak więcej on nie ma, to musi wystarczyć.

— Zapewne, że musi; wezmę więc te 10,000 rubli, aby prędejsz...

— No, teraz to będzie prędko... Brzuszkiewicz potrzebuje wyjechać, to się sam śpieszy.

— Tem lepiej... jutro, albo nawet i dziś możemy pójść do rejenta i do hipoteki, rób to jak najprędzej.

— Ja już kazałem mu czekać w cukierni, bo ja wiedziałem, że pilno jest: tylko on chce, żeby wielmożny dziedzic wziął i te 30,000 rubli, płatne za pół roku.

— Co znowu? o jakich 30,000 mówisz?

— No, o tych, co on ma na hipotece...

— A mnie to po co?

— Jakto, po co? przecież to pieniądz jest, czysty pieniądz...

— Nie pieniądz, lecz suma hipoteczna.

— No, za pół roku to będzie gotówka, to czy to nie wszystko jedno jest? To nawet lepiej, bo wielmożny dziedzic będzie miał ten kapitał w zapasie, na wypadek, czego nie daj Boże, jakich trudności w kredycie... Teraz ciężki czas jest... Za pół roku to może i na 50 procent trudno będzie dostać pieniędzy... już ja wiem, że tak będzie — dowodził Sieradz.

— Wszystko to być może, lecz po co ja mam nabywać sumę hipoteczną, kiedy sam szukam pieniędzy na hipotekę własnego domu?

— No, to właśnie to jest, co wielmożny dziedzic chce, bo za pół roku te pieniądze będą, całe 30,000 rubli.

— A jak nie zapłacą?

— Dlaczego oni nie mają zapłacić?... Oni zapłacić muszą.

— Dla tego samego, dla czego nie zapłacili teraz.

— Oni chcieli już zapłacić... ja sam widziałem te pieniądze, ale oni bardzo prosili tego Brzuszkiewicza i dali mu 6 procent za prolongatę na pół roku, no, to co on miał robić? on się zgodził.

— Hm!... czy aby hipoteka jest pewna? — zapytał jeszcze Zahorski.

— Czy ona pewna jest? Ona pewniejsza, niż na domu wielmożnego dziedzica; ona tak pewna jest, że Liebkind wziąłby ją zaraz za tę sumę, co wielmożny pan jemu winien.

— Mówiłeś z nim o tem?

— Po co ja miałem mówić? On wiedział wprzód jeszcze o tej sumie, on chciał ją kupić.

— No, jeśli tak, to co innego... trzeba wprzód jednak przejrzeć hipotekę...

— Hipotekę?... Czemu nie? Ja już wiedziałem, że wielmożny dziedzic jest bardzo ostrożny i dlatego ja wziąłem ze sobą gotowy już wypis, poświadczony w hipotece — odparł pośpiesznie Sieradz, i wyjąwszy z bocznej kieszeni urzędowy papier, rozłożył go przed Zahorskim.

Ten zaczął się w nim uważnie rozglądać, obejrzał pieczęcie, sprawdził datę, poczem odłożywszy na bok, powiedział:

— Tak, hipoteka zdaje się dobrą.

— Co to dobra!... To za mało jest. Ona więcej jak dobra, ona twarda jak kamień, na

niej można usiąść i ona się nie zawali... niech tylko wielmożny dziedzic obejrzy jeszcze kamienicę... Ona prawie taka duża jest, jak ostatni dom pana Molskiego... piękna kamienica jest...

— Owszem, obejrzę, muszę także zapytać Liebkinda, czy zgodzi się tę sumę hipoteczną przyjąć w spłacie należności.

— Czy on się zgodzi? On będzie bardzo kontent, on bardzo potrzebuje pieniędzy, a to gotowy pieniądz jest. Trzeba tylko, żeby wielmożny dziedzic pośpieszył się, bo ten Brzuszkiewicz potrzebuje prędko wyjechać, to niech on nie ma czasu do wielkiego namysłu; on ma i inne umieszczenie dla swoich pieniędzy, jego bardzo proszą i dają większy procent — ostrzegali Sieradz.

— W takim razie jedźmy zaraz — zgodził się Zahorski.

W kilka minut później Zahorski razem z Władysławem siedzieli już w dorożce, a w drugiej umieścił się Sieradz w swej roli przewodnika i doradcy.

Obejrzenie kamienicy, na której mieściły się 30,000 rubli Brzuszkiewicza, trwało pół godziny; Zahorski obszedł wszystkie główne lokale i przyszedł do wniosku, że dom zbudowany był fundamentalnie.

Posesya była duża, placu wolnego pod budowę zostało jeszcze 6,000 łokci.

— Tu jeszcze dwie kamienice wybudować

można — przekonywał Sieradz, — to milionowy interes jest!

— Istotnie, miejsca jest dość.

— Za same place chcieli mu zapłacić po piętnaście rubli za łokieć.

— Terazby tyle nie dali; place spadły w cenie—zauważył Władysław.

— No, to prawda jest, że one trochę spadły, ale one się podniosą... ziemia zawsze w cenę musi być, bo jej więcej, niż jest, być nie może; a taki towar, którego więcej być nie może, musi w górę pójść.

Zahorski raz jeszcze przejrzał uważnie wykaz hipoteczny i uspokoił się zupełnie co do bezpieczeństwa lokaty: posesya warta była najmniej 350,000 rubli, a długów na niej było 180,000 rubli, z których 30 tysięcy Brzuszkiewicza zajmowały przedostatnie miejsce, niżej bowiem była jeszcze poważna suma 50,000 rubli.

Ryzyka więc nie było żadnego — tak się przynajmniej zdawało Zahorskiemu i Władysławowi.

— Niema się co namyślać... interes zupełnie pewny—powiedział Władysław.

— I mnie się tak wydaje; na wszelki jednak wypadek, trzeba się porozumieć z Liebkindem, czy zechce sumę tę przyjąć na konto swej wierzytelności.

Sieradz, nie tylko, że nie odradzał, lecz przeciwnie—zachęcał.

— Dlaczego nie? Niech wielmożny dziedzic z nim się zobaczy, niech on sam powie!... Lepiej zawsze spokój mieć i pewność. Możemy pojechać zaraz...

— Czy aby zastaniemy go w domu?

— On teraz w domu jest; on potrzebuje być u siebie, bo dziś mają przyjść do niego kupcy na domy.

— Więc jedźmy — zdecydował Zahorski i skierował się do oczekującej go dorożki.

Dopędził go wszakże Sieradz i powiedział:

— Jeszcze jedno słowo...

— O co chodzi?

— Ja chciałem dać wielmożnemu dziedzicowi jedną radę.

— Jaka?

— Bardzo dobrą radę.

— Mówże, jaką?

— Niech wielmożny dziedzic z Liebkindem się nie śpieszy; ja wiem, że on będzie bardzo kontent zamienić swoją sumę, co jeszcze na trzy lata jest, na taką, co za pół roku zapłaca. On na tem zarobi dużo, bo teraz pieniądz drogi jest. No, to po co on ma zarobić, kiedy wielmożny dziedzic może mieć to samo? Niewiadomo jeszcze, co może być... Za kilka miesięcy mogą być potrzebne pieniądze, bardzo potrzebne.. Z pożyczką Towarzystwa śpieszyć się żaden interes jest, niema też żadnego wyrachowania wykończyć dom przed lustracją; lepiej kilka

miesiący poczekać, a wówczas podatek za pięć lat zostanie w kieszeni. Wielmożny dziedzic sam to rozumie... to lepiej trochę poczekać i zostawić pieniądze dla siebie, na wszelki wypadek. Zapłacić, to zawsze jest czas...

— Hm! .. masz słuszność!... W takim jednak razie niema po co jechać do Liebkinda.

— Owszem, wielmożny dziedzic potrzebuje jechać, żeby się przekonać, jak Liebkind się ucieszy z samej propozycji; on będzie bardzo chciał, on gotówby ustąpić procent za cały rok... onby i mnie za nastreczenie takiego interesu dobrze zapłacił... No, ale ja wielmożnemu dziedzicowi dobrze życzę, ja pamiętam, że wielmożny dziedzic był dla mego ojca jak ojciec... to niech moje przepadnie, ale ja muszę powiedzieć co mam na sumieniu.

Bezinteresowność Sieradza była wzruszającą i Zahorski umiał to ocenić, albowiem uczynił postanowienie wynagrodzić go sownie, jak tylko transakcja hipoteczna zostanie skuteczną.

— Podejrzywałem go niesłusznie — powiedział do siebie, — to dobry żyd jest; gdyby nie jego zabiegi, nie wiedziałbym sam, co począć.

Gdy przyjechali do Liebkinda, ten przyjął ich z sprzedającą grzecznością.

— Ja bardzo szczęśliwy jestem, że pana dobrodzieja widzę; ja sam chciałem panu dobrodziejowi złożyć moje uszanowanie i przeprosić,

bardzo przeprosić — mówił Liebkind, podsuwając Zahorskiemu najwygodniejszy fotel.

— Za co?—zapytał Zahorski, zapomniawszy na razie o wekslu na 5,000 rubli, który Liebkind puścił w obieg, odprzedawszy Pomerancowi.

— Za co?... za tego gałgana Pomeranca. Ja nie wiedziałem, że to taki lichwiarz i oszust... Ja potrzebowałem bardzo tych kilku tysięcy rubli i dałem mu ten weksel na zastaw, zabroniwszy komukolwiek odstąpić... no, a ten gałgan nie czekał, aż ja mu zapłacę, i podał weksel do sądu; jemu chodziło o koszty sądowe, ja wiem, i dlatego ja pana dobrodzieja bardzo przepraszam. Mnie bardzo przykro, że stała się taka brzydka rzecz z mojej przyczyny; ja wolałbym tysiąc rubli stracić, żeby tego wcale nie było!— tłumaczył się Liebkind, bardzo, jak się zdawało, zażenowany i zgorszony nieprzyjemną aferą, do której mimowoli dał powód.

Zahorski tłumaczenie się to przyjął z dobrą wiarą, nie podejrzewając ani na chwilę przewrotności żydowskiej w takim potentacie finansowym i człowieku cywilizowanym, za jakiego uważał Liebkinda, — dlatego więc odezwał się:

— Mniejsza już z tem, stało się... Na razie zirytowałem się mocno, że wplątany zostałem w stosunek pieniężny z takim łotrem; skoro jednak, jak pan zapewniasz, stało się to wbrew pańskim intencjom...

— Tak, tak... ja się sam bardzo zmartwi-

łem i zawstydziłem, że o taką głupią sumę pan dobrodziej miał nieprzyjemność.

— No, zapomniałem już o tem i mam nadzieję, że się to więcej nie powtórzy; teraz zaś przyjechałem do pana w innym interesie — powiedział Zahorski.

— Czem mogę panu dobrodziejowi służyć? Zrobię wszystko, co można, żeby tylko wynagrodzić przykrość, jaką pan miał przeze mnie; o co tu chodzi?

— Chciałbym przeprowadzić regulację naszych interesów pieniężnych...

— Czy pan dobrodziej chce płacić? — zagadnął Liebkind z wielkiem ożywieniem.

Zahorski chwilę zawahał się z odpowiedzią, potem zaś powiedział tonem niezupełnie zdecydowanym:

— Tak, chociaż nie wszystko...

— Ile pan dobrodziej chce... jak będzie panu dogodniej... Ja bardzo będę rad, bo przyznam się otwarcie, że teraz potrzebuję bardzo pieniędzy; ja panu dobrodziejowi gotów jestem dziś dużo ustąpić...

— Niestety, gotówką nie mogę jeszcze pana spłacić — odparł Zahorski.

Rozradowana przed chwilą twarz Liebkinda wyciągnęła się, a jednocześnie wyraziło się na niej zdziwienie, poczem zapytał:

— Nie gotówką? No, więc listami zasta-

wnymi?... to wszystko przecież jedno — dodał z uśmiechem.

— I nie listami...

— A więc czem?

— Sumą hipoteczną.

Liebkind skrzywił się, poczem powiedział z udaną dobroduszością:

— Pan dobrodziej żartuje...

— Bynajmniej, panie Liebkind; mam właśnie sumę hipoteczną na 30,000 rubli, którą mogę panu zaproponować na rzecz pańskich wierzytelności.

— Wybaczy pan dobrodziej, ale to żaden interes dla mnie; po co ja mam brać inną sumę hipoteczną, kiedy ja mam bardzo dobrą hipotekę u pana dobrodzieja.

— To również bardzo dobra hipoteka — zauważył Zahorski.

— Ja nie wiem! Wiele jest takich sum, co wiszą na dobrej niby hipotece, a jednak nikt za nie grosza nie da; ja sam mam parę takich sum, z którymi mam wielkie zmartwienie; teraz bardzo ostrożnym trzeba być...

— Ale to suma płatna za pół roku.

— Tak się to mówi; one wszystkie mają termin; ale jak przyjdzie płacić, to i ze sto lat można czekać... ja to wiem!... Przepraszam bardzo pana dobrodzieja, że ja to mówię, ale ja te interesy dobrze znam, ja w tem od trzydziestu lat pracuję, to mój fach...

Zahorski stropił się: w jednej chwili cała operacya pieniężna, którą uplanował przeprowadzić, wydała mu się ryzykowną i niemożliwą do urzeczywistnienia, a tem samem odpadała i nadzieja wywikłania się z trudności kredytowych, w jakich się znalazł.

Myśl ta wywołała ponownie ciężką troskę, z której się na chwilę otrząsnął, i powlekła jego czoło chmurą przykrej zadumy.

— Jeśli Liebkind nie chce słyszeć o przejęciu tej sumy, to i ja, tem bardziej, nie mogę!— myślał Zahorski.

— Przepraszam bardzo, a gdzie jest ta suma?— zagadnął Liebkind.

Zahorski wymienił ulicę i numer hipoteczny, oraz nazwisko właściciela.

W jednej chwili twarz Liebkinda uczyniła się przyjemną.

— No, tę kamienicę to ja znam i sumę też, ja nawet sam ją chciałem nabyć w roku zeszłym... Zaraz, zaraz!... Pan dobrodziej mówił, że ona płatna jest za pół roku, a ja przypominam sobie, że termin do płacenia powinien być teraz.

— Tak, ale właściciel uzyskał prolongatę jeszcze na pół roku — objaśnił Zahorski, do którego serca wstąpiła nagle otucha.

Liebkind pokiwał głową.

— No, to co innego...

— Więc to jest dobra suma? — zagadnął Zahorski.

— Tak, zła nie jest.

— I panby się ją zgodził przyjąć? — dodał Zahorski, patrząc badawczo na Liebkinda.

Ten chwilę się namyślał, potem jednak, jakby uczyniwszy nagle postanowienie, powiedział:

— Ja powiedziałem, że dla pana dobrodzieja zrobię wszystko, co można... i dlatego ja tę sumę przyjmę; kiedy pan chce, żebyśmy poszli do rejenta?

Władysław spojrział porozumiewawczo na ojca, poczem Zahorski odparł powoli, z pewnem ociąganiem się:

— To nic pilnego jeszcze; wprzód muszę dopełnić niezbędnych formalności w hipotece...

— To suma ta nie jest jeszcze pańska? — zagadnął Liebkind z wybornie udanem zdziwieniem.

— Jeszcze niezupełnie... ale już umowa zawarta, potrzeba tylko pójść do hipoteki.

— A... to co innego!... W każdym razie to, co powiedziałem, dotrzymam... i jak pan dobrodziej zechce, będę w każdej chwili na jego usługi.

— Dziękuję panu; skorzystam więc z uprzejmości pańskiej, jeśli, naturalnie, nic innego nie wypadnie...

— To się rozumie; w interesach robi się to, co jest dogodnem; żadnego przymusu być nie

może— powiedział Liebkind i znacząco spojrział na Sieradza, który w skromnej postawie stał na uboczu, u samych drzwi.

Sieradz słodko się uśmiechnął.

Zahorski wyszedł, zupełnie upewniony co do bezpieczeństwa hipotecznego sumy, którą miał przejąć,—dlatego też oświadczył, że jutro pojedzie do rejenta, żeby odpowiedni akt sporządzić.

— Jak wielmożny dziedzic każe, tak będzie; ja zaraz pojedę do Brzuszkewicza...

— Jedź, jedź!...

— Przepraszam bardzo... która godzina jest? Moznaby jeszcze i dziś...

Zahorski spojrział na zegarek: było już około drugiej.

— No, dziś już trochę za późno, nie zdążylibyśmy.

— No, to ja pojedę z Brzuszkewiczem do rejenta i każemy dziś akt przygotować, żeby jutro nie było długiego czekania; teraz u rejenta wielki gwałt jest, po kilka dni trzeba czekać na swoją kolej, to po co wielmożny dziedzic miałby napróżno się fatygować.

— Owszem, tak będzie lepiej — zgodził się Zahorski;—a co będzie się należeć za przyspieszenie, zapłacę.

— Oni muszą mi taniej zrobić; już ja się postaram, żeby dużo nie kosztowało — powiedział Sieradz, a uśmiechnąwszy się rozkosznie,

nizko bardzo skłonił się i wszedł do jednokonki, która stała przed bramą.

— No, nareszcie! — zawołał Zahorski z westchnieniem wielkiej ulgi, jakiej doświadczył po upewnieniu się, że transakcja hipoteczna, którą zamierzał dopełnić, przedstawia zupełne bezpieczeństwo.

Teraz przynajmniej będzie miał na jakiś czas głowę spokojną, gdy pospycha drobne a dokuczliwe należności. Wprawdzie 10,000 rubli, jakie dostanie jutro gotówką — nie starczą na całkowite ich zaspokojenie, lecz brak uzupełni się pieniędzmi z komornego, tak, że okroi się i ze dwa tysiące rubli na wyjazd za granicę. A z Liebkindem niema się co śpieszyć... łatwo zrozumieć, że byłby on kontent z tej zamiany, która dałaby mu możliwość otrzymania 30,000 rubli za pół roku, zamiast za dwa lata... A do tego czasu weźmie się Towarzystwo, lub też sprzeda się dom z dobrym zarobkiem...

Tak medytował Zahorski, będąc najmocniej przekonany, że kłopoty pieniężne, jakie go tak długo trapiły, zostaną raz na zawsze usunięte. Nabral też od razu humoru, co widząc Władysław, skorzystał z okazji i przymówił się o 200 rubli, które mu były bardzo potrzebne, a o które bezskutecznie dotąd kołatał.

— No, już dobrze, dostaniesz; pamiętaj jednak, żebyś nie trwonil na próżno pieniędzy... Sam widzisz, jak wielkie są wydatki i jak tru-

dno o każdy grosz... teraz zaś szczególnie, gdy trzeba pomyśleć o wyprawie dla Łudki, a i tamte już podrastają— dodał z westchnieniem.

Nazajutrz, w kancelaryi rejenta, u którego dopełniony miał być akt umówionej tranzakcyi hipotecznej, tłok był niezmierny i temperatura nie do wytrzymania, gdyż zatłoczony był cały długi korytarz różnorodną publicznością, wśród której wszakże rej wodziło żydowstwo, krzykliwe jak zawsze, zgorączkowane i podniecone nadzieją dobrego „geszeftu,“ dla którego tu przyszło, ciągnąc za sobą ofiary swej przebiegłości i wyzysku.

Zgiełk panował tu niesłychany, tak, że rejenci i ich pomocnicy nie byli w możności spokojnie i z konieczną uwagą wysłuchiwać klientów.

Daremnie woźni snuli się po korytarzu, usiłując uspokoić ten tłum zgorączkowany; nie słuchano ich wcale, każdy bowiem tak był przejęty swymi interesami, dla których tu przyszedł, że nawet nie zwracał uwagi na perswazyę woźnych.

Rozumieli oni to wybornie, gdyż tylko dla formy występowali ze swą urzędową powagą, wiedząc, że nie zdoła ona osiągnąć należnego jej posłuszeństwa.

Prócz interesantów, mających istotnie różne sprawy u rejentów, było tu jeszcze mnóstwo hałustry chałatowej, polującej na dorywczy zarobek, jużto w charakterze świadków, jużto usługnych pośredników do spraw delikatniej-

szych, bo mających bliską styczność z kodeksem kryminalnym. Byli tu również i kapitaliści-żydzi, trzymający w zanadrzu pugilaresy grubo wypchane, zawierające niekiedy znaczne sumy, dochodzące do kilkudziesięciu tysięcy rubli. Pieniądze te wypożyczali na godziny i kwadranse, gdy trzeba było spłacić jakąś sumę gotówką, by potem dostać natychmiast dwa razy większą. Właściwie operacyi tego rodzaju nie można było nawet uważać za pożyczkę, lecz jedynie za „okazanie waluty,“ dla dopełnienia przed rejentem formy prawnej.

Za taką „pożyczkę“ na kilka minut brano po groszu od rubla, co wynosiło 50 rubli od 10 tysięcy; że zaś podobne pożyczki dopełniały się w ciągu jednego dnia po kilka razy, przeto taki pan „kapalista“ brał do kieszeni po kilkaset rubli „za usługę.“

Świetne to były czasy dla aferzystów, okoliczności bowiem były wyjątkowe, a wszelkiego rodzaju tranzakcyi było tak wiele, że zbierali obfite z nich żniwo.

Snuli się też oni przez dzień cały po gmachu sądowym, puszczając w ruch swoje kapitały przy każdej nadarzonej sposobności, nie tylko w kancelaryach rejentów, lecz i przy licytacjach, gdzie samo ich pojawienie się przynosiło znaczny dochód tytułem „odstępnego,“ a właściwie za nieprzeszkadzanie w licytacji tym, którzy chcieli kupić jakąś nieruchomość za sumę

możliwie niską, która utrzymywała się dla braku licytantów.

Tym sposobem czyjekolwiek nieszczęście stawało się tu okazyą dla zarobku jednych i dla bogacenia się drugich—bogacili się przebiegli afe-rzyści, nieprzebierający w środkach. Częstokroć też do tego gmachu wchodzili obywatele zamożni, pełni otuchy i pewności, ufni w słuszność swej sprawy, a wychodzili jako nędzarze, odarci z fortuny i pozbawieni naraz kawałka chleba.

I nic dziwnego: szalbierstwo i wyzysk pano-szyły się tu zuchwale, umiejac podszyć się pod literę prawa, by sponiewierać uczciwość i pra-wość. Że tak było istotnie, stwierdzała to na każdym kroku baczniejsza obserwacja.

Żydzi czuli się tu jak u siebie w domu, wchodzili pewni siebie, zuchwali i świadomi swych „praw,“ opartych na szalbierstwie; chrze-ścijanie zaś zdradzali lękliwość i chwiejność, a co więcej, nieznamość prawa, pod którego osłoną miały się ważyć ich losy, skutkiem czego cały skomplikowany aparat sprawiedliwości, sam proces jej wymierzania, przejmował raczej strachem, aniżeli ufnością.

To też, wobec tych okoliczności, przysło-wiowe dawniejsze polskie pieniactwo nie znaj-dowało tu dla siebie potwierdzenia—zmieniły się warunki, zmieniły się i upodobania; było ono może dawniej, lecz dziś pieniactwo da się zali-czyć do zabytków dawno już minionej przeszło-

ści i pozostało tylko jako pojęcie, nieznajdujące w życiu potwierdzenia; ogół bowiem unika sądu, procesów, przekładając słomianą zgodę nad walkę, chociażby i obiecującą pewien sukces.

Nieraz też daje się słyszeć zdanie:

— Wolę stracić, aniżeli włóczyć się po sądach, lub też pozwolić się wyzyskiwać adwokatom.

Na tę zmianę poglądów wpłynęli głównie żydzi, którzy swą przebiegłością i tysiącami wybiegów prawnych potrafili uczynić z procedury prawnej dokuczliwą mękę dla ogółu mieszkańców.

Okoliczność tę potrafili też żydzi wyzyskać niezwłocznie na swoją stronę, korzystając z najmniejszej okazji, żeby wytoczyć sprawę sądową, uzyskać wyrok i koszta za prowadzenie sprawy.

To polowanie na koszta wytworzyło wśród żydowstwa nową specjalność wyzysku i całą bandę procesowiczów, kutych na cztery nogi, wyszukujących i nabywających najbardziej wątpliwe pretensje pod postacią starych weksli i rewersów, dawno już zapłaconych, lecz nieogłędnie pozostawionych w rękach pierwotnych wierzycieli.

Takich procesów sądowych rok rocznie bywa po kilkadziesiąt tysięcy, na sumy niekiedy bardzo drobne, które wszakże, po przejściu przez filtr procedury prawnej i przebiegłości żydowskiej, narażają procesowanych na poważne straty, jako to: koszta procesu, opłatę komornika,

kary stemplowe i t. p., nie licząc dobrowolnie opłacanych procentów za prolongatę w wykonaniu wyroku, o ile dłużnik nie jest w możności wyprocesowanej kwoty natychmiast zapłacić.

W tym tłumie aferzystów z pod ciemnej gwiazdy: lichwiarzy, oszustów i kryminalistów, urągających przez całe życie kodeksowi karnemu, znalazł się Zahorski w towarzystwie Brzuszkiewicza i Sieradza.

U rejenta, u którego zamówiony był akt tranzakcy hipotecznej, tłok był niesłychany.

Przy stoliku każdego z dependentów stało po kilka osób, tak, że w niewielkim pokoju trudno się było poruszyć; atmosfera też była niezmiernie ciężka, przesycona wyziewami potu i oddechów, zatrutych smakołykami kuchni żydowskiej: klientami bowiem byli tu przeważnie żydzi, jak zresztą i w kancelaryach innych rejentów.

Panował tu rozgardyasz i hałas, niepozwalający na spokojne rozważenie sprawy, a cóż dopiero na dokładne wysłuchanie odczytywania aktów i umów.

Trzeba też było podziwiać zimną krew i przytomność umysłu rejenta i jego pomocników, którzy w tym hałasie, przy rozstrzelonej uwadze na wszystkie strony, mogli coś wyrozumieć i spełniać jako tako swoje czynności, przerywane nieustannie krzykami interesantów, stojących na korytarzu i dobijających się do drzwi.

Każdemu bowiem było pilno, każdy chciał

jak najprędzej załatwić swój interes, żeby nie spóźnić się do innego „geszeftu“, gdzie można było jeszcze coś zarobić, jeszcze kogo oszukać.

W tych więc warunkach nie mogło być mowy o dokładnem objęciu sprawy—to też Zahorski stracił po prostu głowę i zdał się zupełnie na Sieradza, który jeden tylko czuł się tu jak u siebie i obracał się w tej zwartej masie ciał ludzkich z zupełną swobodą, odsuwając swem silnem ramieniem tych, którzy stali mu na zawadzie.

Z łatwością też docisnął się do stołu dependenta, który, zaledwie go dostrzegł, odsunął leżące przed nim akta, otworzył szufladę i wyjął z niej arkusz papieru, zapisany bujnem, wprawnem pismem.

— Już gotowe? — zagadnął Sieradz.

— A jakże, oto jest — odparł dependent z wielką uprzejmością, świadczącą o szczególnych względach, jakimi się tu cieszył nowoprzybyły klient.

— A świadki?

— Są i świadkowie.

— No, to dobrze, bo my się bardzo potrzebujemy śpieszyć — dodał Sieradz.

— Ja również śpieszyłem się; przez całą noc dziś oka nie zmrużyłem.

— No, co tu dziwnego?... teraz każdemu pilno jest—odparł Sieradz, pobłażliwie się uśmiechając; — niech pan postara się, żeby pan rejent prędzej nas załatwił.

— Zaraz, zaraz, jak tylko skończy z tamtymi— odparł dependent, wskazując na dwóch klientów, stojących przy biurku rejenta, z których jeden wyliczał znaczną sumę pieniędzy samem złotem.

Sieradz kiwnął głową i zbliżył się do Zahorskiego i Brzuszkiewicza, mówiąc:

— Już wszystko gotowe; jeszcze małą chwilkę, a interes będzie zrobiony.

Brzuszkiewicz poruszył się niespokojnie; na jego czerwonych i tak już policzkach pojawiły się silniejsze jeszcze wypieki, a w błędnych oczach zapaliły się zdradne płomyki.

Sieradz musiał to zauważyć, gdyż zmierzył go zinnem i ostrem jak stał spojrzeniem, pod wpływem którego Brzuszkiewicz skurczył się cały i przykucnął do ziemi, jak to czyni pies, gdy dostrzeże groźny wzrok swego pana.

— Wartoby jeszcze zajrzeć do księgi hipotecznej— odezwał się Zahorski z pewnem onieśmieniem, ze względu na obecność Brzuszkiewicza.

— Dlaczego nie?— odparł Sieradz pośpiesznie.— Jak wielmożny dziedzic chce...tylko, że to zajmie dużo czasu i my dziś możemy nie zdążyć, a pan Brzuszkiewicz także bardzo się śpieszy... on potrzebuje jutro jechać.

— Tak, jutro — potwierdził Brzuszkiewicz jak echo.

— Czyż to tak dużo czasu zajmie?— zapytał Zahorski z pewnem zakłopotaniem.

— Tak bardzo dużo to nie; ale rejent może odłożyć sprawę do jutra, żeby przez ten czas przejrzeć hipotekę i jutro przyjść już tylko do podpisu; wielmożny dziedzic sam widzi, ile tu ludzi czeka na swoją kolej... teraz wielki gwałt jest...

→ Szkoda więc, żeśmy tego wczoraj nie zrobili...

— Ja mówiłem, ale wielmożny dziedzic nie chciał... zresztą, po co chodzić jeszcze do hipoteki, kiedy cały wypis był już w ręku— powiedział Sieradz z pewnem zniecierpliwieniem.

Żądanie Zahorskiego zaniepokoiło go; cała robota, cały majstersztyk oszukańczy, przygotowany w ciągu dwumiesięcznych zabiegów, mógłby się obrócić w niwecz.

Na szczęście dla Sieradza, w tej chwili dependent podszedł do nich i powiedział:

— Pan rejent prosi panów do odczytania aktu.

Zahorski machinalnie postąpił naprzód, a za nim Brzuszkiewicz i Sieradz.

Nie było już czasu do namysłu i do wahania się—na zapytanie też rejenta, czy stan hipoteki jest wiadomy, Zahorski i Brzuszkiewicz odpowiedzieli jednogłośnie:

-- Tak.

Sieradz odetchnął rozkosznie i wsunął Brzuszkiewiczowi niewielką paczkę.

Było w niej dziesięć tysięcy rubli.

Odczytanie aktu i wręczenie waluty w gotowiźnie było już tylko kwestyą kilku minut.

Formie prawnej stało się zadość.

W ten sposób Zahorski stał się właścicielem sumy hipotecznej 30,000 rubli, za którą nikt nie dałby i 100 rubli.

Od tej chwili nie widział już później Brzuszkiewicza na oczy, w jego bowiem prawa, jako wierzyciela 40,000 rubli, sumy, zahipotekowanej na nowobudowany dom Zahorskiego, wszedł pan Szaja Lukrec, młody, lecz wielce już obiecujący lichwiarz, zięć Sieradza.

O tem jednak Zahorski dowiedział się znacznie później, bo dopiero po upływie kilku miesięcy

IV.

Mylił się pan Aron Grünbaum, przypuszczając, że Liebkind nie bardzo twardo stoi w swych interesach i że blizkim jest czas, gdy będzie zmuszony albo uciekać, albo też dobrze pochować swe kapitały.

Przypuszczenia te opierał na tym fakcie, że chociaż Liebkind był właścicielem kilkunastu dużych domów w Warszawie i wielu placów na Pradze, a również i za rogatkami miejskimi, to jednak wszystkie te nieruchomości były tak nie-

słychanie obdłużone, że, w razie likwidacyi interesów i sprzedaży domów na licytacyi, zabrakłoby przynajmniej miliona rubli na zaspokojenie wierzycieli.

Liebkind rozumiał to doskonale i dlatego w pierwszych chwilach przesilenia w ruchu budowlanym i popłochu na rynku pieniężnym postanowił wycofać się jak najprędzej z interesów, i zgromadziwszy gotówkę, ukryć ją tak dobrze, żeby najsprytniejszy komornik nie mógł się do niej dostać.

W tym celu zaczął ściągać swe kapitały z banków prywatnych, a również sprzedawać, ze stratą nawet, sumy hipoteczne, które miał poumieszczane na dobrych „numerach.“

W ten sposób odstąpił Grünbaumowi część wierzytelności na domach Molskiego, a również i wiele innych jeszcze sum mniejszych, na które znalazł kupców.

Zgromadził więc, dzięki temu, parękroć sto tysięcy rubli gotówki, która mogłaby mu wystarczyć na spokojną egzystencję poza granicami kraju, w razie, gdyby grozić mu miał jakiś zatarg z kodeksem karnym.

Pan Liebkind jednak był niezmiernie przywiązany do Warszawy, a jako dobry obywatel kraju, nie chciał go opuszczać na zawsze, a nawet na czas dłuższy, — dlatego więc postanowił tak pokierować swe sprawy finansowe, żeby uniknąć wszelkich nieprzyjemności, które mogły-

by mu przeszkodzić do spokojnego spożywania owoców swej pracy i do rozwinięcia na innem polu działalności społecznej: swego rozumu, energii i sprytu, które pozwoliły mu w ciągu lat dziesięciu stworzyć z niczego półmilionową blisko fortunę.

Uczyniwszy takie postanowienie, pan Liebkind zakrzętnął się około regulacyi swych interesów, a w pierwszym rzędzie rozpoczął starania, mające na celu sprzedaż domów z wolnej ręki przedtem, nim wystawione zostaną one na przymusową licytację.

Nie było jednak rzeczą łatwą znaleźć nabywców na domy, obdłużone od fundamentów aż do kominów, gdzie suma długów hipotecznych przenosiła dwa i trzy razy wartość nieruchomości.

A jednak sprzedać trzeba było koniecznie, od tego bowiem zależało osobiste bezpieczeństwo Liebkinda i jego kapitałów, z którymi musiałby się kryć przez całe życie, nie mogąc zaznać chwili spokoju i pełni słodczy zasłużonego tak owocną pracą wypoczynku.

Sprzedaż zaś przez licytację, na żądanie wierzycieli, równałaby się ujawnieniu rozmaitych, genialnych wprawdzie, lecz nieco ryzykownych operacyi finansowych, które mogłyby nie tylko stać się przyczyną do uznania go za bankruta, lecz i do narażenia na odpowiedzialność kryminalną, a to tem bardziej, że łączność tych operacyi wskazywałaby wyraźnie na złą wolę Liebkinda.

Prócz tego jednak, okazałoby się, że na wszystkich domach Liebkinda spaśćby musiało z hipoteki przeszło milion rubli, podzielony między paruset wierzycieli, którzy nie daliby mu nigdy spokoju, ciągnąc po sądach, grożąc więzieniem za długi i t. p. następstwami.

Tego pan Dawid Liebkind chciał uniknąć i dlatego postanowił domy sprzedać; w tym celu rozpuścił całą sforę „swoich ludzi,” czyli faktorów, których zadaniem było znaleźć odpowiednich nabywców.

Nie było to jednak rzeczą łatwą: żydzi, posiadający jaki taki kapitałik, wiedzieli, czem pachnie takie kupno—i dlatego wszelkie namowy faktorów były tu bezskuteczne. Natomiast na kandydatów do kupna poczęli się zgłaszać nędzarze, niemający grosza przy duszy, żyjący do tej pory z żebraniny, lub też z faktorstwa ostatniego rzędu, słowem ludzie, niemający nic do stracenia, którzy gotowi byli chwycić się każdego, najbardziej ryzykownego interesu, żeby chociaż na krótko wypłynąć na widownię większego „geszeftu,” bez względu na następstwa, najbardziej nawet oplakane.

Takich kandydatów jednak Liebkind odsuwał, dbając o zachowanie przynajmniej jakichś pozorów uczciwej transakcyi, żeby nie śmiał nikt potem powiedzieć, że nie była to istotna sprzedaż, lecz symulacya, podstawienie wynajętej osoby, gotowej odegrać rolę kozła

ofiarnego za pewne, z góry umówione wynagrodzenie.

Dlatego też wydał swym faktorom dyspozycję ściślej określoną:

— Żadnych łapserdaków ja nie chcę znać, ja chcę mieć do czynienia z uczciwymi kupcami, chrześcijanami.

— Skąd takich wzięć?

— To już wasza rzecz... ja płacę, a wy szukajcie! Mało to między chrześcijanami takich ludzi, co kiedyś mieli majątek, a teraz mają same długi?... Czy ja potrzebuję wam mówić i wskazywać palcem?...

— No, no!... już my poszukamy — odpowiedzi faktorzy i rozbiegli się po mieście szukać „porządnych“ kupców na domy.

Znaleźli ich niebawem w dowolnej ilości.

Byli między nimi ex-obywatele, zbankrutowani kupcy, kandydaci do stanu małżeńskiego z kategorii łowców posagowych, którym tytuł właściciela domu mógł znakomicie ułatwić karierę matrymonialną; znalazła się nawet jakaś wdowa z trzema córkami, żywcem wykrojona z rozgłosnej sztuki „Walka motyli“, która postanowiła zaryzykować ostatnie kilka tysięcy rubli, żeby zamieszkać we własnej, ogromnej kamienicy.

Niezmiernie ciekawe były te transakcje sprzedażne...

Kamienice, przedstawiające wartość 50 do 100 tysięcy rubli, sprzedawano za kilka tysięcy,

a nawet za kilkaset rubli; a jeśli kupujący przyjmował na siebie opłatę należności skarbowych i rejenta, to mógł dostać kamienicę za darmo.

Na tych sprzedażach Liebkind „tracił“ nawet, gdyż do kilku kamienic musiał dopłacić po parę tysięcy rubli kosztów transakcyi, których nabywca przyjąć na siebie nie chciał.

Tym sposobem w ciągu trzech miesięcy Liebkind załatwił się z kilkunastu posesyami, pozbywszy się tytułu ich własności na rzecz osobników, niemających nic do stracenia, którzy żywili nadzieję, że osiągną jeszcze pewne korzyści w nowej roli obywateli miejskich.

Ta likwidacya interesów kosztowała Liebkinda ogółem dwadzieścia kilka tysięcy rubli, wydanych na faktorów i koszta transakcyi sprzedażnych. Za to jednak pozyskał bezpieczeństwo swoich kapitałów, skrzętnie zgromadzonych, — a nadto i opinię poważnego kapitalisty.

Pozostało mu wprawdzie jeszcze kilkanaście placów w samym mieście i za rogatkami, lecz place te nie były tak dalece obdłużone, żeby potrzebował się obawiać jakichkolwiek nieprzyjemności od wierzycieli, których w ostatecznym razie gotów był spłacić, oczyściwszy tym sposobem hipotekę i pozostawiwszy dla siebie czysty kapitał w ziemi, która, po minięciu przesilenia budowlanego, mogła pójść w górę i przynieść mu piękny procent.

Gdy o tej genialnej operacyi finansowe

dowiedział się pan Aron Grünbaum, nabrał nagle szacunku dla Liebkinda i powiedział do żony:

— On nie taki głupi jest, jak ja myślałem.

— A co on tak mądrego zrobił?— zapytała pani Dwojra.

— On wyszedł z błota taki czysty jak złoto... on był bankrut, a teraz on jest wielki bogacz.

— A ile on może mieć?

— Ja nie wiem... może dwieście tysięcy, może ćwierć, a może i całe pół miliona.

— Aj, aj! to bardzo mądry człowiek, on mądrzejszy od ciebie, bo ty do tej pory nie masz pół miliona.

— No, no... ale ja jestem za to porządny żyd, którego wszyscy muszą szanować, a i ty przede mnie jesteś porządna, prawdziwa żydówka.

— Aron! Ty głupstw nie gadaj, bo ty wiesz, że ja bardzo chora jestem na serce, to mi wszelka irytacja szkodzi— powiedziała pani Dwojra, dotknięta do żywego tem ustawicznym przypominaniem męża, że jest żydówką, gdy ona uważała się za węgierską damę.

— Aj, aj! ja zapomniałem! — tłumaczył się Aron, śmiejąc się.

— Ty o takich rzeczach nie możesz zapominać, ja cię bardzo o to proszę, Aron; ty potrzebujesz pamiętać, że ja jestem z Buda-Pesztu i że ja miałam posagu całe 25,000 guldenów, z których mamy teraz więcej niż dziesięć razy tyle.

— No, to ty mnie za to powinnaś podzię-

kować, bo to ja tak dobrze z twoim posagiem handlowałem.

— Jakbyś ty nie miał moich guldenów, to byś był taki sam łapserdak, jak te faktory, co do ciebie przychodzą i czekają w kuchni... ty to pamiętaj! — powtórzyła raz jeszcze pani Dwojra i wstała zagniewana, nie chcąc dłużej rozmawiać z mężem.

Ten wszakże gniewu jej nie wziął do serca, gdyż rozśmiał się dobrodusznie.

— Z czego się ty śmiejesz, Grünbaum? — zapytała tonem najwyższej pogardy.

— Ja się z tego śmieję, że ty będziesz miała wielką przyjemność.

Pani Dwojra spojrzała z niedowierzaniem na męża, przypuszczając, że w dalszym ciągu pozwala sobie z niej żartować,—dlatego też nic nie odpowiedziała, lecz przybrawszy na twarzy wyraz wielkiej godności, skierowała się powoli ku drzwiom.

— Ty się nie pytasz, Dwojra, jaką ty będziesz miała przyjemność? — zagadnął ją Grünbaum, zachodząc drogę.

— Ty jesteś ordynarny żyd i ja nie chcę z tobą rozmawiać, ani cię znać.

— No, no! Ty, Dwojra, gadasz głupstwa, że ty nie chcesz mnie znać; ty zaraz co innego powiesz, jak się dowiesz, że Grünbaum kupi za kilka miesięcy tak wielki dom, co będzie znaczyć więcej niż pałac, więcej niż trzy pałace.

Na te słowa pani Dwojra zatrzymała się, a w jej oczach pojawił się nagle słodki wyraz. Marzeniem jej od lat wielu było mieć pałac, własny pałac, tak duży jak synagoga na Tłomackiem, a wypełniony takimi drogiemi rzeczami jak duży lombard akcyjny.

Chciała więc już przyjemnie się uśmiechnąć, gdy nagle przypomniała sobie, że Aron miał brzydki zwyczaj mistyfikowania jej i dokuczania żartami, ile razy okazała mu z jakiegokolwiek powodu swój gniew lub niezadowolenie, — dlatego więc udała, że wiadomość o wielkim pałacu nie sprawiła na niej żadnego wrażenia.

— Ja widzę, że ty, Dwojra, nabrałaś rozumu i zaczynasz myśleć po żydowsku, kiedy ty nie chcesz już pałacu — powiedział Grünbaum.

— Po co ty gadasz głupstwa? Ja wcale nie wierzę temu, co ty gadasz.

— No, ty teraz potrzebujesz wierzyć, bo to jest prawda, co powiedziałem.

— No, powiedz wyraźnie, co masz powiedzieć, żebym ja zrozumiała... O jakim pałacu ty myślisz? I gdzie ten wielki pałac jest?

— Gdzie on miałby być? On jest w Warszawie.

-- A kto w nim mieszka?... jaki księżę, albo hrabia?

— Teraz mieszkają w nim same łapserdaki...

— Ty znowu głupstwa gadasz... jaki to może być pałac?

— To żadne głupstwa... Ty pamiętasz, jak tu przychodził ten Molski, taki suchotnik?

— No?...

— On wybudował taki wielki dom, w którym można zmieścić trzy pałace... on taki wielki jest, że tam lokali jest może sto pięćdziesiąt, może dwieście... to całe miasto jest. On ten dom wybudował dla siebie... piękny dom jest, ładny dom — mówił pan Aron i cmoknął na zakończenie ustami, na znak zachwytu.

— Jak on wybudował dla siebie, to skąd ty, Aron, możesz go mieć?

— Ja go kupię — odparł niedbale.

— A jak on nie zechce sprzedać?

— On musi sprzedać, bo ja tak chcę.

— A jak on nie zechce?

— Co mnie to obchodzi? Ja tego Molskiego mam tu — powiedział, dotykając ręką kieszeni. — A że on nie chce sprzedać, to ja też wiem; ale to mu nic nie pomoże, bo od tego wyrok sądowy i licytacje, piękne licytacje.

— Ty masz dużo pieniędzy na hipotecę? — zapytała pani Dwojra.

— Ja mam tak dużo, że on nigdy nie będzie mógł zapłacić... On myśli, że będzie mieć pieniądze z Towarzystwa... no, to on się bardzo myli... on sobie potrzebuje długo na to poczekać, jakem Aron Grünbaum.

— Co ty mu zrobisz?

— Już ja wiem, co zrobię; ja tak zrobię, że

zanim on dostanie Towarzystwo, to ja go zlicytuję i dom kupię. Ty, Dwojra, będziesz miała pałac... ja ci to mówię.

— A dużo ty na tem zarobisz?—zagadnęła żona, podniecona ciekawością.

— Ja tyle zarobię, że ty będziesz mogła trzymać jeszcze drugiego lokaja w bogatej liberyi, całej ze złotych galonów.

Pani Dwojra uśmiechnęła się rozkosznie.

— No, to wtedy, jak my będziemy bardzo bogaci, to ty, Aron, zrzucisz swój długi surdut i będziesz się ubierać jak hrabia albo baron... po co ci wówczas żydowski chałat, jak my będziemy mieli pół miliona?

— To jeszcze nie cały milion — zauważył Grünbaum.

— No, ty masz taką mądrą głowę, Aron, że ty będziesz mieć i milion... ja ci to mówię— powiedziała pani Dwojra z przymileniem i delikatnie pogłaskała męża po twarzy swą wypieczoną, białą, z wydatnemi poduszczykami na palcach, pulchną rączką.

— Czemu nie?.. ja też chciałbym mieć milion, to bardzo ładna rzecz jest. Jak kto ma milion, to tak samo, jakby miał jaki arystokratyczny tytuł.

— Ty będziesz mieć i tytuł, Grünbaum; ty będziesz mógł sobie na to pozwolić; ty sobie kupisz na początek jakiego barona; to będzie

bardzo ładnie, jak ci będą mówić: „panie baronie!“ a w kuryerach będą pisać: „pan baron *von* Grünbaum,“ „pani baronowa *von* Grünbaum.“

— No, to jeszcze niewielki interes jest!... Co to „baron?“ Będą pisać „pan baron,“ a po cichu będą mówić „żyd.“ Tu taki w Warszawie głupi zwyczaj jest.

— Co ci to szkodzi? Niech mówią sobie po cichu... ty tego słyszeć nie będziesz.. Na każdego arystokratę różne rzeczy mówią, a on sobie z tego się śmieje, to i ty, Aron, będziesz się śmiać...

— No, śmiać się, to ja i teraz się śmieję. Dlaczego ja nie mam się śmiać, kiedy ja mam zawsze dobry humor! Ale z tym „baronem“ to inni będą się śmiać. Ty jesteś z Buda-Pesztu, to ty tego nie rozumiesz... Tu inny zwyczaj jest.

— To my możemy pojechać sobie za granicę i przesiedlić się na stałe do Buda-Pesztu. Tam się nikt śmiać nie będzie, bo tam dużo jest takiej arystokracji—powiedziała pani Grünbaum z mocnym przekonaniem.

Grünbaum uśmiechnął się złośliwie i zapytał:

— Samych żydów?

Pani Dwojra uczyniła pogardliwy grymas.

— Ty, Aron, jesteś bardzo ordynarny... ty gadasz ciągle „żyd, żyd“ takim tonem, jakby być starozakonnym było wielkie nieszczęście albo kryminał.

Grünbaum rozśmiał się na całe gardło, mocno widocznie zadowolony z tego niespodziewanego zwrotu w poglądach żony, gdyż zawołał:

— Jak ja się cieszę, że ty tak mówisz, Dwojra! Ty dawno już tak nie mówiłaś. Ty się bardzo zawsze gniewałaś, jak ciebie kto nazwał żydówką, wtedy, gdy z tego trzeba było się cieszyć. My jesteśmy żydzi, albo, jak „goje“ mówią, „żydy“, ale to nam nie szkodzi wcale, gdyż te żydy trzymają nieżydów za łeb, mocno trzymają, bo mają pieniądze, dużo pieniędzy... a kto ma pieniądze, ten ma i rozum i delikatność, i jest jak największy arystokrata, a nawet więcej jak arystokrata; taki na przykład Rotszyld to jest większy magnat, aniżeli byle jaki książę, bo jemu kłaniają się nie tylko arystokraci, ale nawet sami królowie, gdy potrzebują pożyczyć pieniędzy. On, gdyby chciał, to mógłby zostać księciem... ale on nie chce, jemu dość jest być baronem...

— A widzisz! to i ty, Grünbaum, powinieś zostać baronem, żebyś był kolegą Rotszylda...

— No, no, na to jeszcze czas... wpieryw trzeba zrobić ten interes z Molskim, a potem myśleć o baronie.

— Ty zrobisz, Aron; ja wiem, że ty zrobisz, bo ty bardzo mądrą masz głowę— powiedziała pani Dwojra z rozczuleniem kochającej małżonki, i przytuliwszy się do męża, zaczęła go pieszczotliwie głaskać po twarzy.

Tę przykładną harmonię małżeńską i słodkie nadzieje pani Dwojry zakłóciły wszakże, nieco później, nieprzewidziane okoliczności, które przyczyniły Grünbaumowi wiele irytacji.

Powód do niej dał Liebkind, który, najniespodziewaniej, wbrew pierwotnym zapewnieniom, wystąpił z pretensjami o „sukcesję“ po Molskim, domagając się, żeby jemu przyznany był wyłączny przywilej wyzyskania sytuacji.

Te pretensje Grünbaum z oburzeniem odepchnął, mówiąc tonem stanowczym:

— On jest mój!

Od słowa do słowa przyszło między nimi do zacieklej kłótni, w której, zapomniawszy o godności i powadze, im przynależnych, zaczęli sobie wymyślać od gałganów i oszustów, i to już nie po polsku, ale w żargonie żydowskim, zeszedłszy z etykietałnego „pan“ na „ty.“

— Tyś jest łajdak!— krzyczał Grünbaum — ciebie do kryminału można wsadzić!... Ty potrzebujesz być bardzo grzeczny i siedzieć cicho, żeby ciebie nie ogłosili za bankruta i oszusta; przez ciebie jeden bank stracił pół miliona, a drugi też bez mała tyleż; na tych domach, co ty posprzedawałeś rozmaitym łobuzom i łapserdakom, będzie też cały milion dla różnych głupich gojów, których tyś oszukał... No, to co ty jeszcze chcesz?—pienił się Grünbaum, przyskakując do Liebkinda z zaciśniętymi pięściami.

Liebkind, zapomniawszy o swej dystynkcyi,
<http://rcin.org.pl>

wielkopańskiej manierze, gotów był za te ordynarne wymysły i złośliwe oświetlenie jego działalności rzucić się po prostu na Grünbauma i zdusić go w swoich objęciach; od tego kroku wszakże powstrzymała go mądra rozważa: Grünbaum był o całą głowę wyższy i sływał z siły fizycznej. Walka przeto na pięście nie mogłaby w żadnym razie wypaść na korzyść Liebkinda. Zmiarkowawszy to, stłumił w sobie złość i ograniczył się do wytknięcia i Grünbaumowi jego sprawek, niekoniecznie czystych i zgodnych z kodeksem.

— No, no!... Ty też potrzebujesz być cicho, bo ja mogę głośno powiedzieć o tem, jak ty pomagałeś przy wyrobieniu pożyczek Towarzystwa.

— Co ty możesz powiedzieć?

— Ja wiele mogę powiedzieć...

— Ty nic nie możesz, ty łzesz jak pies! — bronił się pan Aron.

— No, a kto robił fałszywe szacunki?...

— Jakie szacunki?...

— Ty wiesz...

— Ja nic nie wiem.

— Ty nie wiesz?... a ty potrzebujesz sobie przypomnieć dom na Kruczej, dwa domy na Pradze, jeden na Gęsiej i wiele jeszcze innych. Ty myślisz sobie, że o tem ja nie słyszałem... A ja mogę dowieść.

— Jak ty możesz dowieść?

— To moja rzecz... ja mogę dowieść jeszcze o tych 100,000 rubli, co one były fikcyjne...

Grünbaum, usłyszawszy o tej sumie, zmienił się na twarzy.

— O jakich ty stu tysiącach gadasz?

— O tych, co były na domach Gawlickiego, na których wierzyciele stracili całe sto pięćdziesiąt tysięcy.

— To był sprytny interes, a nie żaden kryminał.

— Ładny interes, kiedy Towarzystwo swoich pieniędzy nie odebrało... Aj, aj! jaki to był spryt? Coby o tem powiedział prokurator?

— Ty mnie prokuratorem nie strasz, bo na ciebie nie jeden, a całych dziesięciu prokuratorów byłoby za mało.

— Co mnie prokurator? ja chcę tylko swego Molskiego, ty mi go oddać musisz.

— Molski jest mój.

— Nieprawda, ja z nim pierwszy zacząłem handlować, ja ci go nie dam.

— Ty mi nie potrzebujesz dawać, bo ja już go wzięłem z rękami i nogami... ty nie dostaniesz ani jednego palca.

— Zobaczymy!

— Zobaczymy...

— Ja mu dałem duży kapitał.

— Ty swój kapitał będziesz miał.

— Oddaj mi moje weksle.

— Ja już ich nie mam; ty zresztą masz mój rewers, a pieniądze ci nie przepadną.

— Ja nie chcę rewersu, ja chcę weksle.

— Była na to już zgoda, a jak była zgoda, to koniec... niema o czym mówić.

— Tyś mnie oszukał, ty gałgan jesteś! — burzył się Liebkind.

— Ciebie oszukać? Takiego wielkiego oszusta? Z tego się trzeba śmiać.

— Ja pójdę do rabina...

Na te słowa Grünbaum rozśmiał się na całe gardło.

— Ty do rabina? Ciebie rabin na oczy widzieć nie chce, ani z tobą gadać.

— Dlaczego on nie ma ze mną gadać?... ja też jestem żyd.

Grünbaum rozśmiał się jeszcze głośniej.

— Ty żyd!... Ty się do tego przyznajesz!... Aj, aj!... co za honor dla całego Izraela!... pan Liebkind, wielki bogacz, wielki arystokrata i wielki oszust!... żyd, co je, z przeproszeniem, świnię... tfy! Ja ci powiem: jeśli ty chcesz mieć zgodę, to ty nie krzycz i nie strasz, bo ja się ciebie nie boję, a ty proś, to może ja cokolwiek zmięknę, ale ci Molskiego nie oddam... on mój— powiedział Grünbaum nieco łagodniej.

— On nie twój; ale jeśli ty go chcesz mieć, to ty kup, ja ci go odstąpię.

-- A ile ty za niego chcesz? — zagadnął Grünbaum tonem drwiącym.

Liebkind chwilę się namyślał.

— Ty zapłać mi trzydzieści tysięcy i oddaj weksle Molskiego.

Grünbaum znowu się rozśmiał.

— Ty, Liebkind, nie masz już rozumu, kiedy ty takie głupstwa mówisz...

— Dlaczego głupstwa? To niewiele jest! Ty na Molskim zarobisz sto procent, to dlaczego ja nie mogę wziąć dziesięć albo dwadzieścia procent?

— Ty nie dostaniesz nic, jeśli będziesz żądać za dużo... ja ci to mówię, Grünbaum.

— A ile ty chcesz dać?

— Ja ci dam pięć tysięcy.

— Czyś ty oszalał, Grünbaum? I ty mogłeś myśleć, że ja chciałbym prowadzić taką brzydką rozmowę dla głupich pięciu tysięcy rubli? ja, Liebkind?

— Dlaczego nie miałem myśleć? Pięć tysięcy to duży pieniądz jest, jeśli jeszcze dają go za darmo.

— Jakto za darmo? Ja ci mogę Molskiego nie dać... ja mu mogę pożyczyć pieniędzy, żeby on ciebie spłacił...

— Ty tego zrobić nie możesz...

— Dlaczego nie mogę?

— Bo ja podam skargę do kahału...

— Co mi kahał zrobi? ja się go nie boję!—
odparł Liebkind lekceważąco,

-- No, ale ty się żydów musisz bać, bo bez nich żadnego interesu nie będziesz mógł zrobić.

— To ja stanę do licytacji i wszystko popsuje, cały interes... ja domy Molskiego sam kupię.

— Ty nie kupisz, bo ty się będziesz bać, żeby, jak się odkryją, broń Boże, twoje oszukaństwa z hipoteką, nie zabrali ci tych domów na odszkodowanie; tobie nic innego nie wypada, jak wziąć co ci dają.

— Pięć tysięcy ja nie wezmę.

— To w dodatku ty możesz wziąć jeszcze tego Zahorskiego, ja ci go dam.

— Zahorski?... Co to jest Zahorski?... On jest bankrut!... Co można na nim zarobić? Ja go oddałem już swemu faktorowi, który też żyć potrzebuje.

— Jaki faktor go wziął?

— Sieradz.

— Aa... ja słyszałem już... on dobry interes zrobił... A po coś ty go oddał, kiedy mogłeś sam zrobić?

— Bo tak mi się podobało; ja chciałem, żeby i Sieradz coś zarobił... on mój faktor.

— On i moim faktorem był... to porządny faktor do każdego interesu, on ma dobrą głowę— powiedział Grünbaum; poczem zmieniając ton, zagadnął: — No, jakże więc będzie z tym Molskim?

— Jak ma być? Jak niema między nami zgody, to niech każdy robi co chce.

— Ja na zgodę gotów; ja daję całe pięć tysięcy — powiedział Grünbaum.

— Ja już to słyszałem.

— Ja dam sześć.

— Nie chcę.

— Siedm.

— Ja się śmieję z tego.

Grünbaum zerwał się z miejsca, i wyciągając do Liebkinda rękę z gestem zachęcającym do zgody, rzekł:

— No, niech będzie między nami zgoda, bo wstyd jest, żeby porządne żydy między sobą się kłóciły i mówiły nieprzyjemne rzeczy... ja daję całe dziesięć tysięcy i ani grosza więcej.

Tu Grünbaum się nadał, uwypuklając swą pierś potężną, jakby chcąc tem okazać, że na większą wspaniałomyślność i dalsze ustępstwa Liebkind nie powinien już liczyć.

Ten zrozumiał to widocznie, gdyż zapytał:

— Kiedy płatne? zaraz?...

— Po licytacyi.

— To długo czekać.

— Nie tak długo: za trzy miesiące z Mol-skim będzie koniec.

— No, niech będzie.

— Ale ty, Liebkind, musisz mi pomóc przy licytacyi.

— Dobrze, dodasz mi jednak jeszcze pół procent od sumy sprzedażnej.

— Zgoda. Ty widzisz, jaki ja łatwy jestem do zgody — powiedział Grünbaum i wyciągnął swą rękę, odwracając dłoń do góry.

Uderzył po niej Liebkind z całej siły, na znak ubicia interesu.

W ten sposób los Molskiego został zdecydowany.

Od chwili zapadnięcia tej decyzji—w interesach Molskiego zaczęło się wszystko rwać.

Dotychczasowy kredyt, z jakiego mógł korzystać, nagle się wyczerpał—źródła tego kredytu wyschły, pozostawiając po sobie grzązki muł zobowiązań pieniężnych, które, niby gady, wypelzały na wierzch, szukając żeru.

Zaczęły się z razu sypać protesty weksli na sumy drobniejsze, które Molski starał się spłacać dochodami z komornego.

To ostatnie jednak źródło płatnicze szybko wyschło; przyszło wreszcie do tego, że Molski zmuszony był prosić zamożniejszych lokatorów o opłatę komornego z góry za pół roku, czyniąc za tę grzeczność pewne ustępstwo.

Sprzedaż jednego z domów, okupiona znaczną stratą, na rzecz Grünbauma, niewiele mu pomogła; jakkolwiek bowiem otrzymał gotówką około 70,000 rubli, po odliczeniu rozmaitych

kosztów i opłaty faktorów, — to jednak z sumy tej musiał niespodziewanie spłacić 40 tysięcy rubli, jako wierzytelność hipoteczną na nowo-wybudowanym domu, której termin krótkotrwa-ły już minął, przyczem wierzyciel nie chciał sły-szeć o prolongacie, grożąc wystawieniem nieru-chomości na licytację.

Z pozostałych 30-u tysięcy zaledwie zdołał spłacić pilniejsze należności dostawcom i maj-strom—i to nie całkowicie, lecz częściowo, oraz jakieś stare weksle, o których zapomniał, a które dzień po dniu zjawiały się w miejscowych ban-kach, z żyrem nieznanym mu dotąd żydów z kate-goryi najgorszych pokątnych lichwiarzy.

Codziennie też otrzymywał wezwania z roz-maitych instytucji finansowych o zapłacenie 500—1,000—2,000, a nawet i 3,000 rubli.

Dawniej takie wezwania nie sprawiały mu najmniejszego kłopotu, gdyż kilkanaście tysięcy rubli było zawsze na pogotowiu, którymi spła-cało się weksle z upłynionym terminem, ażeby na drugi dzień wystawić nowe.

W tym kołowrocie wymiany zobowiązań płatniczych nie przywiązywało się najmniejszego znaczenia do owych wezwań bankowych; posy-łało się po prostu faktora z pieniędzmi, potem rzu-cało się okiem na podpis na wekslu i na sumę w nim wyrażoną, i przedarłszy weksel, rzucało się w ogień.

Z razu Molski prowadził kontrolę wekslową,
<http://rcin.org.pl>

później wszakże, zaabsorbowany nawałem różnorodnych interesów, zaniechał tego, zadawałnając się niszczeniem wykupywanych weksli.

— To najlepsza kontrola—mówił do siebie, rzucając je na rozżarzone węgle, lub paląc nad świecą.

Stało się to dla niego nawet pewną rozrywką, gdy mógł śledzić za powolnem spalaniem się papieru wekslowego i znikaniem zobowiązania.

Lubił nawet odczytywać na spopielałym już papierze wypukłe, drżące od żaru litery... i za każdym razem, gdy z weksłu pozostała już tylko cieniutka warstwa białego popiołu, mówił do żony:

— Zarobiłem dziś, Marychno, 4,500 rubli.

— Aż tak dużo? — śmiała się pani Molska, wiedząc, jak ma rozumieć ten zarobek.

Niekiedy, gdy zebrało się kilka naraz weksli, siadali razem przy kominku i bawili się wybornie, rzucając w ogień skrawki papieru, przyczem wrywali sobie nawzajem weksle na większe sumy, żeby się potem przechwalać:

— Zarobiłem 1,000 rubli.

— A ja 1,500! — mówiła z tryumfem pani Molska, unosząc w górę papier i drażniąc nim męża, który udawał, że ma ochotę go wydrzeć; ona jednak zdążyła zawsze w porę cofnąć rękę i rzucić papier na gorejące węgle.

Uśmieli się nieraz bardzo, jak dzieci, przy

tych przekomarzaniach się, w których Molska odnosiła zawsze tryumf.

Dziś o podobnych „rozrywkach“ nie było już mowy.

Molska nie czatowała, jak dawniej, przy drzwiach na pojawienie się faktora, żeby pierwsza pochwycić wykupiony przez niego weksel, gdyż widziała i odczuwała, ile strapienia przyczyniał każdy z tych podłużnych skrawków papieru, które dawniej służyły im za zabawkę.

Widziała, jak mąż mienił się na twarzy, gdy doręczano mu wezwanie o zapłatę... i jak oglądał na wszystkie strony wykupiony weksel, podnosił go pod światło, pocierał palcami, a jednocześnie wzdychał, lub szeptał do siebie:

— Tak, tak, niestety!... niema wątpliwości.

— Co mówisz, mój Sławku?

— Nic, najdroższa.

— Zdawało mi się, żeś coś powiedział.

— To tylko ci się zdawało, Marychno.

— Jesteś ciągle tak zamysłony...

— Już nie długo, nie długo, moje dziecko.

— Czy dużo masz jeszcze do płacenia tych okropnych weksli?

— Nie, nie...

— A jednak niema dnia, żeby nie przynieśli jakiegoś wezwania.

— Skończy się to, skończy— mówił, usiłując ją uspokoić.

— Ja się boję, mój Sławku...

— Czego, najdroższa?

— Wszystkiego... każdego żyda, którego zobaczę na ulicy... każdego drgnięcia dzwonka w przedpokoju — mówiła pani Molska głosem drżącym, tuląc się do męża.

— Dzieciństwo, moja maleńka! Cóż mi kto może złego zrobić?

— Ja nie wiem, ale się boję... wciąż się płaci i płaci!

— To trudno! jak się pożyczalo, płacić trzeba... ale wszystko ma swój koniec; i obecnie, zdaje mi się, że, o ile mnie pamięć nie myli, niema już moich weksli w obiegu.

— Chwała Bogu!...

— Nie jestem jednak zupełnie pewny i żałuję niezmiernie, że nie prowadził ścisłej kontroli — mówił Molski, daremnie usiłując sobie przypomnieć okoliczności, w których musiał pożyczać pieniądze, i sumy wypisywane na wekslach.

Z razu próbował ułatwić to przypomnienie przejrzeniem kosztorysu robót, kontraktów na dostawy, zwrotnych kwitów od majstrów i t. p. szpargałów, których miał pełne szuflady w biurku.

W papierach tych jednak panował niezmierny chaos, w którym połapać się nie było sposobu; przytem wydatki na dom i na różne rozrywki i przyjemności wymykały się z pod jakiegokolwiek kontroli...

W nawale interesów różnorodnych, w gorączce pracy, w nieustannym przyływie i od-

plywie pieniędzy, które szły szerokim korytem nieogłędności przedsiębiorczej, nie brało się w rachubę zbytkownych wybryków i wielkopañskiej hojności, z jaką Molski opłacał wszelkie usługi.

Dopiero teraz, uprzytomniając to sobie, gorzko żałował, że nie prowadził ścisłej kontroli wpływów i wydatków.

A była ona, jak się wkrótce okazało, niezbędna, gdyż brak jej spowodził nader smutne następstwa.

Pewnego dnia, gdy Molski czuł się już spokojniejszym, sądząc, że wszystkie prawie weksle są spłacone, zjawił się nagle woźny z Banku Dyskontowego z wezwaniem o zapłacenie 3,000 rubli.

Molski chwycił się za głowę i wyszeptał:

— Więc jeszcze nie koniec!?!..

Przyjął wezwanie, i uczyniwszy ostatni wysiłek płatniczy, weksel wykupił.

Jakież jednak było jego przerażenie, gdy się przekonał, że podpis był sfalszowany!

Nie wierzył własnym oczom... pobiegł do pokoju żony, i podsuwając blankiet wekslowy, zapytał:

— Czy to ja pisałem?

— Jakto, nie wiesz? — powiedziała Molska, zdziwiona tem pytaniem, którego znaczenia i doniosłości nie rozumiała.

— Właśnie, że nie wiem; zdaje mi się, że to nie mój podpis.

— Nie pojmuję tego... Któż więc mógł podpisać twe imię i nazwisko?

— Nie wiem.

— Tego przecież nie wolno.

— Naturalnie... to fałszerstwo.

— Fałszerstwo?!— zawołała, przerażona samym dźwiękiem tego wyrazu.

— Tak.

— Któż się mógł go dopuścić?

— Alboż ja wiem!... Gubię się w domysłach, lecz nic pewnego powiedzieć nie mogę.

— I jakimż cel tego fałszerstwa? — zapytała pani Molska, nie mogąc jeszcze sobie zdać sprawy z następstw tego niespodziewanego odkrycia.

— Jaki cel?... Oto ten, że ktoś wziął pieniądze, a ja musiałem zapłacić.

— Ależ to okropne!—zawołała żona z przerażeniem w głosie.

— Zapewne — potwierdził Molski machinalnie, myśląc w tej chwili o tem, czy pomiędzy weksłami, które już wykupił, nie było również sfalszowanych.

Na samą myśl o tem ścierpła mu skóra; jednocześnie przypomniał sobie, że sporo weksli, które już popłacił, było z upłynionym dawno terminem, a jednak nie były protestowane; weksli tych, jak sobie teraz przypominał, nie przedstawiano do inkasa w żadnej instytucji finansowej,

lecz zgłaszały się z nimi nieznanne mu osoby, które weksle te nabyły.

Okoliczność ta dawała mu wiele do myślenia. Już to samo, że pierwotni wierzyciele-żydzi nie dyskutowali weksli w bankach, budziło podejrzenie.

I nagle zdało mu się, że przypomina sobie dobrze, iż zwrócił kiedyś uwagę na jednoczesny termin dwóch weksli, opiewających tę samą sumę, co zdziwiło go już wówczas, lecz do czego nie przywiązywał na razie wielkiej wagi.

Teraz wszakże drobna ta okoliczność zaczęła nabierać w jego oczach znaczenia. Wydało mu się, że mogły kursować dublikaty weksli, które puszczano w obieg, a które on płacił, będąc pewnym, że to jego własne weksle.

Było to jednak tylko przypuszczenie, które sprawdzić nie było sposobu, bo nie prowadziło się kontroli wekslowej i wszystkie weksle wykupione paliło się.

— Jaka szkoda, żeśmy palili te weksle! — powiedział głośno, zwracając się do żony.

— Dlaczego? Przecież nie miały już one żadnej wartości... sam mi to mówiłeś...

— Zapewne, lecz mogłyby teraz przydać się do sprawdzenia.

— Może nie wszystkie zostały spalone?

— Niestety!

— Zdaje mi się jednak, że widziałam gdzieś, nie bardzo dawno, jakieś blankiety wekslowe,

tylko nie pamiętam, gdzie — powiedziała pani Molska.

— Gdzie?—zapytał Molski z wielkiem ożywieniem w oczach.

— Właśnie, że nie wiem.

— Postaraj się sobie przypomnieć, Marychno.

— Zaraz, zaraz... Ach!... już wiem! W trzeciej szufladzie biurka, z lewej strony!—zawołała i pobiegła do gabinetu męża.

Molski podążył za nią.

W stosie różnych papierów i świstków, oraz starych kontraktów komornianych, znaleźli istotnie trzy wypełnione blankiety wekslowe na różne sumy.

Z odkrycia tego Molski niezmiernie się ucieszył; jeden bowiem z tych weksli, już zapłacony, opiewał sumę 2,350 rubli.

Ucieszony i przerażony zarazem, przyciskając mocno dłońią dowód oszustwa, jakby w obawie, żeby mu go kto nie wydarł, zawołał.

— Tak, tak! sumę taką samą wypłaciłem przed trzema tygodniami.

— Więc cóż z tego?

— Tymczasem ten weksel, który tu widzisz, wykupiony był w terminie, to jest cztery miesiące temu.

— Jakież to może mieć znaczenie?

— To, że jeden z tych weksli musiał być sfałszowany; przekonajmy się, który.—To rzekłszy, zaczął się pilnie przyglądać pismu... lecz, nie do-

wierząc własnym oczom, wziął lupę i długo przez nią wpatrywał się w każdą literę.

— I cóż?

Zamiast odpowiedzi, podsunął jej blankiet wekslowy i szkło powiększające.

Wzięła je do ręki i zbliżyła do oka.

— Co widzisz?—zapytał po chwili.

— Litery są trzy razy większe.

— To nie o to chodzi—powiedział niecierpliwie; — patrz na linie liter.

— Patrę.

— I cóż widzisz?

— Jakieś dziwne!... Nie przypuszczałam, że pismo może być tak nierówne. Musiała drzeć ci ręka, gdyś pisał.

— To nie... to inna tego przyczyna.

— Jaka?

Podsunał jej drugi weksel.

— Patrz teraz!

— Tu zupełnie inne jest pismo... linie kreślone pewną ręką—powiedziała pani Molska.

— Otóż to! i w tem właśnie jest dowód...

— Czego?

— Falszerstwa. Ten pierwszy weksel, w którym pismo jest drżące, niepewne, i linie w niektórych miejscach podwójne, jakby dwa razy naprowadzane, jest sfalszowany. Ja go nie pisałem.

— A więc kóż?

— Powiedziałem już, że nie wiem; mogę się tylko domyślać.

— Na kogóż masz podejrzenie?

— Podejrzynam Rubina.

— Tego... tego, co tu dawniej tak często przychodził i przynosił pieniądze? — zapytała Molska.

— Tak.

— Teraz rozumiem... jestem pewna, że nikt inny, tylko on!—zawołała z mocnem przekonaniem.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Skądże ta pewność?

— Przejmował mnie zawsze wstrętem, bałam się go po prostu i nigdybym mu nic nie powierzyła; mówiłam ci nawet o tem.

— Prawda, przypominam sobie... ale to nie dowód, na tem oskarżenia o fałszerstwo oprzeć nie można—zauważył Molski, siląc się na uśmiech.

— Być może; ale powiedz mi, mój Sławku, dlaczego nie miałam żadnego uprzedzenia do innych?.. przychodziło tu tylu żydów... Moje przeczucia nigdy nie zawodzą. Przekonałeś się o tem już tyle razy—powiedziała tonem łagodnego wyrzutu.

Molski westchnął, lecz nic na to nie odpowiedział, obliczał bowiem w myśli następstwa dokonanego odkrycia.

Teraz zaczął rozumieć przyczyny tego fatalnego położenia, w jakim się znalazł: od kilku miesięcy wciąż płacił i płacił, a coraz nowe

weksle pojawiały się w obiegu. Niewątpliwie, że Rubin nie ten jeden tylko weksel sfalszował. Musiało ich być więcej... ile?—dojść tego nie było sposobu. Kontroli szczegółowej pożyczek i wypłat nie prowadził, a raczej zaniechał jej, gdy zwiększył się zakres interesów. Być może więc, że Rubin otrzymywane do inkasa weksle kopiował i puszczał w obieg sfalszowane, a prawdziwe zatrzymywał, by je potem, w jakiś czas później, odprzedać któremu z tych nieznanym mu przedtem żydów-lichwiarzy, którzy w ostatnich czasach tak go gnębili.

Na myśl tę ścierpła mu skóra; nie było bowiem żadnego sposobu strat powetować, a nawet udowodnić fałszerstwa; sfalszowane weksle, po ich wykupieniu, zostały spalone, pozostał wypadkowo tylko ten jeden... Wystarczał on wprawdzie, żeby wsadzić Rubina do kryminału—lecz cóż z tego Molskiemu przyjdzie? Pieniądzy swoich nie odzyska, przepadły one bezpowrotnie.

Teraz zrozumiał przyczyny tych niezwykłych trudności kredytowych, jakie go od kilku miesięcy trapiły: za dużo było jego weksli na rynku lichwy. Żydzi wiedzieli o tem dobrze, on tylko nie wiedział. Przypomniał sobie teraz, że ten sam Rubin był inkasentem Liebkinda i że przeto miał wielką łatwość w puszczeniu w obieg weksli fałszowanych. Ufano mu, gdyż

nikt nie zgłaszał się do Molskiego dla stwierdzenia podpisu.

— I cóż teraz myślisz czynić, mój Sławku? — zagadnęła go żona, przerywając nic jego smętnych rozmyślań.

Spojrzał na nią błędnymi oczyma, jakby nagle zbudzony ze snu, lecz nic nie odpowiedział.

— Czy nam co grozi? — zapytała, wylekniwna błędnym wyrazem jego oczu.

Oprzytomniał nagle i uśmiechnął się z przyzorem.

— Nic, nic! moje dziecko.

— Widzę jednak, że jesteś przygnębiony — dodała głosem drżącym.

— Zdaje ci się, mój aniołku. Cóżby nam mogło grozić?

— A to fałszerstwo?

— Przecież tu chodzi tylko o 2,350 rubli... suma nie tak wielka.

— To prawda, ale zawsze...

— Zawsze odkrycie to niezbyt przyjemne. Zaradzi się jednak temu: przycisnę Rubina do muru, zagrozę mu więzieniem; a potem go wypędzę, żeby mi się więcej nie pokazywał na oczy.

— Tak, tak... tak będzie najlepiej — powiedziała pani Molska, uspokojona już do pewnego stopnia, nie przypuszczając ani na chwilę, że ujawnione fałszerstwo może mieć donio-

ślejsze dla nich znaczenie. Cieszyła się nawet z tego, że nie ujrzy już więcej Rubina, który przejmował ją zawsze takim wstrętem i obawą.

Molski tymczasem obmyślał plan, w jaki sposób pociągnąć fałszerza-żyda do odpowiedzialności.

Najprostszą drogą, wskazaną przez prawo, byłoby oddanie sfalszowanego weksłu prokuratorowi i osadzenie Rubina w więzieniu.

W tym jednak wypadku nie mogło być mowy o odzyskaniu, chociaż częściowem, strat poniesionych. Rozumiał to Molski—i dlatego, po krótkim namyśle, zamiaru tego zaniechał.

Można go było tylko wysunąć jako groźbę, pod presją której Rubin może się zdecydować jeśli nie wszystko, to część pieniędzy zwrócić.

Myśl ta wydała mu się najtrafniejszą i na niej się zatrzymał.

Tegoż więc jeszcze dnia posłał lokaja do Rubina z żądaniem, żeby niezwłocznie przyszedł; dla upozorowania zaś pilnej potrzeby, napisał kilka słów, że potrzebuje 1,000 rubli.

Czynił tak i przedtem, gdy wypadł mu jakikolwiek interes pieniężny.

Rubin odpowiedział lokajowi, że za dwie godziny przyjdzie, że musi się wprzód „postarać.“

Wówczas Molski wezwał do siebie rządcę domu, i wtajemniczywszy go w podejrzenie, jakie miał względem Rubina, prosił, żeby, gdy

ten przyjdzie, schował się do niszy, jaka była w jego gabinecie, przysłonięta portyera, i był świadkiem tej rozmowy, jaką będzie miał z domniemanym fałszerzem.

Lokajowi zaś kazał być u drzwi i nadstawić dobrze uszu, żeby nie uronić ani jednego słowa i dobrze zapamiętać treść rozmowy.

— Tym sposobem, mam nadzieję, zmuszę go do przyznania się i zwrotu moich pieniędzy... przecież mieć je musi—powiedział Molski.

Rządca, młody jeszcze człowiek, urzędnik z cyrkułu, zapalił się do tego projektu i zapewnił Molskiego, że wywiąże się ze swej roli świadka bez zarzutu.

— Zatamuję w sobie oddech, żeby łotr nie mógł się domyślić mej obecności.

— Ja także—rzekł lokaj, rad ogromnie, że przypuszczony został do tajemnicy.

— Uważaj tylko dobrze, co będzie mówił—zalecał mu Molski.

— Niech wielmożny pan będzie spokojny... dobry mam słuch i pamięć, a przytem na tego żyda mam i sam chrapkę: zawsze mi ten oszust dawał fałszywe czterdziestówki... miał ich tyle, że podejrzywałem go, iż je fabrykuje.

— I cóżeś zrobił z temi czterdziestówkami?—zapytał Molski.

— Cóż miałem robić? Płaciłem niemi za papierosy, lub dorożkarzom... wieczorem trudniej było poznać, że fałszywe—odparł z pewną

przechwałką swego „sprytu,“ nie zdając sobie nawet sprawy, że sam dopuszczał się oszukaństwa.

Rubin stawił się punktualnie.

— Przyniosłeś pieniądze?—zapytał go Molski na samym wstępie.

— Skąd teraz pieniądze? jeszcze tak prędko!.. Wielmożny pan wie, jaki ciężki czas jest... mnie obiecali, że może w tym tygodniu dadzą.

— Potrzebuję na jutro.

— Co robić? jabym chciał...

— Przecież chodzi o drobną sumę...

— Tysiąc rubli! to nie jest drobna suma. Teraz każdy rubel wart cztery i pięć razy tyle.

— A jednak, rób co chcesz, a wystarać się musisz; potrzeba mi koniecznie.

— Skąd ja wezmę?...

— Może masz swoje?...

— Wielmożny pan żartuje... Skąd jabym mógł mieć? Ja jestem biedny faktor.

— No, no! gdybyś tak zechciał naprawdę, tobys znalazł, dobrze poszukawszy; wiem, że masz pieniądze—powiedział Molski tonem najdobroduszniejszym w świecie.

Rubin wzruszył ramionami.

— Ja nie mam, ale ja chcę wielmożnemu panu wygodzić; ja będę się starać... niech wielmożny pan napisze weksel.

-- Dobrze.

— A na jaki termin?

— Na trzy miesiące.

— To niech wielmożny pan napisze na 1,200 rubli—powiedział Rubin.

— Potrzebuję tylko 1,000 rubli.

— No, ja wiem.

— Więc po cóż pisać 1,200 rubli?

— A procent?

— Jakto? za trzy miesiące 200 rubli od 1,000! Czy wiesz, ile to wyniesie na rok?

— Kto teraz na rok liczy? Teraz nawet na hipotekę na dłuższy termin nie chcą dać; a na weksel... to niema co i mówić! nikt nie chce.

— Ależ to okropna lichwa! — wybuchnął Molski, udając oburzenie.

— No, co zrobić? Taki czas jest. Inaczej dostać będzie trudno. Jak wielmożny pan chce.

— Ja tyle nie zapłacę. Nie chodzi mi już o te 200 rubli, ale o zasadę; nigdy takich procentów nie płaciłem i płacić nie będę.

— Co ja temu winien, kiedy inaczej nie można?... Mnie samemu bardzo przykro i jabyłem wolał, żeby wielmożny pan mógł się obejść; po co płacić takie lichwiarskie procenty?

Molski zdawał się chwilę namyślać, poczem, jakby powziąwszy nagle postanowienie, powiedział:

— Masz słuszność, przyszło mi bowiem na myśl, że mogę sobie poradzić inaczej.

— To lepiej; ja bardzo z tego się cieszę, bo ja sam widzę, że taki procent to rozbój.

— Tak, tak, dlatego też proponuję ci co innego.

— Co takiego?—zapytał Rubin z wielkiem zaciekawieniem.

Molski sięgnął do kieszeni, i wyjąwszy pugilares, zaczął w nim czegoś szukać.

Rubinowi błysnęły oczy. Zagłębił chciwie wzrok w pugilaresie, ciekawy będąc ogromnie, jaką Molski uczyni mu propozycję.

Ciekawość jego została wnet zaspokojoną, gdyż Molski rozwinął przed nim weksel na 2,350 rubli i najspokojniej powiedział:

— Zechciej mi te pieniądze zwrócić.

Rubin zbladł i cofnął się jak oparzony, potem zawołał:

— Co to jest?

— Widzisz przecie, że weksel. Dlaczego się tak złąkł?—powiedział Molski, patrząc nań wzrokiem przenikliwym.

W jednej chwili Rubin oprzytomniał, gdyż rozśmiał się i z wybornie udaną dobroduszością powiedział:

— Czego ja się miałem przestraszyć? Wielmożny pan żartuje.

— Wcale nie żartuję... mówię ci zupełnie poważnie, żebyś zapłacił mi 2,350 rubli, które na tym wekslu są wypisane.

— Dlaczego ja mam płacić?

— Dlatego, że to weksel sfalszowany.

Rubin okazał nagle wielkie przerażenie i chwycił się za głowę.

— Sfalszowany?!...

— Tak jest.

— Przecież to pański weksel!

— Ja go *zapłaciłem*, lecz to nie ja go pisałem.

— Jakto? Wszak to podpis wielmożnego pana?...

— Nie, nie mój... ty dobrze to wiesz.

— Skąd ja mogę wiedzieć?

— Stąd, żeś ten weksel sfalszował — powiedział Molski z udanym spokojem.

— Ja?! Jak wielmożny pan może tak mówić!...

— Mogę, bo jestem tego pewny.

— No, tego trzeba dowieść! Ja się nie boję... ja zaskarżę o potwarz, to jest kryminalny interes, duża odpowiedzialność i odszkodowanie... ja sam będę żądać, żeby była sprawa sądowa—mówił Rubin głosem podniesionym, udając wielką pewność siebie.

— Nie potrzebujesz się fatygować... ja ci to ułatwię: w tej chwili bowiem każę posłać po policję i wniosę skargę do prokuratora. Jesteś łotr i oszust, a w dodatku fałszerz!.. to ci na sucho nie ujdzie.

— Czego pan ode mnie chce?... Ja weksłu nie fałszowałem... może kto inny, może pan sam...

co ja mogę wiedzieć? Ja panu przez tyle czasu nosiłem pieniądze, duże pieniądze... to gdybym chciał ukraść, mógłbym wziąć i powiedzieć, że zgubiłem... no, i co mi pan mógłby zrobić? To po co ja miałem fałszować weksle? Ja i u Liebkinda dwanaście lat pracuję i ani razu nie było takiej brzydkiej rzeczy... ja jestem uczciwy faktor.

— Więc zaprzeczasz? Nie chcesz się przyznać?...

— Po co ja mam się przyznać, kiedy ja nic nie wiem? Ja mogę postawić kilkadziesiąt świadków, co powiedzą, że Rubin porządny faktor jest i że jemu sto tysięcy można zaufać.

— To się okaże, dziś bowiem wniosę skargę do prokuratora.

— Aj, aj! to takie podziękowanie za to, że ja się tak dla pana starałem... Ja się nie boję, bo ja powiem prokuratorowi, że jak pan miał pieniądze, to było wszystko dobrze i Rubin był uczciwy faktor; a jak pan chce zbankrutować, to mówi, że Rubin fałszerz—powiedział, stawiając się zuchwale.

— Milcz, lotrze!—wybuchnął Molski.

— Po co ja mam milczeć? To nie jest żaden sekret! Wszyscy wiedzą, że Molski jest bankrut... no, to co ja temu winien?

Tu Molski nie mógł już pohamować swego oburzenia i gniewu, i podniósł groźnie rękę.

Rubin odskoczył i nagle się skurczył, przycisnąwszy się do ściany...

Molski opuścił rękę i zbliżył się machinalnie do dzwonka, umieszczonego na biurku.

Rubin ruch ten spostrzegł i zawołał:

— Niech wielmożny pan chwilę poczeka... jeszcze jedno słowo... po co lokaj ma wiedzieć? Po co mają być takie nieprzyjemności i ambary?.. ja wszystko sam powiem...

Molski zatrzymał się.

— Więc się przyznajesz?

— Do czego ja mam się przyznać? Ja wekslu nie sfałszowałem, ale ja chciałbym, żeby między nami była zgoda. Ja wolę stracić, a nie znać prokuratora... Jeśli wielmożny pan koniecznie potrzebuje pieniędzy, ja się wystaram i przyniosę... pod słowem:

— Ach! takiś to, ptaszku! ale nic z tego! Póki nie przyznasz się szczerze, żeś fałszował weksle, póty nie chcę z tobą gadać.

— Jakto?... *weksle?*... więc to nie o ten jeden weksel chodzi?

— Tymczasem o ten jeden. A więc mów! Tylko zupełna szczerść może cię wyratować od kryminału.

Rubin uczynił nagle gest rezygnacji, poczem lękliwie obejrzawszy się, powiedział:

— No, ja powiem, na cztery oczy ja się przyznam: ja ten weksel puściłem w ruch, ale nie ja go pisałem... Mnie wówczas bardzo było

potrzeba pieniędzy... no, to jeden żydek dał mi ten weksel... ja myślałem, że zanim przyjdzie termin, to ja sam zapłacę i wielmożny pan o niczem nie będzie wiedział.

— A inne weksle?

— Jakie inne? Ja o innych pierwszy raz słyszę... ja chciałbym je zobaczyć.

— Zobaczysz je u prokuratora.

— No, to wielmożny pan tak dotrzymuje słowa!.. ja się przyznałem, a pan straszy prokuratorem!... Pan myśli, że ja się go boję?.. ja mówiłem, że tego wekslu nie pisałem, to co mi prokurator może zrobić?.. Czy pan ma jakie świadki?

— Są i świadkowie!—zawołał Molski i kłasnął w ręce.

W tejże samej chwili wysunął się z za portyery rządcą, a jednocześnie drzwi się otworzyły i wszedł lokaj.

— Słyszeliście?

— Co do słowa—odparł rządcą.

— Ja także. Złapałeś się, parchu jakiś!—zawołał lokaj, rad ze sposobności, że może okazać całą swą pogardę żydowi, któremu przez tak długi czas musiał drzwi otwierać.

Rubin zbladł jak płótno i przysiadł do ziemi. Był tak zaskoczony niespodzianem ukazaniem się świadków, że nie mógł słowa przemówić i błędnie wodził wkoło siebie wylęknionemi oczyma.

— I cóż teraz powiesz?—zapytał Molski.

Nie było na to żadnej odpowiedzi.

— Gadajże, łajdaku!—dodał rządca.

— A ruszże swym parszywym ozorem!—powiedział i lokaj, dając Rubinowi porządnego szturchańca.

I ten jednak silny argument nie rozwiązał mu języka. Poruszał wprawdzie ustami, jakby chcąc przemówić, lecz nie powiedział ani słowa. Przestrach, jaki się malował teraz na tej twarzy, do niedawna bezczelnie zuchwałej i wyzywającej, budził wstręt i obrzydzenie.

— Idź po policyę!—powiedział Molski do lokaja.

Ten rozkaz oprzytomnił Rubina, gdyż wstrząsnął się nagle cały i jak długi padł na ziemię do nóg Molskiego.

— Idź precz, łotrze!

— Niech wielmożny pan mnie nie gubi! ja wszystko powiem... Co panu z tego przyjdzie, jak mnie wsadzą do więzienia? Ja mam żonę i sześcioro małych dzieci, to co one będą robić, jak im wezmą ojca? — szlochał Rubin, czolgając się, jak pies, u nóg Molskiego.

— Zwróć mi pieniądze!

— Ja wrócę.. ja wszystko zrobię, co wielmożny pan zechce... ja ten weksel zapłacę...

— A inne? Musiałeś sfalszować i więcej... Tyś mnie, łajdaku, zrujnował i błagasz teraz

o litość!... Zapłać wprzód wszystko, a potem pomyślę, co z tobą uczynić.

— Ja zapłacę...

— Kiedy?

-- Ja będę płacił, będę się starał...

— To nie odpowiedź! Musisz mnie dać formalne zapewnienie i termin, w którym wszystkie pieniądze zwrócisz. A teraz przyznaj się jeszcze, ile i na jaką sumę sfalszowałeś weksli? Od szczerości tej odpowiedzi będzie zależeć, jak z tobą postąpię; nie myśl jednak, że i teraz uda ci się mnie oszukać...

Rubin spojrział z niedowierzaniem na Molskiego, a zarazem pomyślał, że nie może on wiedzieć, ile było w obiegu weksli sfalszowanych,—bo gdyby wiedział, to nie miałby potrzeby o to pytać. Zresztą wiadomem mu było, że wykupione weksle palił, czego Rubin sam był nieraz świadkiem, oraz, że żadnej kontroli nie prowadził. Tym sposobem te weksle, o które Rubin miał pewne zasady być w obawie, musiały również uleść zniszczeniu. Tego był niemal pewnym i dziwił się bardzo, jak mógł ocaleć ostatni i jedyne, jak mu się zdawało, dowód jego fałszerstwa. Wszakże dał się na nie skusić dopiero wtedy, gdy dowodnie się przekonał, że weksle wykupione Molski miał zwyczaj palić, nie czyniąc jednocześnie jakichkolwiek adnotacji. Skombinowawszy to wszystko, z całą pewnością powiedział:

— Na moje sumienie, na moje drobne dzieci i żeby mnie wszelkie nieszczęścia spotkały!—w myśli zaś dodał:—„żeby ten goj zdechł jak pies!“—to ja mogę przysięgać, że tylko ten jeden weksel... o innych ja nie wiem, nie sły-
szałem...

Przysięgi te i zaklęcia nie odniosły spodziewanego wrażenia, gdyż Molski wybornie sobie teraz przypominał, że weksli sfalszowanych było więcej; co do dwóch jeszcze, na łączną sumę 4,000 rubli, był zupełnie pewnym, dlatego też powiedział krótko:

— Łżesz, żydzie!

Po długich wreszcie certacyach, po tysiącznych, najfantastyczniejszych, wschodniego pokroju zaklęciach, po powołaniu się na wszystkich biblijnych patryarchów, Rubin przyznał się ostatecznie do 11 tysięcy rubli.

Molski na tej sumie poprzestał, rad w duchu, że w tak krytycznej, jak obecnie, chwili odzyska przynajmniej część swoich pieniędzy.

Rachuby te jednak zawiodły...

Gdy bowiem przyszło do omówienia terminu zwrotu, Rubin zaklął się, że pieniędzy teraz nie ma.

— JAKO? nie masz? Mieć je musisz! nie dlatego chyba dopuszczales się fałszerstwa, żeby pieniądze roztrwonić!

— Ja straciłem, bardzo dużo straciłem... ja kupiłem dwa place, dałem po kilka tysięcy ru-

bli zadatku... no, i zadatek mój przepadł, gdy przyszło resztę zapłacić. Nie tylko ja, i wiele żydków potraciło, gdy przyszedł ciężki czas na pieniądze... ja teraz bardzo biedny jestem...

— To mnie nic nie obchodzi. Bierz skąd chcesz, a pieniądze mieć muszę. Daję ci dwa tygodnie czasu.

— Co ja mogę zrobić za dwa tygodnie? Kto mi da?... Teraz każdy potrzebuje pieniędzy i każdy brać chce...

Tak tłumaczył się Rubin i na tem stał uporczywie, że pieniędzy nie ma.

Nie pomogły żadne już grozby; Rubin, zdawało się, zobojętniał na nie zupełnie i na wszystko odpowiadał:

— Niech wielmożny pan robi co chce... Rubin może iść do prokuratora, może zgnieć w więzieniu, ale pieniędzy dać nie może, bo nie ma.

Wobec tego pozostawało jedynie oddać sprawę do prokuratora.

Molski jednak wahał się jeszcze. Osadzenie Rubina w więzieniu nie dawało mu żadnych korzyści, ani też nadziei odebrania kiedykolwiek pieniędzy. Lepiej już było trzymać żyda pod groźbą kryminału i częściowo przynajmniej odbierać swoje pieniądze, na co Rubin w zasadzie zgadzał się, nie podając wszakże pewnych terminów zwrotu.

Był jeszcze jeden wzgląd, z którym trzeba

się było liczyć, a który powstrzymał Molskiego od oddania Rubina w ręce sprawiedliwości, na co ten wcale niedwuznacznie zwrócił uwagę, mówiąc:

— No, ja mogę pójść do kryminału, ale co wielmożnemu panu z tego przyjdzie? Żydzi, jak się dowiedzą, będą robić panu wielkie nieprzyjemności... U nas tak jest: za jednego wszyscy się ujmą, całym kahałem. A wielmożny pan teraz bez żydów nie da sobie rady...

Była to po prostu groźba, której lekceważyć Molski nie mógł, wiedząc aż nadto dobrze, że żydzi trzymali go w swej sieci, z której, bez ich pomocy, wydobyć się nie było sposobu.

Mając to na względzie, Molski zdecydował okazać się tymczasowo wspaniałomyślnym i dlatego zadowolnił się tylko cyrografem, jaki Rubin napisać musiał sam na siebie, a w którym przyznawał się do fałszerstwa weksli na szkodę Molskiego, na ogólną sumę 11 tysięcy rubli.

Pieniądze te zobowiązał się spłacić ratami w terminie dwuletnim.

— A pamiętaj, łotrze, że jeśli nie spełnisz, do czegoś się zobowiązał, to kryminał cię nie minie.

— Niech wielmożny pan będzie spokojny; Rubin zrobi wszystko, żeby pan był z niego zadowolony... Ja będę się bardzo starać i wszystkim żydom powiem, że wielmożny pan jest bardzo szlachetny i dobry pan— mówił Rubin, kła-

niając się do samej ziemi, pokorny i wielce zgnębiony.

Znalazłszy się wszakże na ulicy, wyprostował się i przybrał dawną, arogancką i pewną siebie postawę, a jednocześnie złośliwie się uśmiechał, mówiąc:

— Głupi goj!.. On uwierzył, że ja zarobiłem na nim tylko jedenaście tysięcy, wtedy, gdy ja wziąłem sobie, jak jeden grosz, 35 tysięcy w gotowych pieniądzech. On nawet uwierzył, że u Rubina wielka bieda jest i że on nie ma grosza w kieszeni... i on rozłożył na raty. Głupi goj!... Jabyłm go jeszcze kupił i gotówką zapłacił. Ale po co ja mam oddawać to, co wziąłem, co jest moje, cały mój zysk?... On mnie zastraszył prokuratorem, kryminałem!... On myślał, że to wielki strach jest!... Ileż to ja znajdę żydów, co za tysiąc rubli pójda do więzienia na rok i na dwa lata! Co to wielkiego jest? Można sobie swój termin odsiedzieć i potem żyć jak wielki pan, za swoje pieniądze. Trzydzieści pięć tysięcy to wielki pieniądz jest... Ja jeszcze tego Molskiego mogę sobie wziąć za rządcę. Bardzo to może być, jak on zbankrutuje. Zresztą, po co jemu pieniądze?... on jest suchotnik i za miesiąc albo za dwa, a może i prędzej, on potrzebuje umrzeć... no, to czego ja mam się bać? On sobie umrze, a ja od jego żony dostanę ten głupi kwit, co on mi kazał napisać, za kilkadziesiąt rubli. Ona ładna kobieta jest — dodał, cmokną-

wszy,— to ona sobie znajdzie bogatego kochanka... I nikomu żadnej krzywdy nie będzie, że te trzydzieści pięć tysięcy u mnie zostały.

Tak rozmyślał Rubin, rad niezmiernie ze siebie, że tak łatwo mu się udało wywinąć z kłopotliwego położenia, w jakim się znalazł, a to tem bardziej, że nie widział nawet koniecznej potrzeby troszczyć się o spłatę 11,000 rubli, do czego się zobowiązał; był bowiem niemal pewnym, że potrafi i w tym względzie „oszuścić“ Molskiego.

Niepokoila go tylko ta okoliczność, że interesy Molskiego były bardzo złe i że jak zbankrutuje zupełnie, to może, przez złość, zrobić mu nieprzyjemność i zaskarżyć go do prokuratora,—dlatego więc życzył nawet Molskiemu, żeby mógł uregulować swoje długi:

— On może sobie żyć... Co mi to szkodzi? Niech on ma nawet duży majątek... ja mu bardzo życzę i nie mam na niego wielkiej złości; a że Grünbaum albo Liebkind mniej trochę zarobią, to i to niewielka szkoda... To bogacze są!... Każdy potrzebuje żyć!...

Niestety jednak, te dobrotliwe życzenia, płynące z litościwego serca Rubina, nie miały się ziścić...

Interesy Molskiego wikłały się coraz bardziej i to tak fatalnie, że Molski, będący dotąd wielkim optymistą, niezłomnie wierzącym w swoją szczęśliwą gwiazdę, oraz w rzutność finanso-

wą—stracił głowę, gdyż nie widział już żadnego ratunku.

Przyszły wreszcie dnie tak ciężkie, że nie było rubla w domu na codzienne wydatki.

Molska zalewała się łzami wśród nocy bezsennych, spędzanych na smutnych rozmyśleniach. Nigdy jeszcze tak źle nie było. Nie miała pojęcia, że mogą być tak okropne warunki, w których sprawa jutrzejszego obiadu stawiała się najbardziej niepokojącą i pierwszorzędną...

Chcąc oszczędzić mężowi zmartwienia, ukrywała przed nim swe kłopoty gospodarcze i zapewniała go, że ma na wszystko pieniądze.

Zdobywała je w lombardach, dokąd posyłała zaufaną pokojówkę. W ten sposób poszła tam cała jej biżuteria.

Molski, nie domyślając się źródła tych zasobów, sądził, że jego Marychna miała jakieś oszczędności, z któremi się kryła. Wydało mu się to nawet rzeczą zupełnie naturalną... Przecież całą kasę miała w swych rękach, z której sam przeznaczał dla niej pewne kwoty „na drobne wydatki.“

— Kup sobie, mój skarbie, nowy kapełusz— mówił nieraz.

— Ależ mam ich tyle...

— Cóż z tego? Pragnąłbym, żebyś miała zawsze coś modnego. Weź, aniołku, trzydzieści rubli...

Gdyby Molska chciała korzystać z tej hojności męża, mogłaby istotnie poczynić wielkie

oszczędności, lub też zaopatrzyć swoją garderobę w zbytckowne szczegóły toaletowe.

Nie miała jednak do nich zamiłowania, ani też nie uważała za potrzebne chować pieniądze dla siebie, nie przewidując, że tego rodzaju oszczędności mogą być kiedykolwiek potrzebne.

Dziś żałowała tego bardzo, widząc, w jak ciężkich kłopotach mąż się znalazł. Jakby się przydały zaoszczędzane pieniądze i jak byłaby szczęśliwą, gdyby mogła przyjść mężowi z pomocą! Żałowała dziś również tych wydatków na stroje i zbytckowne drobiazgi do upiększenia mieszkania, jakie mąż sam kupował przy każdej sposobności, pragnąc jej sprawić miłą niespodziankę.

Gdyby można je było dziś spieniężyć, niejedną ciężką chwilę udałoby się oddalić i uniknąć wielu nieprzyjemności.

Przejęta tą myślą, odbywała wędrówkę z pokoju do pokoju, czyniąc przegląd tych kosztownych drobiazgów, jakie ludzie zamożni tak skrętnie zwykle gromadzą w swych mieszkaniach, nie żałując ani fatygi na ich wyszukanie, ani pieniędzy.

Oceniała więc: brzozy, starą porcelanę i obrazy, obliczając, ile możnaby za te rzeczy otrzymać pieniędzy. Nie znała się jednak na wartości rzeczy, ani też nie wiedziała, w jaki sposób można je najkorzystniej spieniężyć.

Myślała z razu dać ogłoszenie do „Kuryera“

i z zamiarem tym zwierzyła się mężowi; ten jednak myśl tę odrzucił z odcieniem wielkiego niezadowolenia.

— Nie wiesz sama, co mówisz, mój aniele; chyba chcesz, żeby mnie uznano za bankruta?!

Zabronił jej też surowo dokonywać jakichkolwiek pojedynczych tego rodzaju sprzedaży, wypadkowo dowiedziawszy się, że żona kazała sprzedać dwa wspaniałe wazony majolikowe do tego samego sklepu, skąd były kupione, i to za czwartą część ceny.

— Proszę cię, Marychno, nie kompromituj mnie!—powiedział tonem oschłym i stanowczym.

Molska była posłuszną, lecz odtąd w ich gospodarstwie domowym zaczęły się ujawniać bardzo dotkliwe braki; często na obiad, dawniej bardzo obfity i wystawny, było jedno mięso i to w bardzo skąpej ilości, tak, że służba zaczęła głośno sarkać, narzekając na głód.

A było ich troje: kucharka, pokojowa i lokaj.

— Takie państwo! trzymają lokaja, a nie mają sami co jeść!—mówiła kucharka, źle usposobiona dla państwa.

— Coraz gorzej jest u nich, z pieniędzmi bardzo krucho—potwierdził lokaj.

— Zapłacili panu Janowi?

— Gdzież tam! Już za sześć miesięcy mi się należy.

-- Więc czegoż pan Jan tu siedzi?

— Muszę przecież odebrać swoje, a przytem żał mi go, bo dobry pan.

— Niewiele mu już się należy i nie długo już tego ich państwa; trzeba nam będzie zmykać i obejrzyć się za inną służbą— zdecydowała kucharka.

Pewnego razu Molska usłyszała jedną z takich rozmów i odeszła cała we łzach, biadając nad ciężkim losem, jaki ich czeka, i nad niewdzięcznością służby, która nigdzie chyba nie miała tak dobrze, jak u nich.

Tegoż dnia wystąpiła z nieśmiałą propozycją oddalenia lokaja.

— Skądże ci to przyszło do głowy, moje dziecko? — zapytał Molski, niemile dotknięty tą propozycją.

— Zdawało mi się, że Jan nie jest ci potrzebny, a przecież otrzymuje on miesięcznie dwadzieścia rubli zasług.

— Nie, kochanie, nie mogę go oddalić.. jest mi potrzebny — odparł krótko, nie objaśniając istotnych przyczyn, dla których nie mógł go oddalić.

Musiałby przedewszystkiem zapłacić mu 120 rubli zaległej pensyi, których nie miał, a powtóre oddalenie Jana, którego znali doskonale wszyscy jego wierzyciele, byłoby pewnego rodzaju stwierdzeniem faktu dotkliwych kłopotów pieniężnych, w jakich obecnie przebywał, a z któ-

rych miał nadzieję wkrótce wydobyć się, jak tylko dostanie pożyczkę Towarzystwa.

Niestety jednak, nadzieja ta zawiodła go...

Upłynęło już kilka miesięcy od złożenia podania o pożyczkę, a dwa miesiące od wizyty trzeciej z kolei delegacyi szacunkowej, a dotąd pożyczki nie przyznano, motywując tę zwłokę obostrzeniami, jakie świeżo wprowadzone zostały w przyznawaniu kredytu hipotecznego. — Ze strony natomiast Molski słyszał, że obostrzenia te zastosowane zostały specjalnie do niego, gdyż uznano go za jednego z tych niebezpiecznych spekulantów, którzy ciężko już się dali we znaki władzom Towarzystwa.

Dowiedział się również, że jest ktoś wrogo dlań usposobiony i intrygujący przeciwko niemu w Dyrekcyi, skutkiem czego pierwotnie oznaczoną dość wysoką normę pożyczki zredukowano znacznie, a mimo to wahano się jeszcze z ostateczną decyzją.

Próżno Molski jeździł sam i posyłał żonę do rozmaitych wpływowych osób, prosząc o większą względnosc i pośpiech—nic to nie pomogło.

Na dobitkę, w tymże czasie, otrzymał kilka pozwów do sądu, a wreszcie pewnego pięknego poranku zjawił się w ich mieszkaniu komornik z nakazem tymczasowej egzekucyi.

Wywołało to okropny popłoch. Molska dostała spazmatycznego płaczu, a mąż jej, przerażony, z błędnymi oczami, nie mógł na razie słowa

przemówić i odpowiedzieć na pytania, które mu komornik zadawał.

Wzruszyło to nawet tego nieubłaganego w swych czynnościach wykonawcę, którego ciężkiem zadaniem było wydzierać komuś własność „w imię prawa,” na rzecz pijawek lichwiarskich, uzbrojonych w żądła wyroków i egzekucyi prawnych.

— Niech pan dobrodziej uspokoi się. Zachowam całą względność, należną państwu, gdyż wiem, jakim lichwiarzem jest wierzyciel pański. Zresztą nie jest to ostateczna egzekucya, lecz tymczasowa; służy więc panu droga apelacyi, co potrwać może parę miesięcy. Jest więc dość jeszcze czasu—tłómaczył komornik.

— Wiem o tem—odparł Molski; — proszę, zechciej pan spełnić swój obowiązek.

Komornik zachował istotnie wielką względność, gdyż unikając wszelkich, upokarzających dłużnika szykan, nie zaglądał ani do szaf, ani do biurka, a ograniczył się jedynie na spisaniu kilkunastu kosztowniejszych sprzętów, jakkolwiek suma długu była dość znaczną, bo wynoszącą 4,500 rubli, nie licząc kosztów.

Widocznem było z jego czynności, że więcej chodziło mu o dopełnienie formy prawnej, aniżeli o interes wierzyciela, który znany był mu osobiście jako ostatni łotr i najwstrętniejszy lichwiarz.

Ta pierwsza wizyta komornika była tylko

wstępem do całego szeregu nowych pozwów i aresztów na ruchomościach. Zaaresztowano nawet komorne u lokatorów, tak, że Molski pozbawiony naraz został wszelkich dochodów.

Co się działo odtąd w ich domu, opisać trudno. Pani Molska całymi dniami płakała i tylko przed mężem kryła swe łzy, nie chcąc powiększać jego strapienia.

Molski pod brzemieniem tych wszystkich przykrości, nad wyraz upokarzających jego dumę i pewność siebie, ugiął się cały, nie mogąc już znaleźć pocieszenia w właściwym sobie optymizmie, który nigdy go przedtem nie opuszczał.

To też zdrowie jego ucierpiało na tem bardzo, gdyż schudł niezmiernie i szerniał na twarzy, a zarazem zaczął coraz więcej płuć krwią.

Patrząc na plamy czerwone, jakie występowały na chustce przy każdym otarciu ust przy suchym kaszlu, którego ataki były niekiedy straszne — pochylał głowę na piersi i szeptał zrozpaczony:

— Koniec już, koniec!... Co się stanie z Marychną?!

Nie bał się śmierci, pogodziwszy się z myślą, że przyjdzie ona prędko musi, że czatuje nań już za drzwiami... Pragnął jednak oddalić tę straszną chwilę, pragnął przedłużyć dni życia, dotąd przynajmniej, póki nie ureguluje tak interesów, żeby zostawić żonie jeśli już nie kilkakroćstotysięczną kamienicę, którą ostatnio

wybudował, to przynajmniej nniejszy dom, będący dotąd jego własnością.

Pocieszał się bowiem wciąż myślą, że gdy dostanie pożyczkę Towarzystwa, to przecież potrafi nią tak rozporządzić, żeby ocalić z majątku, obliczanego początkowo na pół miliona rubli, chociaż 100 tysięcy...

I te nadzieje go zawiodły.

Kłopoty pieniężne potęgowały się z dnia na dzień i szły jak powódź, sprowadzając tysiące nowych, niespodziewanych powikłań i pozostawiając po sobie zniszczenie i beznadziejność.

Uczyniła się wkoło nich straszna pustka, w jakiej się znajdują niekiedy ludzie dotknięci wielkiem nieszczęściem lub niepowodzeniem życiowem, któremu towarzyszy zwykle trąd obojętności ludzkiej.

Odstrychnęli się od nich wszyscy...

Rzecz szczególna, lecz bardzo smutna zarazem, że każdy upadek wywołuje, zamiast współczucia, nie tylko lodowatą obojętność, lecz i złośliwą radość ludzką.

Ukryte, plugawe gady zawiści wypełzają wówczas na jaw i kłują swemi żądłami nieszczęśliwych.

Doświadczyl tego na sobie Molski w całej pełni, nie tylko od ludzi, z którymi nie łączyła go bliższa zażyłość, lecz i od tych, którzy

z niego żyli, którzy przy nim porośli w pierze, którym świadczył dobrodziejstwa.

Daremnie próbował szukać u nich pomocy lub jakichkolwiek dowodów życzliwości— wszędzie bowiem spotykał się z lodowatą obojętnością, a nawet wyraźną niechęcią.

Dawano mu nawet do zrozumienia, że te kłopoty, w jakich się znalazł, są zasłużoną i sprawiedliwą karą za ryzykowne spekulacje, w które się wdał, nie mając na to odpowiednich funduszków.

Po cichu zaś mówiono, że pozarywał mnóstwo ludzi, że wyłudzał pieniądze od wszystkich, że zrujnował wiele rodzin, które zaufały mu swe skromne fundusze, że długów ma więcej niż włosów na głowie, i że wartość jego domów nie pokryje i połowy wierzytelności, jakimi są obciążone.

Molski, do którego dochodziły te plotki, zachodził w głowę, kto mógł być ich twórcą? Nie uczynił przecież nikomu nic złego, nikogo nie skrzywdził, nie miał wreszcie tak wielkich długów, o jakie go pomawiano.

Widoczną więc tu była jakaś złośliwa intencja, chęć poderwania mu ostatecznie kredytu i sparaliżowania wysiłków w uregulowaniu interesów.

Ta złość jakiegoś tajemniczego wroga przeniknąć musiała i poza mury instytucji kredytowej, od której wyglądał pomocy—i tam bo-

wiem okazywano mu jakąś podejrzliwą nieufność, skutkiem czego zwlekano decyzję z dnia na dzień, wynajdując coraz nowe przyczyny do zwłoki.

Trwało to tak długo, że wreszcie Molski doczekał się tej smutnej ostateczności, której się bał najwięcej.

Wystawiono mu obydwie domy na licytację.

Stało się to prawie niespodzianie — wystąpili bowiem wierzyciele, co do których był dotąd zupełnie spokojny.

Zresztą i sumy, o które go pozwano, były niewielkie — jedna bowiem wynosiła 10,000, a druga 7,500 rubli.

Molski nie przywiązywał z razu wielkiego znaczenia do tych pozwów, wiedząc, że żydzi, którzy wystąpili z nimi przed trzema miesiącami, chcieli tylko wyzyskać sytuację, by ściągnąć z niego haracz lichwiarski za uwolnienie od rygorów prawnych.

Porozumiał się był już nawet z nimi, i hojnie się opłaciwszy, otrzymał uroczyście przyrzeczenie na przedłużenie terminów pożyczek.

Tymczasem, jak się później okazało, wywiedli go po prostu w pole i oszukali; chcąc zaś uniknąć niemiłych dla siebie wyjaśnień, pretensje swe odprzedali komu innemu.

Molski nie chciał wierzyć własnym oczom, gdy przeczytał w ogłoszeniach o licytacji, że

nabywcą jednej z tych sum był Icek Suchy, administrator jego domu z poręki Grünbauma, a w istocie jego kreatura i zausznik, o czym, niestety, zbyt późno przekonał się Molski.

Drugim nabywcą był Izrael Pomeranc, który odegrał już podobno rolę nieubłaganego wierzyciela względem Zahorskiego.

Była to rzecz z góry ukartowana przez Grünbauma, który znany był z tego, że zanim osobiście wystąpił na widownię, by ostatecznie zaszachować upatrzoną przez siebie ofiarę, wprzód wysuwał oddanych sobie faktorów, których zadaniem było puszczenie „balonów próbnych“ do zbadania terenu walki i środków obrony nieprzyjaciela-dłużnika.

Tym sposobem zaoszczędzało się przede wszystkim wielkich wydatków na kosza sądowe, a powtóre wycieńczało stopniowo dłużnika, pozbawiając go sił do dalszych zapasów.

Zwykle też tego rodzaju szarża egzekucyjna rozpoczynała się od sum drobnych, w myśl bardzo mądrej maksymy, którą Grünbaum lubił często wygłaszać:

— Wystarczy pięć, cztery, trzy, jeden tysiąc, a nawet pół tysiąca rubli, żeby wystawić dom na licytację, chociażby on był wart i cały milion.

W myśl tej maksymy wyrobił sobie swój własny system gnębienia dłużników, czyniąc z tego prawdziwy sport, a właściwie hazardzik,

bardzo dla niego przyjemny i mile drażniący jego nerwy, a dla dłużnika wielce dokuczliwy.

Miał też ogromną przyjemność obserwować, jak jego dłużnik rzucał się jak wściekły i oburzał, że dla tak drobnych sum czyniono mu wstręty egzekucyjne.

Cieszył się nawet wtedy, gdy mu wymyślano od „gałganów“, „łotrów“ i „lichwiarzy“, gdyż wymysły te były dlań dowodem, że pocisk wymierzony był dobrze, skoro zdołał wyprowadzić dłużnika z równowagi.

— No, co mi szkodzi! Niech on sobie wymyśla, niech on się gniewa. Ja potrzebuję sobie z tego się bardzo śmiać, bo jak on się teraz gniewa, to potem on będzie bardzo grzeczny i będzie bardzo prosić... I ja wiem jeszcze, że jak on się gniewa, to on może jeszcze mieć pieniądze i może się bronić... No, to wówczas ja wiem także, że jeszcze nie czas i że trzeba trochę poczekać, aż on przestanie się gniewać.

Tak rozumował Grünbaum i bombardował w dalszym ciągu dłużnika nowymi pozwami i egzekucjami o coraz większe sumy, dotąd, póki nie wymierzył dokładnie jego zdolności płatniczej i jej nie wyczerpał.

I dopiero gdy się przekonał, że moment ten nastąpił, skupił siły, i wytoczywszy wielką baterię oblężniczą, sam występował do wal-

ki, czynił ostatnie, stanowcze posunięcie i cel osiągał.

Molski jednak nie podejrzewał ani na chwilę, jaką rolę grał względem niego Grünbaum, ukryty starannie w kulisach zachłannej spekulacji na jego fortunę—i dlatego całe swe oburzenie i gniew skierował przeciwko żydowi, który będąc jego rządcą, śmiał milczkiem nabywać pretensye pieniężne i grozić licytacyą.

Icek Suchy jednak nie przeraził się gniewem swego chlebobawcy, lecz przeciwnie, postawił się nad wyraz hardo, z tą bezczelnością żydom właściwą, gdy czują się panami pozycyi.

— No, niech się pan nie zapomina! ja bardzo pana proszę... — odparł z uczuciem obrażonej godności.—Pan nie potrzebuje się pytać, co to ma znaczyć. Pan sam wie... Niech pan zapłaci moje pieniądze.

— Precz stąd! żeby tu noga twoja nie pozostała! Od tej chwili nie jesteś już u mnie rządcą.

— No! ja sobie pójdę... dlaczego nie? Ale i pan sobie też pójdzie! — dodał z całą bezczelnością, patrząc wzrokiem wyzywającym i nie ruszając się z miejsca.

— Precz! każę cię wyrzucić!

— Na to jeszcze możemy poczekać, panie Molski... ja mam plenipotencyę do końca roku. A jak pan chce, żebym ja sobie poszedł, to niech pan zapłaci odszkodowanie, i te 10,000 rubli.

A jak pan nie zapłaci, to *ja* panu powiem wtedy: „idź precz!“ bo dom będzie mój!...

Molski ostatnich słów już nie słyszał, gdyż schwycił go szalony atak kaszlu, który wywołał tak groźny krwotok, że Icek Suchy wyląkł się niezmiernie i sam pośpieszył z ratunkiem, wzywając na pomoc stróżów.

Ci, widząc, co się stało, gdyż byli świadkami zuchwalstwa rządcy, i tknięci współczuciem dla Molskiego, odepchnęli żyda brutalnie.

— Won! ty parchu, Judaszu! Nie tykaj palcem naszego pana.

Jeden zaś z nich, który nie cierpiał Suche-
go, dał mu tak silnego szturchańca w bok, że żyd aż jęknął i pośpiesznie zrejterował.

Stróże chcieli odwieźć Molskiego do domu, lecz ten oprzytomniawszy, wyszeptał:

— Nie, nie, zawołajcie tu lekarza...

Dopiero w dwie godziny potem, dzięki szybkiej pomocy lekarskiej, Molski przyszedł do sił o tyle, że można było go odwieźć do domu.

Był jednak trupio-błady i chwiał się na nogach, gdy go wsadzono do dorożki.

— Przed moją żoną ani słowa— powiedział szeptem do lekarza, który postanowił sam mu towarzyszyć.

— Dobrze, dobrze; proszę jednak zachować spokój i nic nie mówić, a chwilowe osłabienie szybko minie — pocieszał lekarz, który

jak się okazało, był specjalistą chorób płucnych i od razu ocenił groźny stan chorego.

Molska, gdy zobaczyła męża i jego trupią bladość, oraz wzrok błędny, skamieniała i z przerażenia nie mogła słowa przemówić..

Dopiero w kilka sekund później wyciągnęła doń ręce i wydała dziki, przejmujący duszę okrzyk:

— Sławku!

— Proszę zachować spokój!—powiedział doktor głosem surowym, prawie gniewnym, dając tem poznać, że stan chorego jest groźny.

Molski uczynił ostatni wysiłek, żeby uśmiechnąć się do żony, lecz smutny to był uśmiech... Zaledwie też doktor posadził go na fotelu, pochylił bezsilnie głowę na piersi i omdlał..

V.

Od dnia tego rozpoczęła się powolna agonia...

Molski gasł w oczach, a jednocześnie gasły przed nim nadzieje uratowania majątku. Chciwość i żarłoczność wierzycieli wzmogły się do tego stopnia, że rzucili się oni jak sępy i kruki, czujący rozkład dogorywającego organizmu.

Molska, zrozpaczona beznadziejnem położe-

niem, bezradna, wyczekująca z trwogą w sercu każdego poranka, który mógł być dla niej zwiastunem nowego nieszczęścia, drżąca o życie męża, spoglądała zarazem z przerażeniem w przyszłość, myśląc o tem, co pocznie, gdy nie stanie Sławka, gdy zostanie sama, opuszczona, pod brzemieniem interesów, o których nie miała najmniejszego pojęcia.

Myśląc o tem, wyrzucała sobie, że jest egoistką, że troszczy się tylko o siebie, skoro może tak spokojnie rozmyślać o następstwach katastrofy, wtedy, gdy mąż jej — jedyny, ukochany człowiek na świecie, który żył tylko dla niej — dogorywa.

Zalewała się wówczas gorzkimi łzami i czyniła rozpaczne postanowienie, że umrze z nim razem, że żyć bez niego nie może, nie powinna, że śmierć jej będzie jedynem zadosyćuczynieniem za to szczęście, którego zaznała przy nim i przez niego, że będzie ostatnim dowodem jej miłości dla niego.

— Tak, umrzeć, umrzeć! Życie bez niego byłoby dowodem strasznego egoizmu!... Dla kogo zresztą żyć?... Sama, sama!...

W tych szarpaniach się ze samą sobą trawiła się jej dusza, a noce bezsenne, spędzane na ponurych rozmyślaniach, dokonały reszty.

Z pięknej, kwitnącej zdrowiem kobiety uczynił się cień tylko: twarz się wydłużyła, policzki zapadły, a pod oczami, które jedne tylko nie

utraciły swego blasku, porobiły się przepaście smutku i rozpacznej rezygnacyi.

Tymczasem bieg interesów znaczył się jakąś fatalnością i wymagał wielkiej energii i rzutności, żeby powstrzymać i oddalić na czas jakiś zbliżającą się szybko katastrofę.

Termin licytacyi domów zbliżał się, a dotąd nie obmyślano żadnego środka obrony.

O spłaceniu wierzycieli, którzy wystąpili sądowo, nie mogło być już mowy, gdyż, oprócz pretensyi Icka Suchego i Pomeranca, przybyła jeszcze suma 25 tysięcy rubli, z którą wystąpił niespodzianie cichy dotąd wierzyciel, chrześcijanin, dawny obywatel ziemski, co do którego Molski był zupełnie spokojny, otrzymawszy przyrzeczenie, że sumę pozostawi jeszcze na lat kilka.

Tym sposobem, chcąc powstrzymać licytację, należałoby zapłacić przeszło 40 tysięcy rubli,—o czem nie mogło być mowy, ze względu na niepodobieństwo znalezienia w owe czasy kapitalisty, który zdecydowałby się pożyczyć na hipotekę domu, bardzo już obdłużonego — przed otrzymaniem jeszcze pożyczki Towarzystwa.

Zresztą, gdyby nawet, jakim szczęśliwym zbiegiem okoliczności, Molski zdołał wydostać pieniądze, to wszakże i w tym wypadku nie uratowałby sytuacji, lecz jedynie oddaliłby na czas jakiś katastrofę.

Grünbaum bowiem czuwał pilnie i o każdym

kroku i zamiarze Molskiego miał najdokładniejszą relację przez swoich szpiegów-faktorów, i potrafiłby sparaliżować wszelkie wyniki obrony.

Molski o tem wiedział, odgadłszy „politykę“ Grünbauma, która zresztą nie była już nawet dla nikogo tajemnicą, gdyż głośno mówiono w znacnem gronie aferzystów, że jedynym kandydatem do kupna jest on tylko, albowiem drugi główny wierzyciel—Liebkind, zrzekł się na niego wszelkich swych praw.

Z tem wszystkiem Molski, jakkolwiek przykuty był do łóżka, jakkolwiek czuł już nasuwający się nań całun śmierci, wysilał zgorączkowany swój umysł, żeby znaleźć jeszcze jakikolwiek ratunek.

Nie mogąc jednak sam wyjeżdżać, słał żonę i pisał listy do rozmaitych osób, u których miał jeszcze słabą nadzieję znaleźć jaką pomoc i poparcie.

Chodziło przedewszystkiem o to, żeby znalazł się ktoś dość bogaty, któryby stanął do licytacji i albo podniósł cenę sprzedażną mniej więcej do sumy istotnej wartości domu, lub też, w razie, gdyby Grünbaum i inni odstąpili, żeby sam dom nabył z korzyścią dla siebie, uwzględniając zarazem i interes Molskiego.

Myśl była bardzo dobra, lecz urzeczywistnienie jej napotkało mnóstwo przeszkód. Przyjaciół lub znajomych, z którymi łączyłaby Molskiego bliższa zażyłość, nie miał; znał wpra-

wdzie wiele osób zamożnych i bogatych nawet, lecz nikt z nich nie rozporządzał tak znaczną gotówką, żeby stanąć do licytacji domu, przedstawiającego wartość przeszło 400,000 rubli, na którym było długów, prędko wymagalnych, około dwustu tysięcy.

Altruistów w owe czasy było niewielu; każdy był bardzo ostrożny i niechętnie wdawał się w tego rodzaju interesy, które może i przedstawiały pewne korzyści, lecz połączone były z koniecznością rywalizacji z żydami, rywalizacji bardzo często niebezpiecznej...

Dlatego też na liczne w tym duchu wezwania odpowiedział jeden tylko Rudowski, ojciec Henryka, oświadczywszy, że w tym interesie musi się wprzód rozpatrzyć, a wówczas da odpowiedź stanowczą; nadmienił w końcu, że jeśli stanie do licytacji i dom kupi tanio, odstąpi go za tę samą cenę Molskiemu, a ewentualnie jego żonie.

Odpowiedź ta dodała otuchy i ożywiła Molskiego, a jednocześnie przywróciła jego dawny optymizm.

— Bogu niech będą dzięki! Rudowski nigdy na wiatr nie mówi; jeśli przyobiecał zająć się naszą sprawą, obietnicy dotrzyma.

— Daj Boże!—westchnęła Molska, nie dzielając wszakże optymizmu męża.

Zwątpiła już we wszystko i wszystkich. Miała nadto jakieś złe przeczucia, które jej

mówiły, że niema dla nich ratunku, że los nie oszczędzi już im żadnej goryczy, żadnego upokorzenia.

Jednym z nich było, między innymi, przybicie na bramie domu obwieszczenia o licytacji ruchomości w ich mieszkaniu, zajętych przez komornika przed trzema miesiącami.

Zajęcie to było tylko zabezpieczeniem tymczasowem i, jak zapewniał komornik, można się było jeszcze kilka miesięcy bronić i wykonanie wyroku przewlec—lecz o tem zapomnieli oboje wśród innych trosk i kłopotów.

Wszystkie więc terminy prawne minęły, wyrok się uprawomocnił i licytacja miała się odbyć za dni kilka.

Gdy Molskiemu doręczono zawiadomienie o licytacji, krew uderzyła mu do głowy, ścisnął kurczowo rękę, w której trzymał fatalny papier, i westchnął ciężko, potem zerwał się nagle z łóżka i zaczął się ubierać.

— Uciekajmy stąd! nie chcę na to patrzeć! przenieśmy się do hotelu, lub gdziekolwiek!—mówił zgorączkowany, chwytając drżącymi rękami za ubranie i usiłując je włożyć na siebie.

W panią Molską wstąpiła nagle energia; powstrzymała męża i siłą prawie ułożyła napowrót do łóżka.

— Co chcesz czynić, Sławku? Przecież to za dni kilka dopiero! I cóż to wielkiego zre-

szta? Przetrwaliśmy już tyle, to cóż znaczy jeszcze jedno upokorzenie, jeszcze jedno ukłucie? Zniesiemy je mężnie, a może da Pan Bóg, że wszystko się później na dobre odmieni. Tyś taki mężny, taki dzielny... miałabyś upaść na duchu? Miałabyś zwątpić w Opatrzność i w sprawiedliwość Boską?!—mówiła z przejęciem, głosem mocnym, usiłując podnieść upadającego ducha w ukochanym jej Sławku, chociaż w niej samej serce kołatało trwożnie i biło się boleśnie o klatkę piersiową, jak ptak zraniony, złapany w sidła.

W jej przekonaniu bowiem licytacja ruchomości przez komornika była największym ciosem, jaki mógł ich dotknąć. Nic nad to okropniejszego wystawić sobie nie mogła; nawet licytacja domu i jej rujnujące następstwa wydawały się mniejszem złem i mniejszem upokorzeniem, aniżeli sprzedaż mebli przez komornika... I to tu, w ich mieszkaniu, ma się dokonać ten akt przemocy w imię prawa, ten rabunek żydowski, i to w chwili, gdy mąż jej dogorywa!

Nie, tego nie przeżyje! nie przeżyje i on, gdy będzie słyszeć i widzieć, jak o te kosztowne drobiazgi, które były dowodami jego miłości dla niej, zacznie się targować żydowstwo, wydierać je sobie z rąk, oceniać i wynosić jeden po drugim, aby je potem wystawić na publiczne targowisko.

Nie! tego nie dopuści, na to nie pozwoli nigdy, nigdy!

Przejęta tą myślą, zdobyła się na krok heroiczny...

Wypatrzywszy chwilę, gdy mąż, wyczerpany walką, jaką sam ze sobą stoczył, usnął—ubrała się prędko i miała już wyjść na ulicę, gdy nagle; przypomniawszy coś sobie, wróciła do swego pokoju i stanęła w lustrze.

Przyglądała się w niem czas jakiś, czego już od dawna nie czyniła, poczem westchnęła ciężko i wyszeptała sama do siebie:

— Jakżem się zmieniła! jakżem zbrzydła!

Dostrzegła również, że strój jej był bardzo zaniedbany, suknia zmięta—w niej bowiem, nie rozbierając się, spędziła na łóżku noc całą, czuwając przy mężu. .

— Tak wyjść nie mogę... muszę się przebrać!...

To powiedziawszy, wyjęła z szafy pierwszą suknię, jaka wisiała na wierzchu, lecz odłożyła ją na stronę, znalazłszy, że również nie jest odpowiednią, i wzięła drugą.

Przebrała się w nią szybko, poprawiła włosy na głowie, zwilżyła twarz i czoło kolońską wodą, potem wytarła skronie ręcznikiem i zlekka dotknęła miejsca zwilżone puszką od pudru, poczem rzuciła raz jeszcze okiem w lustro, wyjęła strojny kapeiusz, za który mąż

jej zapłacił niegdyś trzydzieści kilka rubli, o co się bardzo gniewała.

Spojrząwszy teraz na ten kapelusz, strojny w pióra i kwiaty, westchnęła głęboko i powiedziała:

— Mój Boże! tyle pieniędzy wyrzuconych!

To rzekłszy, odsunęła z niechęcią kapelusz, po chwili jednak wzięła go powtórnie i prędko przypięła do włosów, a następnie rzucawszy raz jeszcze wzrokiem na swą wdzięczną zawsze postać, odbitą w lustrze, wyszła do przedpokoju i po cichu drzwi za sobą zamknęła.

Znalazłszy się na ulicy i uszedłszy zaledwie kilka kroków, zatrzymała się nagle i dotknęła ręką twarzy; ręka jednak była w rękawiczce, zdjęła więc ją szybko i powtórnie przyłożyła do twarzy.

Policzki jej pałały.

— Muszę mieć wypieki na twarzy!—szepnęła, pożałowawszy zarazem, że nie wzięła ze sobą lusterka.

Przypomniała jednak sobie, że na drugiej ulicy jest magazyn z lustrami, gdzie można się przejrzeć, i uspokoiwszy się, przyspieszyła kroku.

Serce biło w niej jak młotem, uderzenia jego słyszała wyraźnie i czuła zarazem, że przygniata ją jakby świadomość złego czynu, który miała popełnić, oraz wstyd...

— A przecież nic złego nie czynię, o niczem nie myślę, czegobym potrzebowała się

wstydzic... pragnę tylko oszczędzić mężowi ostatniej przykrości i upokorzenia, którego by z pewnością nie przeżył—myślała i, nieco uspokojona, szła dalej, w kierunku domu, gdzie mieszkali Zahorscy.

Wiedziała, że Zahorskiej i panien w Warszawie niema, że dotąd bawią za granicą, gdzie przedłużyły swój pobyt na parę miesięcy—szła jednak w nadziei, że Zahorski nie odmówi swej pomocy i coś poradzi.

Miała zamiar zwrócić się tylko do starego Zahorskiego, gdyż nigdy nie zdecydowałyby się mówić z Władysławem o tych przykrych sprawach; a jednak spodziewała się, że pewno go zobaczy i że to on właśnie może przyjąć żywszy udział w jej strapieniu.

I ta nadzieja była do pewnego stopnia bodźcem do decyzji, którą nagle powzięła, a zarazem i przyczyną wielkiego wstydu tej świadomości.

Zahorscy słyszeli wprawdzie o kłopotach pieniężnych, w jakich się Molski znajdował, lecz nie przypuszczali, że mogły one spowodować tak groźne i przykre następstwa.

Gdy przyszła Molska, Zahorski sam tylko był w domu i ta okoliczność ułatwiła jej wielce trudne zadanie.

W krótkich więc słowach wyłuszczyła swe troski, dodając, jakby na usprawiedliwienie tego kroku:

— Mąż jest bardzo chory i nie opuszcza łóżka... nie wiem sama, co począć — mówiła zażenowana.

Zahorski chwycił się za głowę, i zapominając o jej obecności, zaczął wymyślać:

— A lotry! gałgany! pijawki plugawe!... Dlaczego szanowna pani nie zwróciła się do mnie wcześniej?.. oszczędziłoby się tego upokorzenia...

— Nie wiedziałam, nie przypuszczałam nigdy, że coś podobnego może nastąpić...

— Ja to pojmuję... rozumiem aż nadto dobrze... przechodziłem prawie takie same przyjemności... na szczęście, udało mi się w porę zabezpieczyć przed chciwością żydów—mówił Zahorski, chodząc gorączkowo po pokoju i rozmyślając, w jaki sposób mógłby przyjść Molskiemu z pomocą.

Gotówki w domu nie miał, na dwa dni bowiem przedtem wysłał żonie 1,000 rubli; pozostało mu w pugilaresie zaledwie 200 rubli, które przeznaczone były na domowe wydatki.

— Pomódz jednak trzeba koniecznie!—myślał, nie chcąc nawet przyznać się, że nie ma jeszcze pojęcia, w jaki sposób pomoc tę zdoła okazać.

W tej chwili nadszedł Władysław.

Był zdumiony, ujrawszy Molską, a jeszcze bardziej ogromną zmianą, jaką w niej dostrzegł. Ostatni raz widział ją przed kilku tygodniami

i, jak zawsze, zachwycił się jej urodą i niewysłowionym wdziękiem, jaki szedł od niej.

Dziś ujrzał przed sobą cień jej tylko. Troška i wielki smutek malowały się w jej wielkich, cudnych zawsze oczach, które jednak wydawały się teraz za wielkie, gdyż twarz jej, o policzkach wychudłych i zapadniętych, jakby zmaląła. Wystąpiły również na niej drobniutki lecz gęste zmarszczki koło oczu i w kątach ust, czyniąc ją starszą o jakie lat dziesięć.

To pierwsze wrażenie, jakie odniósł, było dlań niezmiernie przykre—przykre nie—tyle przez wzgląd na Molską, ile na samego siebie, że w jednej chwili pozbawiony został ułudy zachwyty, jakie w nim dotąd budziła,—że wreszcie Molska nie była znów tak piękną, skoro w ciągu kilku tygodni mogła tak zbrzydnąć i postarzeć się...

To spostrzeżenie przemknęło z błyskawiczną szybkością w jego umyśle, poczem dopiero zjawilo się współczucie dla ciężkiego zapewne strapienia, które wywołało w niej taką zmianę.

Czy Molska odgadła te myśli Władysława, który w sercu jej, czystem jak kryształ, niezakłóconem dotąd uczuciem żadnej zdrożnej namiętności, zdołał wywołać niegdyś rozkoszne drżenia,—czy też sama jego obecność w chwili tak dla niej przykrej i ciężkiej stała się przyczyną wielkiego jej zakłopotania,—dość, że na twarz jej, przed chwilą białą jak alabaster,

prawie przezroczystą, wystąpiły gorące wypieki zażenowania i wstydu.

Zahorski musiał to dostrzedz i, powodowany subtelną delikatnością uczuć, nie chciał wobec niej wtajemniczać syna w kłopotliwe ich położenie i dlatego zwrócił się do Molskiej, mówiąc:

— Niech pani będzie zupełnie spokojną. W tej chwili zajmę się tą sprawą i jestem pewny, że zaradzimy wszystkiemu.. Zresztą to drobnostka!—dodał i ucałował z wytworną galanterią rękę pani Molskiej.

-- Dziękuję panu, serdecznie dziękuję!—odparła, przejęta wdzięcznością, z drżeniem w głosie.

— Co się takiego stało? czy jej mąż?...—zagadnął Władysław po wyjściu Molskiej.

— Z Molskim jest podobno coraz gorzej, lecz teraz chodzi o co innego... Skutkiem jego choroby interesa ich powikłały się i jakiś bezczelny żyd chce ich zlicytować.

— Niepodobna! — zawołał Władysław, do najwyższego stopnia zdumiony.

— Niestety, tak jest! Oto masz! — dodał Zahorski i podał synowi urzędowe zawiadomienie o terminie licytacji, które pozostawiła Molska.

Władysław rzucił na nie okiem.

— Suma dość znaczna... 4,500 rubli, nie licząc kosztów.

Zahorski westchnął ciężko, zrozumiałwszy dopiero teraz, że podjął się sprawy, której załatwienie przechodziło jego możność; trudno jednak było odmówić: Molska miała łzy w oczach i widocznem było, że ostatnia rozpacz zniewoliła ją do prośby o pomoc.

— Musimy im dopomódz koniecznie — powiedział z determinacją.

— W jaki sposób?

— Otóż to!.. Najlepiej byłoby żydowi zapłacić; uczyniłbym to natychmiast, lecz, niestety, pieniędzy nie mam.

— Cóż więc czynić?

— Trzeba pojechać do żyda i ułagodzić go, uzyskać prolongatę. Zgodzić się musi... Przecież Molski jest człowiekiem odpowiedzialnym zupełnie, a nawet zamożnym.

— Słyszałem, że interesa jego są zachwiane— zauważył Władysław.

— I ja to słyszałem, ale to przesada! Jak dostanie pożyczkę Towarzystwa, wszystko się naprawi. Ze mną było to samo. Najgorsze są te drobne długi... Pojedziemy do tego żyda natychmiast.

— Jedźmy...

Żyd, jedna z nikczemnych kreatur Grünbauma, zrazu nie chciał słyszeć o jakiegokolwiek prolongacie i ustąpił dopiero wtedy, gdy Zahorski wystawił od siebie zobowiązanie, że sumę należną sam zapłaci w razie, gdyby Molski

w terminie umówionym tego nie dopełnił. Prócz tego Zahorski musiał zapłacić natychmiast 150 rubli kosztów, które żyd polikwidował za komornika i ogłoszenia o licytacyi, w zamian zaś otrzymał formalne zobowiązanie, że licytację cofnie i nie podejmie żadnych kroków egzekucyjnych w ciągu trzech miesięcy.

Ten cenny dla Molskiego dokument Zahorski odesłał niezwłocznie, przy liście wielce uprzejmym, w którym zapewnił, że jest gotów zawsze na ich usługi, ile razy nadarzy się potrzeba sąsiedzkiej rady lub pomocy.

Molska, otrzymawszy ten list, był bowiem do niej zaadresowany, rozpląkała się z radości i zaniosiła go mężowi.

— Chwała Bogu. Zaczny to człowiek!—powiedział Molski, poczem wzięwszy rękę żony, przycisnął ją do ust i dodał:— wybacz mi, droga Marychno, że musiałaś sama narażać się...

Zamknęła mu dłonią usta.

— Cobym ja bez ciebie począł, skarbie mój?...

— A ja? Zdaje mi się niekiedy, że nas tylko dwoje na świecie — szeptała wzruszona niezmiernie, tuląc się do niego, z wezbranem nagle uczuciem bezmiernego przywiązania, które stawało się z każdym dniem tem większe, im bardziej wątlała i rwała się nadzieja, że mogą jeszcze powrócić dni spokoju i szczęścia.

Nadziei zaś tej w jej sercu już prawie nie

było; rozsiadły się w niem zwątpienie i piołunowa gorycz życia.

Pan Aron Grünbaum, zaniepokojony był wielce wiadomością, którą mu przynieśli jego faktorzy, że stary Rudowski w towarzystwie swego architekta oglądał nowowypbudowany dom Molskiego, obszedł głównejsze lokale i coś sobie ustawicznie notował.

Ogłędziny te trwały parę godzin.

— Co to jest? Czego on tam chce? Po co on tam wtyka swój nos? — myślał Grünbaum, mocno zaniepokojony tą ciekawością.

Z Rudowskim bowiem, gdyby przyszła mu ochota dom nabyć, rywalizowaćby w żadnym razie nie mógł. Był to człowiek bardzo bogaty, którego majątek obliczano na parę milionów, nie w kapitałach wprawdzie, lecz w ziemi i przedsiębiorstwach przemysłowych; okoliczność ta wszakże nie stawała na przeszkodzie do kupna, gdyż kredyt miał ogromny i mógłby bez wielkich trudności dostać chociażby pół miliona rubli.

Do kupna zaś domów Molskiego nie było tyle potrzeba—wystarczyłaby i połowa tej sumy, a wówczas nadzieje Grünbauma musiałyby się rozwiązać bezpowrotnie.

Zostałby on na koszu nawet i wtedy, gdyby Rudowski chciał przyjść Molskiemu z pomocą, udzielając pożyczki na spłatę Grünbauma.

Wprawdzie, w tym wypadku, zyskałby kilkadziesiąt tysięcy rubli, które zdołał już sposobem oszukańczym wpakować na hipotekę, lecz zadowolnićby go to nie mogło, w porównaniu z tym zyskiem, jaki sobie obiecywał, gdyby kupił dom na licytacji, dokonanej według jego planu, genialnie obmyślonego.

Wówczas bowiem zarobiłby na czysto 200 tysięcy, a może i więcej.

Trzeba więc było koniecznie dowiedzieć się o istotnych zamiarach Rudowskiego.

W tym celu rozpuścił sferę swoich faktorów na przespīgi.

Relacje, jakie tą drogą otrzymał, nieco go uspokoiły—dowiedział się bowiem, że Rudowski skłaniał się wprawdzie, na skutek prośby Molskiego, stanąć do licytacji, lecz że ostatecznej decyzji jeszcze nie powziął, czyniąc ją zależną od tego, czy zdoła zaciągnąć pożyczkę na dogodnych dla siebie warunkach.

Skombinowawszy to wszystko, Grünbaum postanowił działać energicznie i sparaliżować zamiary Rudowskiego.

Rozpoczął więc agitację na dwa fronty...

Przedewszystkiem począł śledzić każdy krok Rudowskiego, ku czemu użył jednego z najsprytniejszych faktorów, który codziennie zdawał mu szczegółową relację, co Rudowski robił, do kogo jeździł, jakie sumy podejmował w banku i t. p.

Z tych relacyi dowiedział się tylko, że Rudowski starał się wprawdzie o pieniądze, lecz czynił to dość opieszale, nie przywiązując widocznie zbyt wielkiego znaczenia do tego, czy pożyczkę dostanie.

— No, on się stara... ale on się tak stara, jakby chciał, żeby mu nie dali — zapewniał faktor.

— Ty jeszcze głupi jesteś! — odparł Grünbaum.— Ten Rudowski bardzo mądry jest... jakby on mówił, że bardzo mu pilno, to on mógłby i wcale nie dostać, bo nikt nie lubi dawać pieniędzy bardzo prędko... każdy kapitalista potrzebuje się trochę bać, potrzebuje się namyślić i dlatego nie mówi, że mu pilno jest. On nie mówi i dlatego jeszcze, że on chce dać mały procent. I dlatego jemu nie trzeba bardzo wierzyć.

— No, to co ja mam robić?

— Ty idź i słuchaj!... słuchaj i patrz; a jak co zobaczysz, to tu przyjdź znów, a ja będę już wiedział, co robić; ty tylko jego dobrze pilnuj.

Wydawszy tę dyspozycję, Grünbaum przyszedł do przekonania, że trzeba jeszcze coś obmyślić, co daćby mogło zupełną pewność przeprowadzenia zamierzonego od dawna planu.

Tymczasem Molski z niecierpliwością i wielkim niepokojem oczekiwał od Rudowskiego

jakiegokolwiek zawiadomienia w sprawie tak dla niego ważnej.

Niepokój ten potęgował się z dniem każdym, gdy termin licytacji szybko się zbliżał. Pozostało już tylko dwa tygodnie.

Kilka razy porywał się z łóżka, chcąc napisać do niego list i prosić raz jeszcze o odpowiedź stanowczą i ostateczną, przypominając zarazem o bliskim terminie licytacji.

Po namysle jednak, zamiaru tego zaniechał, bojąc się Rudowskiemu narazić swą natarczywością.

Postanowił więc czekać i być cierpliwym, tem więcej, że nie widział innego nad cierpliwość lekarstwa w tej męce niepokojącego oczekiwania.

Tak rzeczy stały, gdy pewnego razu w przedpokoju zadźwięczał silnie dzwonek.

Molski pogrążony był w drzemce, lecz na dźwięk obudził się i uniósł się na łóżku.

Od dawna nikt już do nich nie przychodził, wszyscy o nich zapomnieli, nie wyłączając żydów-faktorów, którzy, nawet wzywani przez Molskiego, nie raczyli się fatygować, mówiąc, że „nie mają już po co chodzić do pana Molskiego.“

Takie wypowiedzenie równało się wyrokowi śmierci, gdyż świadczyło, w rozumieniu żydostwa, że Molski był „trup“, to jest zupełny bankrut, z którym nie było już nic do gadania.

Molska, zaniepokojona niespodzianą wizytą, i to w porze dość spóźnionej, była już bowiem godzina dziewiąta, sama poszła drzwi otworzyć.

Z razu uchyliła je trochę, na długość łańcucha, który zabezpieczał od wtargnięcia natrętów, i dostrzegła jakiegoś jegomościa, dość przyzwoicie ubranego, który uchyłając grzecznie kapelusza, zapytał:

— Czy mogę się widzieć z panem Molskim?...

— Mąż mój jest chory.

— Niestety! wiem, pani dobrodziejko... lecz interes jest pilny, wielkiej wagi...

— Z kim mam przyjemność?

— Jestem Badurski, Marcin Badurski, do usług... chociaż nazwisko moje nic nie objaśni, powtarzam jednak, że interes jest pilny i wielkiej wagi.

— Powiem mężowi... chciałabym jednak wiedzieć...—zaczęła Molska i zawahała się.

— Jaki jest interes... nieprawdaż? Otóż mogę panią dobrodziejkę zapewnić, że interes dobry... bardzo pomyślny—dodał z naciskiem.

— Proszę więc pana — powiedziała, zdejmując łańcuch.

Zagadkowy jegomość wszedł, i ustawicznie się kłaniając, wsunął się do salonu.

— Niech pan zechce spocząć. Pójdę uprzedzić męża.

— Proszę, bardzo proszę. A ja poczekam... mam dość czasu.

W kilka minut później Badurski wchodził na palcach do pokoju, gdzie Molski leżał w łóżku.

— Wybacz mi pan dobrodziej, że w porze tak spóźnionej śmiem go nachodzić.. przepraszam bardzo, bardzo przepraszam — mówił Badurski, nisko się kłaniając.

— Nic nie szkodzi; proszę, niech pan siada. O cóż to chodzi i czem mogę panu służyć?— odezwał się Molski, wyciągając dłoń na powitanie, a jednocześnie przyglądając się bacznie niespodzianemu gościowi.

Ten pochwycił skwapliwie rękę Molskiego i ścisnął ją w swych dłoniach, mówiąc:

— To ja właściwie przyszedłem ofiarować swoje usługi, wiedząc, że pan dobrodziej, będąc niedomagający, może potrzebować pomocy człowieka doświadczonego, któryby go mógł zastąpić—zaczął Badurski.

— W czym, łaskawy panie?

— W interesach, panie dobrodzieju.

— Bardzom panu wdzięczny za tę propozycję, lecz dotąd jeszcze nie wiem, o jakich interesach pan mówisz. Zechciej pan przeto bliżej to określić.

— Pragnę właśnie to uczynić. Otóż wiem, że dom pana dobrodzieja, wspaniała posesya,

będąca ozdobą miasta, wystawiony jest na licytację i że termin jej jest bardzo blizki...

— W istocie, jesteś pan dobrze poinformowany.

— Wiem również, że licytacja, w warunkach obecnych, o ile jest przymusową, może wypaść dla szanownego pana niepomysłnie, a to tem bardziej, że szajka łotrów lichwiarzy chciałaby pana dobrodzieja złupić i wydrzeć mu fortunę...

— Skądże masz pan tak dokładne wiadomości? — zapytał Molski, zdziwiony i zaciiekawiony niezmiernie zagadkowym jegomościem, i uczyniwszy wysiłek, usiadł na łóżku.

— O! ja wiem wszystko, panie dobrodzieju... kręcę się ciągle koło tych interesów i od dawna już obserwuję zabiegi żydostwa, mające na celu wyzucie go z fortuny. Wiem również, że wierzyciele, którzy wystawili dom na licytację, są to ludzie podstawieni, że to nie żaden Pomeranc, albo Suchy Icek, ale sam Grünbaum ma oskome na pańską własność, oraz, że wszystko jest z góry już ukartowane, żeby najwyższy szacunek osiągnięty na publicznej licytacji nie przewyższył długów, obciążających posesję... Tym sposobem pan dobrodziej mógłby być narażony na ogromną stratę, równającą się połowie wartości domu.

— Skądże pan to wszystko wiesz tak do-

kładnie?—przerwał mu raz jeszcze Molski, nie mogąc wyjść z podziwienia.

— Ja wiedzieć o tem muszę, panie do-brodzieju, gdyż jest to mój fach, z którego żyję.

— Jakto?

— W sposób bardzo prosty: mojem zadaniem jest nie dopuszczać do obniżenia szacunku, nie pozwalać żydostwu na łupiestwo uczciwych obywateli. Niejeden z nich mnie tylko zawdzięcza, że posiada dziś majątek, który chciano mu wydrzeć—przechwalał się Badurski, bijąc się w piersi.

Molski patrzył nań z niedowierzaniem, a jednocześnie zdawało mu się, że już tę twarz, pewną siebie a zarazem filuterną, już gdzieś widział, że głos tego człowieka nie był mu obcym; na razie jednak nie mógł sobie przypomnieć okoliczności, w jakich go poznał—i dopiero gdy Badurski nadmienił o swej roli, jaką odegrywa na licytacyach, przypomniał, że widział go w sali sądowej, gdy wyrzucał z gardła głosem donośnym i pewnym siebie tysiące i dziesiątki tysięcy rubli, które podbijał cenę, postąpioną na licytacyi.

— Przez to gardło przeszły już setki milionów rubli! — mówił z dumą, dotykając ręką grubej szyi, osadzonej na barczystym karku.

Molski, mimo choroby i wielkiego strapienia, w jakim był pogrążony, nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Wiem, wiem, teraz sobie przypominam...

— I ani razu nie siedziałem w kozie, tak jak inni, gdyż w porę umiałem się wycofać, dokonawszy tego, com zamierzył... i albow podniósł cenę sprzedażną, albow też przerwał licytację; boją się też mnie żydzi jak ognia, wiedzą bowiem, że mam na swe usługi ludzi zaufanych i razem z nimi mogę zrobić co tylko zechcę. Wyłuszczywszy to wszystko, mam zaszczyt ofiarować panu dobrodziejowi swoje usługi.

Molski zamyślił się, oceniając, czy i o ile może skorzystać z pomocy wątpliwej, jaką mu ofiarowywał ten zawodowy „słomiany licytant.“

Niekiedy pomoc taka mogła istotnie być pożyteczną, szczególnie, gdy nie było już innych sposobów ratunku.

Z pomocy tej korzystali jednak najczęściej wierzyciele, którym chodziło o to, żeby ich sumy nie spadły z hipoteki w razie niskiej ceny sprzedażnej. Molski o tem wiedział i nie lekceważył też znaczenia „słomianych licytantów.“ Czy jednak w danych okolicznościach mógł sam z usług Badurskiego skorzystać—to trzeba było jeszcze dobrze rozważyć, szczególnie wobec oczekiwanej pomocy ze strony Rudowskiego.

Jeśli ten bowiem zgodzi się wystąpić jako poważny kandydat do kupna, wtedy Badurski nie tylko by nie pomógł, ale mógłby nawet zaszkodzić.

Dlatego więc postanowił na razie nie da-

wać Badurskiemu stanowczej odpowiedzi dotąd, dopóki nie upewni się ostatecznie, czy może liczyć na pana Rudowskiego.

Powziąwszy tę decyzję, powiedział:

— Za propozycję pańską dziękuję, proszę jednak o parę dni do namysłu; niech więc pofatyguje się pan do mnie w ten czwartek, a wówczas omówimy bliżej całą sprawę.

— A dlaczego nie dziś?... czas jest wielki: za dziesięć dni termin licytacji! — przypomniał Badurski.

— Wiem o tem; być może jednak, że licytacja do skutku nie dojdzie.

— Aaa!... w takim razie moje usługi byłyby niepotrzebne, rozumie się; a nie powodując się egoizmem i chęcią zysku, życzę panu dobrodziejowi, żeby się tak stało — powiedział, powstając z krzesła.

— W czwartek jednak zechce pan się pofatygować... liczę zawsze na pana.

— Nieodmiennie stawię się — odparł Badurski, nisko się kłaniając.

Molski podał mu rękę.

Pochwycił ją, tak samo jak przy powitaniu, w obydwie swe dłonie i ścisnął mocno.

— Życzę panu dobrodziejowi zdrowia i powodzenia w zamiarach.

— Dziękuję, dziękuję, a w czwartek zobaczymy się.

Propozycja Badurskiego nie była do pogar-

dzenia. Molski rozumiał to doskonale; niekiedy przy pomocy „słomianych licytantów“ udawało się kilkakrotnie zwalić licytację, a tem samem dać obdłużonemu właścicielowi czas do regulacyi interesów i porozumienia się z wierzycielami.

Ludzie zresztą tej kategorii byli niekiedy wprost niezbędni, ze względu na podstępną działalność żydostwa, które na licytacyach robiło co chciało, nie dopuszczając nikogo do rywalizacyi i obniżając cenę sprzedażną do normy z góry zapowiedzianej.

Dzięki też ich zabiegom domy stotysięczne sprzedawano za połowę, a nawet za trzecią część wartości.

Osiągało się to w ten sposób, że do sali sądowej właczał się tłum żydostwa *ad hoc* zwołanego, którego zadaniem było tylko wypełnienie sali—tak, żeby nikt obcy nie mógł się dotłoczyć. Panował też w tych razach ścisk niesłychany i hałas, wielce utrudniający samą licytację, skutkiem czego wielu poważnych kandydatów do kupna, nie chcąc narażać się na przebywanie w okropnej atmosferze żydowskiego niechlujstwa, odchodziło od drzwi, w tem przeświadczeniu, że żydostwo udaremni wszelką rywalizację.

I ten to właśnie porządek, a właściwie nieporządek, praktykowany na licytacyach, wytworzył nowy zawód „słomianych licytantów“—

chrześcijan, mających na celu paraliżowanie szwindłów żydowskich.

Byli to zwykle ludzie, obdarzeni dużą siłą fizyczną, o rozrosłych barkach i mocnych pięściach, któremi torowali sobie drogę do stołu sędziowskiego. I oni również łączyli się w zwarte grupy, działając solidarnie i słuchając wskazówek swego kierownika.

Najczęściej nie posiadali oni wcale pieniędzy, niezbędnych do złożenia w razie utrzymania się przy licytacji; zdarzało się jednak, że zjawiali się ze znaczną gotówką, skutkiem czego żydzi nie byli pewni, czy można ich zostawić przy sumie zadeklarowanej.

Było to więc ryzyko, na które żydzi rzadko kiedy decydowali się, bez względu na wielki zysk, jaki mógłby przypaść w razie odsadzenia „słomianego licytanta;“ w tym bowiem wypadku utrzymywał się przy kupnie poprzedni kandydat z sumą o połowę niższą od wartości domu; jeśli jednak taki licytant występował w roli istotnego kandydata do kupna, działającego w imieniu właściciela domu, lub ukrytego poza jego plecami kapitalisty, wówczas żydostwo mogło zostać na koszu.

I ta właśnie okoliczność była powodem, że słomianych licytantów nie śmiano lekceważyć, nie wiedząc nigdy, w jakiej roli mogą oni wystąpić.

Wiedział o tem Molski i dlatego zdecydowany był uciec się, w ostatnim razie, do ich po-

mocy. Wprzód jednak należało upewnić się, czy może liczyć na Rudowskiego.

W tym celu, po krótkim wahaniu, zdecydował się napisać do niego list z delikatnem przypomnieniem, w którym raz jeszcze prosił o ostateczną w tym względzie odpowiedź.

List ten zredagowany był w formie wysoce uprzejmej, tak, że w żadnym razie nie można było przypuszczać, żeby miał wyrzucić zły skutek.

A jednak tak się stało.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, które występują niekiedy jako fatum i paraliżują najlepsze intencje, Rudowski otrzymał ten list w chwili, gdy był w złym humorze, zirytowawszy się jakimś drobnem nadużyciem jednego ze swych oficjalistów.

I ta właśnie chwila złego humoru zdecydowała o losach Molskiego; Rudowski bowiem, przeczytawszy list, zmiął go w rękę i, zniecierpliwiony, cisnął do kosza, a w kilka minut potem, pod wpływem podrażnienia, skreślił suchą odpowiedź, że dotąd potrzebnej do tego interesu gotówki nie ma i że dlatego nic stanowczego powiedzieć nie może.

Zdaje się jednak, że na suchy ton tej odpowiedzi wpłynął nie tylko zły humor Rudowskiego, ale i niekorzystne wieści, jakie w ostatnich dniach słyszał o Molskim.

Wieści te zakomunikowane były poufnie sekretarzowi jego kancelaryi gospodarczej, który

też czuł się w obowiązku wnet donieść o tem swemu chlebodawcy, wiedząc, że ten przyjmuje dość żywy udział w sprawach Molskiego.

Mowa tu była o wielkiej ilości fałszywych rzekomo weksli, które kursowały po mieście, a których Molski podobno uznać nie chciał. Insynuowano, że tem się podobno chciał tłómaczyć i ratować, nie mogąc, czy też nie chcąc płacić swoich długów. Mówiono również, że Molski ukrył znaczną gotówkę, dochodzącą do pół miliona rubli.

Słowem, wieści były tak potworne i w tak złem świetle przedstawiały osobę Molskiego, że Rudowski, człowiek surowy, lecz prawy, ofuknął swego sekretarza, mówiąc:

— Wstydzilibyś się pan powtarzać takie głupstwa.

— Tak mi mówiono... czułem się przeto w obowiązku...

— Któż panu mówił?

-- Kasyer w jednym z tutejszych banków, a prócz tego mówią to samo i żydzi.

Rudowski machnął ręką.

— Aaa!... żydzi!... zbyt to mętne źródło. Zresztą nic mnie to nie obchodzi!— powiedział, pomyślawszy jednocześnie, że jednak musi w tem coś być, w myśl życiowej zasady, że w każdej, najpotworniejszej plotce jest zawsze cząstka prawdy.

Na razie jednak nie przywiązywał żadnej

wagi do tych plotek—nie dotyczyły one bowiem finansowej strony interesu, w którym udział miał przyjąć.

Zdecydowawszy to, wyrzucił z pamięci wiadomość rzeczoną, jako niepotrzebny balast, i zliczył raz jeszcze gotówkę, zgromadzoną już na domniemane kupno domu.

Brakowało jeszcze kilkunastu tysięcy rubli, lecz była to zbyt drobna suma, by miał się o nią kłopotać.

Gdy jednak nadszedł list Molskiego, stanęły mu w pamięci plotki, o których słyszał, a które pod wpływem złego humoru, w jakim się znajdował, nabrały innego znaczenia.

— Licho wiel!... różnie bywa... Człowiek to bardzo lekkomyślny, a lekkomyślność złym niekiedy bywa doradcą — powiedział do siebie i skreślił wielce suchą odpowiedź na list Molskiego.

Ten, podrażniony tonem odpowiedzi, wy stosował drugi list, wielce etykietalny, w którym z pewnym sarkazmem i goryczą przeproszał za to, że śmiał liczyć na niego w sprawie, która właściwie nie mogła go wcale obchodzić.

— Aa!... Jeszcze się obraził! No proszę! Dziwny człowiek... jakbym to ja mu się narzucał. Jak nie, to nie! Widocznie inaczej sobie poradził— powiedział Rudowski, przyszedłszy do tej niespodzianej konkluzji drogą logicznego rozumowania, że kto w ten sposób traktuje sprawę

pieniężne, niewiele przywiązuje widocznie do nich znaczenia.

I w ten sposób usunęła się pod Molskim ostatnia deska ratunku—nabył bowiem przekonania, że po otrzymaniu ostatniego listu Rudowski będzie się uważał za zwolnionego z obietnicy.

Wobec tego pozostawało mu jedynie chwycić się ostatniego środka, jaki zaproponował Badurski.

Porozumiał się też z nim prędko, i wydawszy odpowiednie dyspozycje, wręczył 300 rubli zadatku, umówiwszy się, że, w razie zerwania licytacyi lub podbicia szacunku do 400,000 rubli—otrzyma 5,000 rubli honorarium. Na sumę tę wydał odpowiedni rewers.

Badurski z razu nie chciał przystać na tak skromny zadatek.

— Ja nie sam jeden, panie dobrodzieju: za mną pójdzie jeszcze dziesięciu... każdemu potrzebuje dać dla zachęty...

— Na razie nie mogę panu dać więcej — odparł Molski;—jak wywiążesz się pan ze swego zadania pomyślnie, możesz liczyć na więcej, niż to, do czego się zobowiązał.

— Ha!... trudno... Kiedy nie można, to nie można. Może pan dobrodzieju liczyć na mnie: zrobi się wszystko, co tylko będzie w naszej mocy, żeby żydów wyprowadzić w pole i pokazać im figę — powiedział Badurski z mocnem przekonaniem, i schowawszy pieniądze do kie-

szeni, zapewnił raz jeszcze o swej gorliwości, z jaką zwykł spełniać to, czego się podjął.

Po jego wyjściu, Molski wpadł w ponurą zadumę. Myśl, że jego losy, cała przyszłość jego i ukochanej Marychny, spoczywają teraz w rękach człowieka, którego prawie nie zna, który, być może, jest zwykłym wydrwigroszem i filutem, żyjącym z wyzysku cudzego nieszczęścia—mroziła mu krew w żyłach.

A jednak nie widział już innego ratunku. Daremnie wysiłał swój umysł, do niedawna rzutny i przedsiębiorczy, pełen niespodzianych pomysłów,—nic mu nie przychodziło do głowy. Myśli stłoczone były w niej bezładnie, tworząc jakiś chaos, z którego nic wydobyć nie mógł.

Czy przyczyną tego było istotnie rozpaczliwe położenie, w którym nie widział już ratunku, czy też postęp zabójczej choroby, która go trapiła, osłabił energię umysłu,—dość, że czuł się zupełnie bezradnym, oddanym na pastwę losu, tak biednym i opuszczonym jak nigdy.

Były chwile, że zdawało mu się, iż czuje już śmierć, przymykającą jego powieki—i wówczas ogarniał go chłód przejmujący i strach niezmierny przed tą nieznaną i tajemniczą zagadką bytu, będącą nieuniknionym epilogiem wszystkich cierpień i radości ludzkich.

Porywał się wtedy z posłania, jakby chcąc uciec od złowrogiego widma, lecz wówczas powstrzymywała go, niby anioł opiekuń-

czy, jego Marychna, która nie odstępowała męża w ostatnich dniach ani na chwilę, czując sercem kochającej kobiety, że dni tych pozostało już niewiele.

Niewiele też pozostało dni i do terminu licytacji.

Zbliżał się on bardzo szybko, a współrzędnie zaczęła się budzić i uśpiona energia Molskiego.

Ogarniać go zaczęła gorączka czynu i walki.

— Trzeba działać, trzeba bronić się!—mówił do siebie, i porywał się z łóżka, chcąc iść na miasto, szukać jeszcze pomocy i rady u znajomych i u adwokatów.

Żona na to w żaden sposób zgodzić się nie chciała.

— Co chcesz zrobić, Sławku? — pytała go przerażona.

— Muszę, muszę wyjść, zobaczyć się z tym i owym...

— Nie zgodzę się na to nigdy... doktor zabronił ci wstawać z łóżka.

Uczył niecierpliwy ruch ręką.

— Co mi doktor!.. Najlepszym doktorem sam jestem. Czuję, że mi jest znacznie lepiej. Zresztą nie mogę przecież siedzieć w domu wtedy, gdy za dni parę rozstrzygnąć się ma

sprawa naszego bytu. Czyż ty tego nie pojmujesz, Marychno?

Westchnęła ciężko.

— Pojmuję... wiem jednak również — dodała smutno,— że tyle już miesięcy żyjemy w tej niepewności, a przecież...

Przerwał jej niecierpliwie:

— Ty tego nie rozumiesz, moja Marychno... czasem w ostatniej chwili może przyjść myśl szczęśliwa.

— Czy masz już taką myśl? — zagadnęła z niedowierzaniem.

— Zdaje mi się... lecz potrzebuję naradzić się z adwokatem.

— Może go wezwać?

— Otóż to, że nie tak to łatwo; chciałbym pomówić z najlepszym prawnikiem... może wypadnie i do innych się zwrócić—mówił Molski, chcąc umotywować tę gorączkę czynu, jaką był trawiony, a która ciągnęła go poza dom, do ludzi, do życia, które, miał nadzieję, wskaże mu ratunek.

Żadnej myśli, żadnego sformułowanego planu nie miał; nie chciał się jednak do tego przyznać, słusznie się obawiając, że wówczas żona oprze się całą siłą i nie pozwoli mu wyjść z domu.

— Sprowadzę ci sama którego tylko chcesz z adwokatów.

— Nie, nie!... to na nic! Muszę sam... ty tego nie rozumiesz.

— Sławku, miej litość nade mną!... Jesteś słaby, chwiejesz się na nogach.

— Ja też pojedę... wygodnie, na gumach... nie uczuję żadnego wstrząśnienia; świeże powietrze orzeźwi mnie. Muszę wyjechać.

— A więc pojedę z tobą! — zdecydowała wreszcie, widząc nieugięty upór męża.

Smutny był ich wyjazd na świat Boży!

Molska, cała drżąca, przejęta niewypowiedzianą obawą, podtrzymywała męża, który, siedząc już w dorożce, chwiał się, nie mogąc utrzymać się w prostej pozycji.

Widok miasta pulsującego życiem i rozbawionego, przechodniów ożywionych, uśmiechniętych, goniących za rozrywką, kobiet strojnych, pełnych wabiącej kokieterii, zgiełk wreszcie uliczny — wszystko to razem wydało się jej urąganiem wobec ich nieszczęścia. Wielkim wysiłkiem woli powstrzymywała łzy, cisnące się do oczu, i przyciskała do siebie prawą ręką męża, jakby obawiając się, żeby nie wypadł z dorożki.

Ludzie spoglądali na nich z podziwieniem, a niektórzy z współczuciem i litością — tak się przynajmniej zdawało Molskiej. Nie było nic w tem dziwnego. Widok Molskiego, będącego cieniem tylko człowieka, mógł obudzić żal ludzką. Podobnym był bowiem do trupa, który

ożył nagle i wodził błędnymi oczyma wokoło siebie

— Lepszych chowają! — usłyszała Molska niedyskretne zdanie, wygłoszone niewątpliwie pod adresem jej męża, w chwili, gdy dorożka musiała się nagle zatrzymać na skrawku ulicy.

Usłyszawszy to, Molska drgnęła, a serce jej ścisnęło się boleśnie.

Spojrzała gniewnym wzrokiem na przechodnia, lecz ten nie zauważył jej spojrzenia i poszedł dalej, śmiejąc się do swej towarzyszki.

— Jakże ludzie są bezlitośni i okrutni! — pomyślała.

Odetchnęła, gdy dorożka zatrzymała się wreszcie przed domem, gdzie mieszkał jeden z bardzo wziętych prawników.

Długo musieli czekać na audyencyę w dusznej poczekalni, napełnionej tłumem interesantów. Wreszcie, po upływie godziny, dopuszczono ich przed oblicze znakomitości.

W krótkich słowach, nader treściwie, opowiedział Molski sprawę, dla której tu przybył.

— Hm!... hm! — mruknął znacząco adwokat.

— Co pan mecenas radzi?

— Najlepiej byłoby znaleźć życzliwego kapitalistę, któryby w pańskim imieniu stanął do licytacji, a właściwie nie w pańskim, a w imieniu małżonki... to będzie bezpieczniej — dodał znacząco.

Molski pochylił głowę bezradnie i rzekł:

— Teraz trudno o pieniądze... próbowałem.

— Hm!... zapewne, wiem o tem dobrze... rynek pieniężny przechodzi ciężkie przesilenie...

— Bardzo ciężkie! — westchnął Molski.

— A jednak gdyby pan dobrodziej wcześniej był do mnie się zgłosił, możeby się i dało kogoś wyszukać. Dziś za późno! — powiedział i rozkrzyżował ręce.

— Więc niema żadnej rady?

— Tegom nie powiedział; owszem, jest wiele sposobów... przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, czy poza długami hipotecznymi ma pan jeszcze inne zobowiązania pieniężne?

— Mam — odparł Molski głosem cichym.

— Na jaką sumę?

— Na razie trudno mi określić...

— Aa!... w takim razie winno nam chodzić przedewszystkiem o utrzymanie jak najdłużej dochodów z domu; dochód to bardzo znaczny, bo przynoszący 40,000 rubli; na to zaś jest niezawodny sposób: zwalenie licytacji, a wówczas jakie pół roku, a nawet rok można być spokojnym; przez ten czas zaś uda się może dostać pożyczkę, albo znaleźć kupca na dom i sprzedać z wolnej ręki.

— Zapewne, byłoby tak najlepiej.

— Otóż to! oceniłem właściwie sytuację. Zanim jednak ostatecznie będę mógł coś porządzić, wprzód muszę przejrzeć całą procedurę wystawienia domu na licytację: może się tam

znajdzie jakieś maleńkie uchybienie, jakaś drobnostka, jakieś przeoczenie, jakieś nic, które jednak z punktu formalistyki prawnej może nam dać punkt do zahaczenia i odroczenia licytacji. Dlatego więc poproszę szanownego pana o pofatygowanie się do mnie za dni kilka, a przez ten czas rozejrzę się w aktach.

— Kilka dni?... Ależ, panie mecenasie... termin licytacji przypada w poniedziałek—przypomniał Molski.

— W poniedziałek?... Ach, prawda! wszakże pan o tem mówił na samym wstępie. W poniedziałek, to znaczy za trzy dni... dziś mamy czwartek. Mało czasu, bardzo mało... mam tyle pilnych spraw na głowie...

— Możeby jednak się dało?—odezwał się Molski tonem nieśmiałym i niemal błagalnym.

-- Prosimy o to bardzo!—dodała od siebie Molska i słowa te poparła łzawem wejrzeniem.

— Będę niezmiernie zobowiązany—powiedział jeszcze Molski.

— A więc dobrze, postaram się, i poproszę państwa na jutro w godzinach wieczornych, gdy załatwię interesantów — powiedział pan mecenas i powstał z miejsca, dając tem poznać, że audyencya została skończoną.

Na drugi dzień Molski był tak osłabiony, że o powtórnej wizycie u adwokata nie mogło być mowy. Pojechała więc Molska sama.

Adwokat przyjął ją z wyszukaną grzechnością i na samym wstępie zapytał:

— A mąż?

— Niestety! mąż przyjechać nie mógł: czuje się dziś więcej osłabiony; mam jednak nadzieję, że gdy mu przywiozę dobrą wiadomość...

Adwokat rozkrzyżował i opuścił bezradnie ręce.

— Żal mi, lecz nic pomyślnego powiedzieć nie mogę: przeglądałem najważniejsze akta, ogłoszenia w pismach, wezwania i publikacje, lecz znalazłem wszystko w zupełnym porządku... Ani jednego uchybienia, żadnego haczyka, żadnej chropowatości, o którą możnaby zaczepić protest.

Usłyszawszy to, Molska zbladła, nogi się pod nią zachwiały... aż musiała się oprzeć obiema rękami o biurko, żeby nie upaść.

Szła tu z zupełną otuchą, że znakomity adwokat znajdzie przecież sposób przeciwko wyzuciu ich z majątku, że potrafi sparaliżować zakusy żydowskie, że otoczy ich opieką prawną, przy pomocy której nikt nie zdoła wydrzeć im własności. Była tego niemal pewną—i nagle te kilka słów odebrały jej całą nadzieję.

Struchlała na myśl, co się stanie z mężem, gdy przyniesie mu tę wiadomość... a w cudnych jej oczach, pełnych niewymownego smutku, zabłyśły łzy.

Adwokat je dostrzegł i, tknięty widać współczuciem, zbliżył się, i wzięwszy ją za obydwie ręce, doprowadził do fotela, i usadziwszy, powiedział:

— Niech pani będzie łaskawa uspokoić się i być dobrej myśli... Nic jeszcze niema straconego... jest tylko małe utrudnienie, zmuszające do szukania innego środka zaradczego. W praktyce obrończej to rzecz zwyczajna: nie uda się jedno, może się udać drugie...

Spojrzała na niego z wdzięcznością, lecz i z niedowierzaniem zarazem.

— Pan mecenas jednak mówił...

— Tak, mówiłem, że żadnego uchybienia ze strony przeciwnej nie znalazłem, czyli, że o niedopuszczeniu do licytacji myśleć nie można... odbyć się ona musi. Teraz więc następuje inny dylemat: trzeba albo wejść w kompromis z wierzycielami, co jest rzeczą wykluczoną, albo... mąż pani wspominał o podstawionych licytantach... środek to dobry i wypróbowany; nie można jednak liczyć na jednego... musi być ich kilku, którzyby wzajemnie się wspierali. Podobno mąż pani ma już takich... Moje stanowisko nie pozwala wprawdzie na doradzanie środków obrony, niezgodnych z duchem i literą prawa, lecz... gdy jest *periculum in mora* i gdy trzeba walczyć z przewrotnością i wyzyskiem żydowskim... to trudno.

— Więc pan mecenas radzi?...

— Działać. Ja ze swej strony w dniu licytacji znajdę się w sali sądowej... moja obecność może się przydać; potrzebuję jednak mieć formalną plenipotencję do działania w razie, gdy nastęrczy się ku temu przyjazna sposobność. Często sam proces licytacyjny daje wyborny materiał do obrony. Dziś jeszcze każę przygotować plenipotencję i przyślę ją małżonkowi pani do podpisu... a tymczasem proszę być dobrej myśli i uspokoić męża. Nie należy się martwić przedwcześnie.

Zostawiwszy adwokatowi 100 rubli, jako tymczasowe honorarium, i to z pieniędzy, otrzymanych ze sprzedaży kosztownego pierścienia, będącego rodzinną pamiątką po dziadku jej męża—powróciła do domu.

Z relacji otrzymanej Molski, zdawało się, był bardzo zadowolony. Wypytywał żonę o najdrobniejsze szczegóły rozmowy, kazał po kilka razy powtarzać każdy niemal wyraz, powiedziany przez adwokata—jakby do każdego z tych wyrazów przywiązywał szczególne znaczenie—i dlatego wciąż pytał:

— Czy tylko tak powiedział?

— Ależ tak.

— Czy aby dobrze pamiętasz, mój aniołku?

— Ależ tak, co do słowa... mówiłam już—odparła w końcu z pewnem zniecierpliwieniem i zaniepokojeniem zarazem.

Mąż jej wydał się jakiś dziwny, jakim go

jeszcze przedtem nigdy nie widziała. Zdawał się być po prostu wielce zadowolony, szczęśliwy niemal, słysząc to, co mówiła żona. Wreszcie powiedział:

— Tak, to doskonały adwokat; jestem teraz zupełnie spokojny!

Powiedział to tonem tak niezwykłym i tak jakoś dziwnie się uśmiechał, a oczy miały wyraz tak szczególny, że Molska, wylekniona, wzięła go za rękę, chcąc się przekonać, czy nie ma gorączki.

Miał ją istotnie. Ręce były rozpalone, a i twarz, na której wystąpiły purpurowe rumieńce, pałała.

— Sławku!... Tobie gorzej! — zawołała z przerażeniem.

— Nie, nie!.. cóż znowu! Cóżby się mogło stać przy tobie?.. przecież ciągle byłaś przy mnie.

— Przy tobie? Wszakże jeździłam do adwokata!—powiedziała, patrząc nań wzrokiem przerażonym.

— Aa... prawda! wybacz mi, aniołku! zapomniałem... taki jestem jakiś senny... — powiedział i przymknął powieki—tak mi dobrze, jak jesteś przy mnie—dodał już szeptem, a jednocześnie ręka, w której trzymał dłoń żony, kurczowo się zacisnęła.

— Boże!... On kona! — przemknęła myśl straszna przez głowę biednej kobiety.

Nie było to jednak konanie, lecz wielkie

wyczerpanie duchowe i gorączkowy stan, który się zwiększył skutkiem wczorajszej wycieczki.

Tak oświadczył doktor, po którego natychmiast posłano, a zapisawszy jakieś krople na zmniejszenie gorączki, uspokoił Molską, że nic groźnego niema.

Spojrzała nań z gniewem prawie, pomyślawszy:

— I ten również... każe mi być spokojną... Jak im to łatwo mówić!

Była również tak zgorączkowaną, że ani oka zmrużyć nie mogła; całą też noc spędziła bezsennie, czuwając przy mężu i wyteżając trwoniem słuch, gdy się poruszył, lub gdy oddech jego stawał się przyśpieszony.

Nad ranem dopiero zmogło ją wyczerpanie i usnęła, siedząc w fotelu.

W dniu licytacji schody i przedsionek w gmachu sądowym były zatłoczone żydoństwem, które zwartą masą otoczyło zamknięte jeszcze drzwi i niecierpliwie czekało na ich otwarcie.

Przedostać się przez tę stłoczoną masę ciał ludzkich nie było sposobu. Ile razy ktośkolwiek, nienależący do zsolidaryzowanego grona licytantów, usiłował to uczynić, tłum zwierzał się całą masą, tworząc nieprzebytą zaporę.

Ramię przy ramieniu, ręka w rękę, brudna ta hałastra, zziajana od nieustannych wysiłków i spocona, bronila zawzięcie zajętej pozycji. Panował tu ten charakterystyczny rozgwar zgorączkowanego tłumu, podnieconego oczekiwaniem i instynktowo tłoczącego się coraz mocniej, jakby czując, że w zwartej masie staje się silniejszym i pewniejszym siebie.

Skutkiem tego ocierania się o siebie ciał ludzkich powietrze było nie do zniesienia: wyziewy potu i właściwego żydom niechlujstwa sprawiały, że nie można było wprost oddychać. Lepiej jeszcze było tym, co mówiali wzrostem nad kołyszącą się masą głów ludzkich—ci bowiem mieli przynajmniej przed sobą wolną przestrzeń,—gdy tymczasem niżsi wzrostem musieli bezpośrednio wdychać ciężkie wyziewy, przesycone potem, zapachem starego tłuszczu, cebuli i innych pozostałości kuchni żydowskiej.

Niekiedy przez ten zwarty tłum przeciskał się woźny i wówczas morze kędzierzawych głów ludzkich kołysało się mocniej, a rozgwar potęgował się krzykami tych, którym deptano po nogach i gnieciono.

Nagle przed tłumem pojawiła się barczysta figura Badurskiego, z poza której wyłaniały się głowy jego towarzyszków. Stanowili oni „sztab“ słomianego licytanta.

Pojawienie się Badurskiego na scenie wywołało spotęgowany rozgwar.

Z pośród tłumu zaczęły się wydobywać okrzyki powitalne:

— Aj, aj!... pan Badurski! wielki pan, bogaty pan!

— Gruby magnat!... Wielki kamienicznik! Prawdziwy „puryc!“

— Taki wielki, że on nie może dotąd znaleźć tak samo wielkiej kamienicy!

— To też on szuka...

— A może on już znalazł?

— Ty sobie nie żartuj!... Patrz, jaki on dziś gruby jest... on ma za podszewką wielki kapitał..

— Oj, oj!... może sto rubli, może cały milion!

Badurski słuchał tych drwin z razu z niewzruszonym spokojem, gdy wszakże ten i ów zanadto do niego się przysuwał i zbyt blisko wygłaszał swoje uwagi, krzyknął głosem stentorowym:

— Cicho, żydy! szachraje!

Odpowiedział mu na to głośny śmiech rozbawionego żydostwa.

W tejże samej chwili otworzyły się główne drzwi, skutkiem czego zapomniano wnet o Badurskim, gdyż cały tłum zwartą masą posunął się na przód.

Tu dopiero silne pięście i rozrosłe barki Badurskiego i jego towarzyszków pokazały, co umiały—odezwały się bowiem krzyki:

— Niech się pan tak nie pcha!.. tu nie jest las, tu są ludzie!

— Pan mi możesz złamać rękę!...

— To rozbójnik! On mi przetrącił całe plecy!...

Na te krzyki Badurski nie zważał i całą siłą pchał się na przód, aż wreszcie dopiął swego, gdyż wysunął się na czoło tłumu.

Dopiero wtedy obejrzał się za siebie, szukając wzrokiem swoich towarzyszków, którzy nie zdołali podążyć za nim, i począł im dawać nieme znaki i sygnały, wskazując miejsca, gdzie mieli się zatrzymać.

Chodziło bowiem o rozstawienie ich po sali w ten sposób, żeby każdy z nich mógł uchodzić za samoistnie działającego licytanta.

Gdy już wszyscy zajęli odpowiednie pozycje strategiczne, tłum zziąjany, spocony, odetchnął i uczyniła się względna cisza, przerywana niekiedy głośnym westchnieniem bardziej zdławionej w tłoku piersi ludzkiej.

W ciszy tej jednak, pełnej niepokojącego oczekiwania, odbywała się rozmowa spojrzeń, krzyżujących się we wszystkie strony, badawczych, podejrzliwych, wikłających się w drodze i odskakujących od siebie, żeby zmieniać nagle kierunek, lub też melancholijnie wieszających się sufitu i błakających się po jego ozdobach w głębokim zamyśleniu.

Upłynęło tak kilkanaście minut, aż wreszcie

pojawił się za kratą woźni, potem przeszedł prędko komisarz sądowy i zniknął za drzwiami, za nim wyjrzała przez wpółotwarte drzwi jakaś głowa, następnie starszy woźny przyniósł plik papierów i złożył je na stole—słowem, uczynił się małeńki ruch, poprzedzający zwykle pojawienie się przedstawiciela i kierownika głównej akcji.

Morze czarnych i rudych głów zakołysało się i, zwarłszy się mocniej, stanęło nieruchome...

Upłynęło jeszcze kilkanaście sekund i rozpoczął się ważny akt procedury prawnej.

Wstępne formalności zostały szybko załatwione; urzędnik sądowy, prowadzący licytację, wymienił głośno numer hipoteczny nieruchomości, ulicę, na której się ona znajdowała, i nazwisko właściciela.

Nikt tego nie słuchał, gdyż każdy dobrze wiedział, że tylko ta a nie inna nieruchomość miała być licytowana.

Wysłuchano natomiast z uwagą cyfry szacunku, od której miała rozpocząć się licytacja.

— Ile? ile?—odezwało się kilka głosów.

— 90,000 rubli!—powtórzył głośno urzędnik sądowy.

Ten względnie bardzo niski szacunek nieruchomości, której wartość była prawie pięćkrotnie większą, zawarunkowany był w hipotece przez głównego wierzyciela, w osobie pana Arona Grünbauma.

Ten i ów cmoknął ustami na myśl, jaki to brylantowy mógłby być interes, gdyby nikt inny, tylko on sam stawał do licytacji—wówczas bowiem dorzucenie kilku rubli wystarczało, żeby stać się właścicielem tak pięknej nieruchomości.

Były to jednak czcze marzenia, albowiem w tej chwili wysunęli się, nie wiadomo skąd, panowie Aron Grünbaum i Dawid Liebkind i stanęli w pierwszym szeregu, zdala jednak od siebie.

Liebkind spojrział na Grünbauma i uśmiechnął się złośliwym i zagadkowym uśmiechem. Grünbaum na ten uśmiech odpowiedział pewnym siebie, pogardliwym spojrzeniem.

— Co to jest?... Oni się kłócą, oni się będą licytować!—szepnął ktoś do swego sąsiada.

— Ty się nie bój! Oni udają tylko wrogów, oni się pogodzą zaraz po licytacji.

— No... może być!... prędko to zobaczymy, bardzo prędko.

Tymczasem licytacja rozpoczęła się na dobre: setki i tysiące rubli narastały prędko. Pierwotna suma szacunku doszła już do 120,000 rubli.

Grünbaum nie przyjmował dotąd żadnego udziału w podbijaniu sumy, pozostawiając „puste słowa,” jak mówił, swoim ludziom.

— Oni też potrzebują mieć trochę przy-

jemności, myśląc przez jedną godzinę, że mają taki duży kapitał. Niech oni się bawią...

Bawił się szczególnie jakiś obdarty, o jowialnej, uśmiechniętej fizyognomii żydek, który z wielkim impetem wyrzucał z gardła co parę minut po setce rubli.

— 121,000 rubli!—wołał komisarz sądowy.

— I sto!—dorzucał żydek.

— 121,500 rubli!—krzyczał Badurski głosem pewnym.

— Sto dwadzieścia dwa!—rzucił ktoś z tłumu, patrząc wyzywająco na swoich sąsiadów.

— I sto!...

— Co ty tak tracisz pieniądze, Abram?—żartował ktoś z niego.

— Dlaczego on nie ma tracić, jak on ma... język?—powiedział ktoś drugi.

W ten sposób, żartując i przekomarzając się, podbijano powoli sumę, dorzucając po 50, 100, a najwięcej po 500 rubli.

Zniecierpliwiło to widocznie Liebkinda, który dotąd, podobnie jak Grünbaum, nie przyjmował żadnego udziału w licytacji, gdyż niespodzianie krzyknął:

— I dziesięć tysięcy!...

Wywołało to odpowiednie wrażenie. Uczyniła się chwilowa cisza, wszyscy bowiem zrozumieli, że nastąpił właściwy moment, który nada inny bieg licytacji.

— Dotąd była zabawa, a teraz będzie interes!—ktoś się odezwał.

— I pięćset!—dorzucił znów Badurski.

— 132,500 rubli!—wygłosił komisarz.

Grünbaum nieznacznie przysunął się do Badurskiego i spojrzał nań znacząco. Ten jednak odwrócił się do Grünbauma plecami, z wyrazem pogardliwego lekceważenia.

Nie uszło to uwagi otaczających, gdyż ktoś się odezwał prawie głośno:

— Pan Badurski nie chce wcale gadać z Grünbaumem.

— No! po co on ma gadać z nim, kiedy on potrzebuje gadać i kłócić się z samym komisarzem—powiedział Icek Suchy, ex-administrator w domu Molskiego, przyjmujący również udział w podbijaniu sumy.

W ten sposób szło coraz wyżej; tłum „statystów,” dotąd dość obojętny względem tej przedwstępnej utarczki licytacyjnej, zaczął się gorączkować, ulegając mimowoli namiętności hazardu, jaki niewątpliwie tkwił w tej walce o gruby zysk między takimi potentatami, jak panowie Grünbaum i Liebkind.

Wszyscy wiedzieli z góry, że oni tylko są bezpośrednio i najwięcej tu interesowani i że jeden z nich uleść musi—który? w tem właśnie leżało całe zaciekawienie tłumu.

Kto wygra, będzie mądrzejszy. A kto mądrzejszy, ten bogatszy.

Jak jeden tak i drugi mieli swoich zwolenników i życzliwych—dlatego też cała ta hałastra zaczęła się dzielić, w miarę postępu licytacji, na dwa obozy, wrogie względem siebie i wzajemnie sobie urągające.

Tymczasem suma rosła, a z nią i zgorączkowanie tłumu, podobnie jak to daje się zauważać na torze wyścigowym, gdy konie zaczynają wyteżać swoje siły, podniecane ostrogami i szpicrutą dzokiejów. I ta tylko była tu różnica, że zbliżający się moment finisch'u nie powodował większego rozgwaru i dzikich okrzyków, lecz wielkie skupienie i ciszę, wśród której poważnie i uroczyście brzmiały wywoływania komisarza:

— Sto ośmdziesiąt tysięcy!...

— I sto...

— Sto ośmdziesiąt tysięcy i sto!...

— Sto ośmdziesiąt pięć tysięcy! — krzyczał Badurski.

— Panie Badurski!... policz pan swoje pieniądze!... Sięgnij do kapoty! — dał się słyszeć głos drwiący.

— I sto...

— Sto dziewięćdziesiąt tysięcy! — zawołał znów, po dłuższej przerwie, pan Liebkind.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego; on zaś, udając wielką obojętność, bawił się od niechcienia mnóstwem breloków, wiszących przy łańcuchu od zegarka.

W tej chwili do Liebkinda zbliżył się Icek Suchy i powiedział mu szeptem:

— Panie Liebkind, pan Grünbaum chce panu parę słów powiedzieć.

— Co on ma do powiedzenia?

— On chce z panem porozmawiać, on bardzo prosił.

— On miał czas do gadania przed licytacją, a teraz trzeba patrzeć i słuchać.

— Ja panu coś powiem — nalegał Icek Suchy.

— Co ty możesz mnie powiedzieć?... Jeśli ja nie chcę słuchać Grünbauma, to tem bardziej i ciebie...

— Grünbaum kazał powiedzieć...

— No, mów, ale prędko!

— Dziesięć tysięcy...

— Ja już to słyszałem pięć tygodni temu.

— Dwanaście...

— Była o tem mowa cztery tygodnie...

— Całe trzynaście i pół — licytował Icek Suchy, roznamietniając się.

— Sto dziewięćdziesiąt pięć tysięcy! — wygłosił komisarz.

— I tysiąc! — dorzucił Liebkind.

— Sto dziewięćdziesiąt sześć tysięcy! — powiedział komisarz.

Zapanowała chwila ciszy, poczem komisarz znów wygłosił:

— Sto dziewięćdziesiąt sześć!...

— Ty słyszałeś?—zwrócił się Liebkind do Suchego.

— Ja słyszę—odparł ten szeptem, poczem dodał z naciskiem:—czternaście tysięcy...

— Nie chcę...

— Kiedy nie, to nie!—bąknął Suchy i odszedł.

— Sto dziewięćdziesiąt sześć tysięcy! po raz pierwszy!

— I sto!...

— I pięćset!—krzyknął Badurski.

— Sto dziewięćdziesiąt sześć tysięcy sześćset!—zsumował komisarz.

Grünbaum zaniepokoił się i szepnął kilka słów do Icka Suchego, który natomiast zwrócił się do bliżej stojących żydów i wydał im jakieś polecenie.

— Sza, sza!—przemknęło po tłumie, gdyż każdy z zauszników Grünbauma chciał pochwycić w lot nową dyspozycję.

Od chwili otrzymania tego polecenia gorączka licytacyjna zaczęła, zdawało się, słabnąć, gdyż zamiast setek i tysięcy rubli dorzucano po pięć i dziesięć zaledwie.

Badurski też zwolnił biegu; umilkł nawet i żydek, który z takim impetem wygłaszał dotąd: „I sto!“

Wówczas Grünbaum we własnej osobie raczył podejść do swego zawziętego rywala,

z którym, pomimo uprzednio zawartej zgody, nie mógł dojść do ładu.

— No!... będzie z nami zgoda, Liebkind?

— Trzydzieści tysięcy — odparł krótko Liebkind, spojrzawszy na Grünbauma przez ramię.

— Aj, aj!... Jak ty dużo chcesz zarobić!... jakby sam Rotszyld.

— Ty jeszcze więcej zarobisz, jak kupisz dom...

— No, to jeszcze nie wiadomo... trzydziestu tysięcy ja nie dam, bo między nami była inna zgoda...

— Więc czego ty, Grünbaum, chcesz?

— Ja chcę, żeby ten Badurski nam nie przeszkadzał... on tak galopuje, jak wściekły koń.

— No, to co?

— Jemu nie można pozwolić... on nas wpędzi wysoko, on popsuje cały interes.

— No, to co?

— Jakto co? Ty nie wiesz? I dla ciebie i dla mnie to duża strata.

— Ja mogę i stracić — odparł Liebkind z wielkiem lekceważeniem,—ale ja stracę mniej, aniżeli ty.

— Po co my obydwaj mamy tracić? My możemy między sobą się kłócić, możemy prowadzić wojnę... na to jest interes i kombinacja handlowa... ale po co z naszej kłótni ma korzystać obcy?... Gdyby to jeszcze między żydami

zostało, ale na tem zarobi taki chytry goj, Molski, któremu niepotrzebne już są pieniądze — dodał znacząco.

— Dlaczego? Czy on już nie żyje?

— On jeszcze nie umarł, ale on musi umrzeć... nie dziś, to za kilka dni... ja to słyszałem od doktora. A kiedy on umrze, to dlaczego który z nas nie ma wziąć po nim sukcesyi?

— Hm, hm!

— Ale nie trzeba pozwolić, żeby taki gałgan Badurski psuł nam interes, i dlatego ja proponuję ci, Dawid, żebyś ty nie przeszkadzał jego odsadzić i wyrzucić stąd.

— Jak ty możesz go wyrzucić?

— Jego trzeba *puścić!*... jak on jeszcze raz krzyknie: „i pięćset!“ to my potrzebujemy być cicho i powiemy naszym faktorom: „sza!“ Niech on sobie kupi— dodał i rozśmiał się rozkosznie.

Liebkind uśmiechnął się również, lecz nie zaraz odpowiedział.

— No? — nalegał Grünbaum.

— Trzydzieści tysięcy...

Grünbaum uczynił gest zniecierpliwienia.

— Ty, Dawid, gadasz jak zielona papuga... ty o innych cyfrach straciłeś już pamięć... trzydzieści, trzydzieści...

— Mniej nie mogę.

— No... my jeszcze i później możemy się zgodzić; my mamy jeszcze czas gadać, jak Ba-

durskiego wezmą stąd do kozy... i na to tylko niech będzie między nami zgoda.

— Niech będzie!—zdecydował się w końcu pan Liebkind.

— Ty jesteś mądry, Liebkind, i ja ci za to dziękuję; ty nie będziesz żałować, że z Grünbaumem zrobiłeś zgodę — powiedział i odszedł.

Łicytacja znów się ożywiła: komisarz wygłosił już ostatnio postąpioną sumę: sto dziewięćdziesiąt siedm tysięcy.

— Po raz pierwszy! — powtórzył przeciągle. Nikt już nie podbijał.

— Po raz drugi!...

— I sto!...

— I dwieście!—zawołał Grünbaum, podnosząc rękę do góry.

— I pięćset — krzyknął Badurski.

— Sto dziewięćdziesiąt siedm tysięcy ośmset!—zsumował komisarz.

Powtórzył tę sumę kilkakrotnie, czyniąc za każdym razem dłuższą pauzę i wodząc wzrokiem po zgromadzeniu, które jednak pozostało tym razem obojętne.

— Po raz pierwszy!...

Milczenie.

— Nikt nie daje więcej?... Sto dziewięćdziesiąt siedm tysięcy ośmset!... po raz pierwszy!—powtórzył raz jeszcze, rozciągając sylaby.

Ani jeden głos wszakże nie przerwał ciszy, panującej w sali.

— Sto dziewięćdziesiąt siedm tysięcy ośmset po raz!...

W tej chwili do Badurskiego podsunął się nieznacznie Grünbaum, i to tak blisko, że otarł się o niego, a jednocześnie Badurski okazał wyraźne zaniepokojenie; tymczasem komisarz dokończył zdanie:

— ... Po raz drugi!

Powtórzył to jeszcze trzykrotnie, głosem wielce uroczystym, rozciągając sylaby i za każdym razem wygłaszając cyfrę ostatniego szacunku, aż wreszcie zwrócił się raz jeszcze do zgromadzonej publiczności i głosem rozpaczliwym niemal, w którym dźwięczała zarazem smętna nuta rezygnacyi—zapytał:

— Nikt nie daje więcej?

Grobowe milczenie zalegało salę.

Wówczas komisarz, wyteżywszy, zdawało się, ostatek sił, wygłosił raz jeszcze głosem wielkim:

— Sto dziewięćdziesiąt siedm tysięcy ośmset!... po raz drugi!... Nikt nie daje więcej?

I to wezwanie jednak pozostało bez odpowiedzi.

Wówczas urzędnik sądowy, straciwszy widocznie ostatnią nadzieję, otworzył szeroko usta i, przez czas dłuższy pokazując publiczności poszczerbione i spróchniałe zęby, zawołał wreszcie:

— I... po...

Tu głos na kilka sekund zawiesił, poczem dokończył szeptem prawie:

— ... Trzeci!

Naraz uczynił się wielki rozgwar w sali. Zdawało się, że do środka tłumu wdarła się jakaś niewidzialna siła, która nim poruszyła gwałtownie i zakołysała, popychając całą mocą w kierunku balustrady, odgradzającej stół sędziowski od publiczności.

Każdego pchała tu nadzwyczajna ciekawość zobaczenia Badurskiego, który „po przybiciu“ stawał się prawym właścicielem olbrzymiej posesyi, przedstawiającej wartość najmniej czterech-kroć sto tysięcy rubli.

Nie jeden westchnął mocno i oblizał się na myśl, jaki to mógłby być brylantowy interes, gdyby Badurski miał istotnie pieniądze na kupno domu. Wiedzano jednak, że pieniędzy tych nie ma, że był tylko słomianym licytantom i że „fajfrował“ na rzecz Molskiego.

Jednocześnie też w tłumie odezwały się drwiny i okrzyki:

— Aj, aj!... pan Badurski wielki bogacz, wielki pan!... Wielki kamieniczny obywatel!...

— Pan Badurski wielki „geszeftman,“ bardzo mądra głowa jest!...

— Ona tak mądra jest, że ona potrzebować będzie pójść do kozy, pod klucz, żeby z niej rozumu nie ukradli!

— On pokazał wielką figę naszym żydkom!...

— On jest wielki antysemitnik!...

— Taki „słomiany“ antysemitnik!...

Nie było końca tym drwinom, a hałas stał się tak wielki, że stłumił zupełnie jękliwy krzyk kobiecy w końcu sali—i tylko bliżej stojący odwrócili głowę i zobaczyli jakąś mdlejącą młodą kobietę, wytwornie ubraną.

— Co to jest? — ktoś zapytał.

— Kto to jest?...

— To jest żona Mołskiego—dał się słyszeć głos wśród grupy osób bliżej stojących.

Znalazł się wreszcie w tym tłumie żydostwa jakiś rzemieślnik, który pośpieszył Mołskiej z pomocą i wyprowadził ją z sali.

Tymczasem bliżej balustrady odbywała się inna scena, która wywołała niesłychane zdumienie publiczności.

Oto bowiem Badurski, otoczony zwartem kołem żydów, popychany, szturchany, wystawiony na śmiech i drwiny otoczenia, wyzwoił się nagle silnym ruchem swych potężnych ramion z pośród tej hałastry i sięgnął do kieszeni.

Urządник sądowy, prowadzący licytację, mając słuszne podejrzenia, że Badurski jest słomianym licytantem, o czym zresztą w sądzie od dawna już wiedziano, skinął na woźnych sądowych, którzy, posłuszni temu skinieniu, ruszyli ku Badurskiemu.

Wówczas urzędnik zwrócił się do niego, mówiąc surowo:

— Przy licytacji utrzymałeś się pan... a gdzie są pieniądze?

— Oto są! — odparł Badurski głosem na pozór spokojnym, w którym wszakże drżała nuta jakiegoś lęku i onieśmienia.

Obejrzał się też trwożliwie wkoło siebie, jakby bojąc się, żeby mu kto nie wydarł jego kapitałów—i dopiero wtedy odwinął poły i dobył z bocznej kieszeni dość grubą paczkę.

W jej kierunku z setek przynajmniej par oczu strzeliły ciekawe spojrzenia, a jednocześnie żydzi, bliżej stojący, okazali wyraźne zaniepokojenie, które, w miarę tego, jak Badurski rozwijał paczkę, zaczęło się zmieniać w gniewny pomruk, rosnący z każdą chwilą.

— Co to jest?... Co to jest?...

— Skąd on ma pieniądze?

— On kogo musiał zabić!...

— To nieczysty interes!...

— To bardzo nieczysty interes!...

— Sza!... sza! — odezwał się nagle Grünbaum, który jeden tylko potrafił zachować spokój i powagę.

Natomiast z oczu Liebkinda strzelały błyskawice gniewu.

W tym samym czasie pokazał się w sali, poza balustradą, znakomity adwokat cywilista, który przyobiegał swą pomoc Molskiemu. Zbli-

żył się on do urzędnika sądowego, prowadzącego licytację, zamienił z nim kilka słów półgłosem, poczem, zadowolony widocznie z otrzymanej informacji, natychmiast wyszedł.

Badurski tymczasem wyliczał sumę wymagalną w pięćset i sturublowych banknotach.

W sali powstał zgielk i hałas. Prawdziwy zaś lament podnieśli wierzyciele z pośród żydów, których sumy spadły z hipoteki.

Sum takich było na ogół około stu tysięcy — w ostatnich bowiem tygodniach przed licytacją zgłosili swe pretensje wierzyciele wekslowi, wchodząc z odpowiednim ostrzeżeniem do hipoteki.

Krzyczeli też oni teraz na cały głos, dowodząc, że licytacja nie była prawidłową, że założą rekurs i t. p.

— Owszem... każdemu służy prawo... i o ile pretensje będą uzasadnione, dowiedzione i udowodnione, wówczas może nastąpić powtórna licytacja; tymczasem jednak ostatni nabywca jest prawnym właścicielem sprzedanej nieruchomości — oświadczył urzędnik sądowy.

Oświadczenie to jednak nie uspokoiło malkontentów, gdyż długo jeszcze tłum wzburzonyapełniał salę, hałasując, aż wreszcie zmuszony był przez woźnych do ustąpienia.

Skąd Badurski rozporządzał tak znaczną gotówką — pozostało to przez pewien czas tajemniczą zagadką, której znaczenia domyślał się tylko

Liebkind, zrozumiawszy, ponieważ, że i tym razem udało się Grünbaumowi go „oszukać,” i to w sposób tak naiwny...

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Grünbaum był w porozumieniu z Badurskim, że musiał go podkupić i przeciągnąć na swoją stronę.

Tym tylko sposobem można było wytłumaczyć starania Grünbauma, żeby Badurskiemu zostawiono na licytacji ostatnie słowo, rzekomo w celu „odsadzenia“ go.

I tak było istotnie; jak się okazało bowiem później, Grünbaum kupił Badurskiego.

— I on, Liebkind, dał się wziąć na taki kawał! — piorunował w myśli pan Dawid, nie mogąc sobie darować odniesionej porażki.

Grünbaum zaś tryumfował, miał bowiem w kieszeni z góry przygotowany akt, sporządzony najformalniej, w którym Badurski zrzekał się praw własności na rzecz Grünbauma — i dlatego to w ostatniej chwili podsunął Badurskiemu paczkę z pieniędzmi, wystarczającymi do wniesienia sumy wymagalnej.

Kawał ten przygotowany był w wielkiej tajemnicy, tak, że nawet najbliżsi zauszniczy Grünbauma niczego się nie domyślali.

I dopiero później, gdy się rzecz wyjaśniła, żydzi nie posiadali się z zachwyty nad jego sprytem i mądrością, mówiąc:

— To wielki geszeftman ten Grünbaum, on takiego jak Liebkind mógł oszukać!

O tej jego mądrości i wyniku licytacji Molski już się nie miał dowiedzieć...

W wigilię dnia, w którym miała się odbyć licytacja, stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. Wpłynąć na to musiało niewątpliwie wielkie zdenerwowanie i niepokój, w jakim przebywał, drżąc o wynik licytacji.

Gdy nadszedł jej termin, miotał się niespokojnie na łóżku i pasował się ze sobą, żeby skupić resztkę sił i jechać do sądu.

Za każdym jednak razem głowa opadała mu na poduszki i brak mu było już tchu. Przytomność jednak miał zupełną i dlatego odczuwał w całej pełni grozę swego położenia. W oczach też jego malowała się tak beznadziejna rozpacz, że Molska nie miała już mocy panować nad sobą, i przypadłszy głową do jego wyschłej piersi, zalała się łzami.

Serce jej rwało się z bólu i żalości tak wielkiej, że wzdychała do śmierci jak do wyzwolenia i błagała Boga, żeby nie dał jej przeżyć nieszczęść, które ją czekały.

W tem przedśmiertnem zespoleniu dwóch dusz zboliałych i cierpiących trwali czas jakiś, aż wreszcie Molski odsunął łagodnie jej głowę, i nerwowo przebierając drżącymi, wychudłymi palcami w jej włosach, odezwał się głosem błagalnym:

— Marychno!... pomóż mi wstać, ubrać się...

ja muszę, muszę być obecny tam... gdzie cała moja praca... przyszłość...

— Sławku!...

— Muszę!... — powtórzył mocniej, głosem ostrym i ochrypłym.

— Miej litość... nad sobą i nade mną!... Stań się, co ma się stać... Wszakże nad nami Bóg! — dodała, szlochając.

— Ty tego nie rozumiesz... trzeba... muszę... niepewność mnie gnębi... jeśli nie ja... to ty!...

— Nie, nie!... nie zostawię cię samego... za nic, za nic!...

-- Dlaczego?... jest mi dobrze... czuję to... tylko brak sił, ale to przejdzie... było już tak nieraz... zostanę... może być przy mnie służąca... Jedź... prędzej się dowiem i spokój powróci... będzie mi lepiej...—mówił szeptem błagalnym, tuląc jej dłonie do swojej piersi.

Ustała wreszcie, i otarłszy twarz z łez, pojechała.

Wcisnąwszy się do sali sądowej, usiadła na ostatniej ławce i doczekała się tej chwili, gdy Badurski utrzymywał się przy licytacji. Z razu nie umiała sobie zdać sprawy ze znaczenia tego faktu—zdziwił ją tylko zgiełk, jaki powstał w sali, i drwiące okrzyki żydów.

Z urywanych jednak zdań, z rozmowy wreszcie osób, siedzących blisko niej, zrozumiała, o co chodzi, a zarazem oceniła grozę położenia, dowiedziawszy się, że szacunek, postąpiony na

licytacyi, nie doszedł nawet do dwustu tysięcy rubli. Była to więc ruina dla nich. Kto właściwie kupił—nie wiedziała nawet. Usłyszała tylko, że licytację ukończono...

I nagle poczuła, że jakiś ostry ból przeszył jej serce, tak wielki, że nie mogła stłumić okrzyku... Jakim sposobem znalazła się w dorożce, nie wiedziała sama. Oprzytomniała bowiem dopiero wtedy, gdy owionęło ją świeże powietrze.

— Co powie mężowi? co powie? — myślała z przerażeniem i rada byłaby oddalić tę straszną chwilę, lecz jednocześnie czuła, że jakaś moc tajemnicza nakazuje jej pośpiech, wołała więc do dorożkarza głosem rozpaczonym:

— Prędzej, prędzej!... Na miłość Boską! prędzej!

Dorożkarz obejrzał się zdumiony, lecz musiał widocznie coś dziwnego dostrzedz w oczach młodej kobiety, gdyż nic nie powiedział, lecz nacisnąwszy mocniej czapkę na głowę, popędził konie jak szalony.

Przyjechała już jednak za późno: Molski nie żył.

Dobrotliwa Opatrzność oszczędziła mu ostatniego ciosu, nie odebrawszy nadziei, z którą umierał.

Dowodem tego była jego ostatnia wola, jaką w ostatnim przeblýsku energii przedzgonnej skreślił.

W testamencie tym zapisywał żonie obydwu

domy, z których mniejszy polecił sprzedać i otrzymaną stąd gotówką oczyścić hipotekę ostatnio wybudowanej nieruchomości. O tem, że była ona wystawioną na licytację, zdawał się nie pamiętać, gdyż okoliczność tę pominął zupełnie milczeniem.

Jak zdecydowali później lekarze — była to tak zwana półświadomość, jaka się zjawia niekiedy w ostatniej chwili życia.

Na boleść Molskiej rzućmy zasłonę. Są stany duszy tak rozpaczne, że wszelka ich analiza wydaje się profanacją i świętokradztwem.

Opłakana sukcesya została po Molskim: szereg procesów i pozwów, a w pierwszym rzędzie proces o zwalenie licytacji, którego się podjął znakomity adwokat-cywilista.

Proces ten jednak, niepopierany gotówką, nie doprowadził do niczego, a to tem bardziej, że Grünbaum czuwał i nie żałował pieniędzy. Ostatecznie więc został prawym właścicielem nieruchomości.

Na tym „interesie“ zarobił na czysto, po opłaceniu już wszelkich, później wynikłych kosztów — 180,000 rb., wyraźnie: sto ośmdziesiąt tysięcy rubli.

Drugi dom, mniejszy, sprzedano również przez licytację na rzecz wierzycieli-żydów, których sumy spadły z hipoteki przy sprzedaży pierwszej kamienicy.

Molskiej nie pozostało nic. Zabrano nie tylko

meble, ale i kosztowniejszą garderobę. Zniewolona ostatecznością nędzy, udała się do Grünbauma. Radzono jej odwołać się do jego „sumienia.“

Grünbaum ofiarował jej wspaniałomyślnie 500 rubli, zapewniając, że za te pieniądze można założyć bardzo dobry „sklepek“ i na nim dorobić się majątku.

Rzuciła mu w twarz te pieniądze.

Nie obraził się wcale, gdyż zgarnawszy banknoty, powiedział:

— No, jak pani chce!...

Wówczas poradzono jej udać się do rabina, który słynął z pobożności i sprawiedliwości i cieszył się wielką powagą nie tylko u żydów, lecz nawet i u tych chrześcijan, którzy zmuszeni byli szukać ostatniej obrony przeciwko wyzyskowi jego współwyznawców.

Rabin przyjął Molską bardzo grzecznie i obiecał najsolenniejsz, że sprawę rozpatrzy i wyznaczy sąd sprawiedliwy.

Rozpatrywanie sprawy ciągnęło się trzy miesiące, poczem rabin ogłosił wyrok, skazujący Grünbauma na sześć tysięcy rubli odszkodowania.

Grünbaum z razu rzucił się i groził, że żadnego sądu uznawać nie chce, w końcu jednak uległ powadze rabina i przysądzoną sumę zapłacił Molskiej w połowie gotówką, w połowie wekslem nieboszczyka jej męża.

Wynikłe z tego tytułu nieporozumienie mądry i sprawiedliwy rabin rozstrzygnął na korzyść Grünbauma, uznawszy, że weksel, a w dodatku w swoim czasie zaprotestowany, tyleż wart, co gotówka.

Weksel ten, jak się okazało znacznie później, był z kategorii sfałszowanych.

Tak się skończył „taniec lichwy“ dla Mol-skich.

Nie lepiej powiodło się i Zahorskiemu, gdyż straciwszy kilkadziesiąt tysięcy rubli, jakie spadły z hipoteki, znalazł się w tak fatalnych warunkach finansowych, że nie mógł uchronić się przed subhastą i wywłaszczeniem z domu, który wybudował.

Naturalnie, że kupił go pan Sieradz, który dziś jest posiadaczem dwóch bardzo pięknych nieruchomości i jeździ własnym powozem.

Drugi dom Zahorskiego jest obdłużony tak mocno, że lada dzień należy się spodziewać wyzucia go z tej ostatniej własności, o ile nie poratuje go małżeństwo córki z młodym Rudowskim.

Wątpliwa to jednak nadzieja, gdyż, jak zauważyła z przerażeniem pani Zahorska, a dowodnie przekonała się panna Ludwika, Rudowski ochłódł dla niej zupełnie, a natomiast zajął się bardzo Alą, która z rozkosznego podlotka szybko się zmieniła w piękną pannę, pełną nieprzepartych powabów, a w dodatku zalotną i śmiałą.

F

22.123/2